

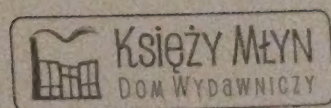
ANDRZEJ LECHOWSKI

# SEKRETY BIAŁEGOSTOKU



Ksieży MŁYN  
DOM WYDAWNICZY





*Książki dla ludzi ciekawych*



# SEKRETY BIAŁEGOSTOKU



ANDRZEJ LECHOWSKI

# SEKRETY BIAŁEGOSTOKU





**Redakcja:**

Aneta Wieczorek

**Projekt okładki:**

Wojciech Miałkowski

**Opracowanie graficzne, skład:**

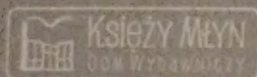
Alicja Pukaczewska

Fotografie ze zbiorów: Muzeum Podlaskiego w Białymstoku, Białostockiego Centrum Onkologii, Automobilklubu Podlaskiego w Białymstoku, kolekcji prywatnych, prasy białostockiej, kalendarzy: M. Dolistowska, *W poszukiwaniu tożsamości miasta Białystok 2009*, *Białystok. Photo album of renowned city and its Jews the world over, New York 1951*.

Książki wydawane przez Księży Młyn Dom Wydawniczy mają na celu ukazanie piękna, tradycji oraz historii miast i regionów naszego kraju. Poprzez nasze publikacje pragniemy ułwalac i razbudzac miłość mieszcianców do swych „malych ojczyzn”.

Księży Młyn Dom Wydawniczy – czołowy wydawca książek regionalnych i komunikacyjnych zaprasza do współpracy Autorów mających pomysły na książki związane z miastami, regionami oraz tematami komunikacyjno-transportowymi.

Prosimy także o kontakt osoby posiadające zdjęcia, jak i różnego rodzaju pamiątki nawiązujące do interesujących nas tematów.

*Książki dla ludzi ciekawych*

© Copyright by Księży Młyn Dom Wydawniczy, Łódź 2016

Drogi Czytelniku,  
książka, którą trzymasz w dłoni, jest efektem pracy m.in. autora, zespołu redakcyjnego, grafików i wydawcy. Prosimy, abyś uszanował ich pracę.  
Nie kopiuj większych fragmentów, nie publikuj ich w internecie.  
Cytując fragmenty, nie zmieniaj ich treści i podawaj źródło ich pochodzenia.  
Dziękujemy.

ISBN 978-83-7729-325-6

**KSIĘŻY MŁYN Dom Wydawniczy Michał Koliński**

90-345 Łódź, ul. Księży Młyn 14

tel./faks: 42 632 78 61, 42 630 71 17, 602 34 98 02

infolinia: 604 600 800 (codziennie 8-22, także SMS), gg 414 79 54

www.km.com.pl; e-mail: biuro@km.com.pl

Łódź 2016. Wydanie 1



# Spis treści

## Spis treści

Bibj-dżibi i reuniony	7	Brylanty, dolary, skarby	95
Na tropie złodziei	12	Chęć zysku i sławy	99
Z historii Białej	15	Czcigodny Przybyszewski i melancholia Tuwima	104
Mieszko I kontra towarzysz sekretarz	19	Hejm Majn Białystok	108
Dygnitarskie limuzyny	23	Miłosne perypetie	113
Turcy w Białymstoku	28	Noworoczny dramat	117
Dworzec białostocki	33	Ondulacja i szczur	121
Amerykański Białystok	37	Pechowe Apollo	125
Jak Nowik z Wilbuszewiczem prufi kasy	41	Potrzeba matką wynalazków	129
Kamienicznik dyktuje warunki	45	Ritz – rysy na reputacji	133
Konkę przez miasto	51	Rolls-royce'em po Sienkiewicza	137
X muza w służbie PRL-u	55	Z Lenina do Monte Carlo	140
Buza z chatwą	60	Śmiech i śpiew to znaczy Gilarino	143
Pogoń za lotniskiem	65	Trudności lingwistyczne	147
Książę i cukierpuszki	70	Ursus i Człowiek Mucha	151
Nauka chodzenia po chodniku	74	Venus trotualis	157
Sikawki i alarmy	79	Wielki futbol w Białymstoku	162
Pomnikowa altanka z kamienia i polepy	83	Wyczyny radnego Flomenbauma	166
Mniej oficjalna historia honorowego obywatelstwa	87	Zdobycz Robotnicza	169
Białostoczanin w łaźni	91	Białostockie tempo	173





Bal karnawałowy w pałacu Branickich, 1938 r.



## Bibi-dzibi i reuniony

Kto chce zdobyć życia szaniec,  
I rozkoszy zaznać cuda  
Niechaj pozna co to taniec  
Jak on kształci mózg i uda.

Jak chcesz zaznać coś miłego,  
Ty, co troska wciąż Cię tuczy  
Śpiesz więc już do Skrzypkowskiego,  
A on tańczyć Cię nauczy.

### SZKOŁA TAŃCÓW

(istnieje od roku 1926).

Białystok, M. Piłsudskiego 36.

(róg Częstochowskiej).

Urzędnikom, wojskowym i uczniom  
udzielam zniżki.

Reklama szkoły tańców, 1932 r.

Jak anonsował w 1926 roku swoją szkołę tańca maestro W. Skrzypkowski. Do Białegostoku przyjechał w 1925 roku i zaczął uczyć nowoczesnych tańców towarzyskich oficerów 42. Pułku Piechoty. Skrzypkowski wprowadzał ich w tajniki charlestona czy black bottoma. Znakomita opinia o nauczycielu obiegła wnet całe miasto. Chwalono maestra za doświadczenie i europejskie maniery. Mówiono, że „ma inteligencję i w nogach i w głowie”. Podkreślano, że ci, którzy nauczyli się u niego tańczyć, mieli tę gwarancję, że właśnie tak tańczy się w Europie. Ciesząc się takimi rekomendacjami, założył Skrzypkowski w 1926 roku szkołę tańca. Mieściła się w tak zwanych dolnych salonach hotelu Ritz. Samo miejsce gwarantowało już szyk i udział wyśmienitego towarzystwa. Zajęcia prowadzone były w godzinach poobiednich. Zaczynały się o 16.00 i trwały do 20.00.

Za Skrzypkowskim poszli następni. Miasto ogarnął szal nauki tańca. Ci, którym nie starczyło gotówki bądź miejsca na parkietach Ritza, mogli się uczyć tanecznych pas u I. Majsa przy ulicy Sienkiewicza 42. Tu gwarantowano, że można nauczyć się pisać „w najkrótszym czasie bez względu na zdolności”. Tak samo zachwalał swoje metody J. Ulicki, którego szkoła mieściła się w kamienicy przy ulicy Lipowej 36. W 1935 roku Majś jako pierwszy zaczął lansować w Białymstoku „światowy przebój, atrakcję salonów zagranicznych, najnowszy taniec murzyński – carioce”. W tymże samym 1935 roku otwarta została kolejna białostocka szkoła tańców. Jej założycielem i głównym nauczycielem był M. Mazur. Szkoła mieściła się w „lüksowo urządzonym lokalu” w pasażu Warnholtza, zwanym też domem ze szklanym dachem, przy ulicy Lipowej 6. Kursantom przygrywała „pierwszorzędna orkiestra jazzowa z Poznania”. Zmęczeni tancerze mogli odsapnąć w bufecie, w którym serwowano napoje chłodzące, owoce i słodycze. Szkoła zyskała wielką popularność. Lekcje tańców odbywały się w niej



codziennie od 10.00 rano do 23.00 wieczorem. W środy, piątki, soboty i niedziele od 8.00 rano aż do północy prowadzone były zajęcia z gimnastyki. Z nimi związana jest anegdota, która obiegła miasto w styczniu 1931 roku. Jej bohaterem był, jak go określono, „handlowiec z ulicy Sienkiewicza, Szymon K.” Zamykając swój sklep w styczniowy wieczór, zauważył wetkniętą za żaluzję karteczkę, na której koślawymi literami wypisano: „Kochany Panie Szymonie! Z przykrością i bólem w sercu komunikuje Pana, że pańska żona Frima chodzi wieczorami w sekrecie na lekcje tańcuw [sic] i fika różnych pa w krutkie spodniczki [sic] – sportówki co poczuwam się w obowiązku donosić z poważaniem. Życzliwa Dusza”. Niewinna z pozoru sprawa zakończyła się ponoć rozwodem.

Gorszą opinią niż wspomniane szkoły cieszyły się kursy taneczne prowadzone przez Klajmersa w jednej z kamienic przy ulicy Polnej (obecnie Waryńskiego). Uczęszczало na nie niezbyt wykwintne towarzystwo, które niejednokrotnie wszczynало awantury. Niewiele lepiej działo się nieopodal przy ulicy Lipowej u Sokołowskiego. W rolę nauczyciela tańca postawił wcielić się nauczyciel muzyki. Złośliwi twierdzili, że „nawet laik zrozumie, że muzyka z tańcami ma tyle wspólnego, że do tańca przygrywa się”. Drwiono, że Sokołowski uczy tańczyć jakieś podejrzane typki, bowiem sam ogłaszał, że tylko we wtorki tańczy u niego „towarzystwo doborowe”. Więc w pozostałe dni tygodnia można było spotkać się z mniej wykwintnymi manierami. Dostało się w tej krytyce i Morynowi z ulicy Sienkiewicza. Tam z kolei najsłabszą stroną kursów była mała, ciasna sala. Wobec tego „pary tańczące dokonując ruchu wirowego napotykają się na inne pary, wskutek czego powstaje tarcie, które jest zupełnie w ruchu niepożądane”. Ciasnота sali była tym bardziej dokuczliwa, że „nowoczesne prądy choreograficzne wymagają od dansera ruchliwości w najwyższym stopniu”. Nic więc dziwnego, że do Moryna zapisywali się „danserzy”, których „ruchliwość” nie była największą zaletą. Plotkarski Biały-stok z uciechą opowiadał, jak to u maestra podrygiwały w rytm charlestona panusie o odpowiedniej tuszy, a ich zziązani partnerzy ledwo taszczyli swoje wydatne brzuchy. Towarzystwo to, w opinii obserwatorów, „było wiecznie nachmurzone i naciągnięte”.

Aby zadbać o poziom miejscowych szkół, postulowano powołanie specjalnej komisji weryfikacyjnej. Pojawiły się opinie, że brak kontroli przez magistrat i starostwo doprowadził do rozkwitu „pokątnych dancingów i tancbud”. Zastanawiano się też, co by się stało, gdyby „poddano egzaminom p. Klajmersa i Sokołowskiego i innych domorosłych baletmistrzów i drygmistrzów”. Pytano wprost, „jaką akademię choreograficzną oni ukończyli? U jakiego źródła zaczerpnęli wiedzy tanecznej? Skąd nabrali się wiedzy z dziedziny choreografii, plastyki, estetyki, shimmy, charlestona, bluesów i innych modnych skoków i podrygów?”.

Przy okazji nie zostawiono suchej nitki na owych podrygach. Najwięcej kontrowersji budził charleston, który od 1926 roku królował na parkietach. Białostoczanie starszej daty z oburzeniem twierdzili, że jest to „płás odpoczywającego mordercy”. Zaś miejscowi stróże moralności grzmieli, że jest „coś wstrętnego, coś zuchwałego, coś bezczelnego w tych dzikich podrygach,





Rozkosz – ulubione miejsce dancinów, 1910 r.

w tych bezwstydnym splotach nóg, w tym niedwuznacznym rytmie”. Co najbardziej zjadli przeciwnicy nowoczesności twierdzili wprost, że to nie taniec, ale „akt miłosny w pozycji pionowej”. Stateczne matrony, obserwując szalejących w rytm charlestona, mawiały, że za ich czasów to „takie tańce tańczono pod koldrą!”. Nie mniejsze obiekcje budziły szlagiery karnewału z 1928 roku. Na pierwszy plan wysuwał się banan-slide. Była to odmiana fokstrota. Gdyby tę nazwę przetłumaczyć jako lisi klus, to z dodatkiem bananów składał się „z kroków dzigowych i małych skoków. Miał on obrazować ślizganie się po rzuconych skórkach bananów”. Dla miłośników mocniejszych wrażeń było bibi-dżibi. Ten taniec był „najniebezpieczniejszym konkurentem charlestona, do którego jest podobny w ogólnej strukturze, ale odznacza się większą jeszcze dzikością”. Ostatnim tańcem tamtego sezonu był budapeszt. W opinii znawców tematu było to połączenie czardasza z bluesem. Co się musiało dziać, gdy partnerka zachowywała jeszcze taneczny wigor i przytupywała w rytm madziarskiej nuty, a partnerowi po wyciekach w obfitym i tanim bufecie już tylko w głowie i nogach pozostawał blues? W 1938 roku na parkietach Białegostoku królował żywiołowy lambeth-walk czy modny w 1939 roku „nader ekscentryczny” swingalero.

Ta dzikość i ekscentryczność oburzały stateczny Białystok. W rezultacie w 1938 roku białostockie „nauczycielstwo szkół średnich i zawodowych” wystąpiło do władz miejskich z apelem, aby zabroniono młodzieży szkolnej uczęszczania do szkół tańca. Twierdzono, że są to



Chcesz tańczyć? Pozbądź się odcisków!  
Przyjdź do nas na **PEDICURE**



**Bata** BIAŁYSTOK,  
Rynek Kościuszki 8.

Reklama salonu obuwniczego Bata, 1935 r.

...skłonne rozpusty i deprawacji. W zamian proponowano, aby rozpocząć prace nad „projektem nauczania tańców w szkole pod nadzorem nauczycielstwa”. Inicjatorzy apelu dostrzegali w tańcu, oczywiście nie w niemoralnych wygibasach, lecz w walczykach, poleczkach itp., istotne aspekty wychowawcze. Uważali, że to świetny sposób na naukę przyzwoitego zachowania się w towarzystwie, a też i na podniesienie sprawności fizycznej. Ale była to inicjatywa z góry skazana na niepowodzenie.

Tam też był wszędzie. Gdy w 1935 roku przy Rynku Kościuszki 8 otwarto salon obuwniczy renomowanej firmy Bata, reklama zapraszająca do działającego w sklepie punktu pedicure brzmiała: „Chcesz tańczyć? Pozbądź się odcisków”. W mieście zapanowała moda na „reuniony”. Odbywały się one w mieszkaniach, z których wynoszono wszystkie meble. Co bardziej zapobiegliwi gospodarze przygotowywali do tańców podłogę. Ponoć najlepsze rezultaty osiągało się poprzez nałożenie na deski grubej warstwy pasty „Jaśniej Słońca”. Dla podniesienia efektu posypywano się ją jeszcze proszkiem stearynowym. Tak przygotowany parkiet dawał tancerzom możliwość popisywania się piruetami, nagłymi zwrotami, a przy bananas-slide był wręcz wymarzonym.

Nie i jeszcze cała otoczka towarzyska. Niech jej ilustracja będzie anegdota, która z rozbiawianiem opowiadano sobie w 1933 roku. Oto na „reunionie” zorganizowanym przez „funkcyj-



...nawet jednego z białostockich urzędów" jeden z urzędników tańczył z pewną nieznajomą. Wypadła w takiej sytuacji zabawić damę stosowną konwersacją. Zaczął więc od niechęcia:

- Niech pani spojrzy na tego starego bałwana, tańczącego z tą tęgą blondyną. To nasz dyrektor. Szczerze nie widziałem większego idioty jak on!
- A czy pan wie, kto ja jestem? - zapytała partnerka
- Nie mam pojęcia - padła odpowiedź
- Jestem żoną pańskiego szefa
- Pasa krew! A czy pani wie, kto ja jestem?
- Nie
- No to dzięki Bogu







Kasarsa Obywatelska, w której w 1921 r. odbyła się pierwsza wystawa prac Alfonsa Karnego

## *Na tropie złodziei*

**P**różno dziś szukać przy ulicy Poleskiej 34 drewnianego, parterowego domu otoczonego dużym, wypielęgnowanym ogrodem, w którym 10 listopada 1901 roku urodził się Alfons Karny, jeden z najwybitniejszych polskich artystów XX wieku. Jest za to szkoła, do której uczęszczał. To budynek przy ulicy Waryńskiego 8, w którym mieściła się Czeroklasowa Miejska Szkoła Powszechna im. Aleksandra Puszkina w Białymstoku.

Wiadomo, że pierwszą edukację artystyczną rozpoczął Karny też w Białymstoku. Uczestniczył w kursach rysunkowych. Po latach wspominał dwóch swoich nauczycieli – Rafałowskiego i Kryckiego. Niestety poza nazwiskami nie więcej o tych mistrzach późniejszego artysty niewiedzi. W międzyczasie poznał Karny swojego protektora Mariana Dederkę, który wkrótce miał się stać jednym z najciekawszych fotografików polskich. Dederkowie, mający zapisaną na piśmie kartę działaczy patriotycznych, w pierwszych latach po odzyskaniu niepodległości odegrali ważną rolę wśród miejscowych elit. Janina Dederkowa w 1918 roku organizowała Kono Polick, opiekując się polskimi żołnierzami. Marian Dederko zaangażowany był w tworzenie polskiej administracji wojskowej i cywilnej na przełomie 1918 i 1919 roku. W 1919 roku został dyrektorem nowo powstałego Towarzystwa „Teatr Polski w Białymstoku”. Z pewnością Karnego i jego zbliżyły artystyczne upodobania.



...deklaracji Karny został zatrudniony  
...w Białymstoku, w którym w 1921 roku po  
...publicznie pokazał swoje rysunki. Po  
...Białymstoku z Białegostoku do Warszawy  
...w I Komisariacie Policji Państwowej  
...niepewny dla artystycznej duszy epizod zapi-  
...w białostockich annałach taką oto historią  
...2 grudnia 1921 roku. Na białostocki  
...przejechał z Warszawy. Przybył  
...Franciszek Mierzykowski. Nie-  
...krokiem przemierzył peron, przeszedł  
...poczekalnię i skierował się na ulicę  
...Kolejową do pobliskiego hotelu „Krakowskiego”.  
...szacownego szyldu, ani nie cieszył  
...renomą, ani nie oferował gościom wyszuka-  
...luksusów. Ale samotnemu Mierzykowskiemu  
...przeszkadzało. Zameldował się w recepcji  
...na kilka najbliższych dni wynajął pokój numer 3.  
...Zagadnięty o cel przybycia do Białegostoku odparł  
...dziwnym akcentem, że chce rozejrzeć się po mie-  
...cie. Baknął coś o tym, że dawno nie był w Polsce  
...i szuka dla siebie nowego miejsca. W hotelu przy-  
...bycie gościa, który płacił za kilka dni z góry, wywo-  
...łało sensację. Natychmiast przy przybyśzu zjawił się  
...numerowy Sidorowski, którego wprawne oko „po-  
...znale w przybyłym Amerykanina”. Licząc na hojny  
...napisek, ulokował gościa w pokoju.

Gdy nastał wieczór, numerowy, nie chcąc prze-  
...nadarzającej się okazji, postanowił kom-  
...pleksowo zadbać o swego Amerykanina. Szybko  
...wyczuł jego gusty i potrzeby, przeto „sprowadził  
...kobietę” i urządził sutą libację, do której sam  
...też włączył. Naprędce zaimprovizowana bib-  
...przeciagnęła się do późnych godzin nocnych.  
...Wreszcie Mierzykowski, zmęczony wrażeniami,  
...których dostarczyła nadobna białostoczanka, i trum-  
...kami serwowanymi przez Sidorowskiego, zapadł



Alfons Karny. 1921 r.



Popiersie Józefa Piłsudskiego,  
które Alfons Karny pokazał  
w Białymstoku w 1928 r.









wysychający wielki staw przed pałacem Branickich, około 1890 r.

## *Z historii Białej*

*S*tatystyczny białostoczanin może nawet kilka razy dziennie przekracza płynącą przez Białystok rzekę, zwaną pospolicie Białką, choć w urzędzie zapisana została jako Biała. Kto by tam sobie głowę zawracał jej historią. Ot, płynie i tyle, taka jej natura. Ale tak naprawdę to Białka jest tutejszą racją stanu. To, że mamy Białystok, wyłącznie jej zawdzięczamy!

Trudno o większy banal niż klasyczny wywód zaczynający się od słów, że „już w starożytności...”. Ale w tym przypadku trudno zacząć inaczej. Około 400 roku naszej ery po okolicach dzisiejszego Białegostoku wędrowała sobie grupa ludzi. Musiało im się tu spodobać. Gęste, piękne lasy obfitowały w zwierzynę. Ponadto od czerwca po październik pełno w nich było zdalnych do jedzenia owoców, orzechów i grzybów. Nasłonecznione stoki łagodnych wzgórz porastała trawa, z której nasion udawało się upiec całkiem niezłe placki. W strumieniach było zatrzęsienie ryb. Starszyzna podjęła więc szybką i prostą decyzję: zostajemy. Znalezione bezpieczne miejsce na rozbięcie obozowiska. Od wschodu, południa i północy wila się niewielka rzeczka. Trudno ją było pokonać, bo brzeg od przeciwnej strony miała podmokły i bagnisty. Od zachodu zaś w kierunku tegoż bagienka schodził łagodny, piaszczysty stok.





Osuszanie terenu po stawie przed pałacem Branickich, 1895 r.

Z budulcem na chaty nie było najmniejszego kłopotu. Drewniany zrąb przykryto galeziami, te zaś utkano mchem, igliwem, trawą i ziemią. Wewnątrz izby ułożono kamienne palenisko i już można było mieszkać. W lecie to był raj. Dzieciaki pluśkały się w rzeczce. Mężczyźni zbierali i polowali, a kobiety pichciły zdrowe, „regionalne” potrawy. To sielskie życie toczyło się oczywiście nad Białką i to w dodatku w miejscu, gdzie dziś znajduje się dziedziniec wstępny pałacu Branickich. Po tej „starożytności” czas na legendę, której historycy nie lubią, bo jest przecież wysana z palca. Białemustokowi legendę stworzył nie byle kto, bo sam wielki książę litewski Gedymin, który na początku XIV wieku miał w miejscu dzisiejszego miasta odpocząć po zakończonych łowach. Widząc okoliczne strumyki i rzeczkę, zwrócił się do swojej drużyny, że oto widzi „czysty, biały stok”, co miało znaczyć tyle, że spodobały mu się krystaliczne wody Białki.


Następne „wejście” miała Białka w 1510 roku. Wówczas to pierwszy raz zapisano nazwę Białystok, ale właśnie w odniesieniu do rzeczki, bo miasta przecież jeszcze nie było. I nikomu się nawet nie śniło, że za 250 lat do Białegostoku ciągnąć będą wielmoże z całej Europy, zważając na wieści o wspaniałościach rezydencji Branickich. Jedną z atrakcji była właśnie Białka. Jej znaczenie w całej kompozycji hetmańskiej rezydencji zaczynało się od mostu na ulicy Świętojńskiej. W tym miejscu zaczynał się wielki staw, który powstał ze spiętrzonej białkowej wody. Ciągnął się on aż do ulicy Pałacowej, zwanej wówczas Zamkową. I właśnie ten staw stanowił niezwykle uciechę dla pałacowych gości. Plywano po nim łodziami, zwanymi batami. Zalety białkowej wody docenić mogli też miłośnicy piwa. W browarach Jaśnie Wielmożnego Hetmana na białezance warzono chmiel i słód.

Ale to wszystko było swawolę i igraszki. Do prawdziwej roboty wzięła się Białka w XIX wieku. Iluż marzycieli zawdzięczało jej swoje fortuny. Chodzili, kombinowali, jakby tu taki



siłki kociołek parowy postawić, a dalej pasem transmisyjnym uruchomić kilka tkackich w Białymstoku dopiero około 1840 roku. Pierwszą maszyną parową zamatawano tkaninę i do apretury, czyli utwardzenia koloru i splotu tkaniny.

Pierwszym białostockim włókiennikiem białkowiczem był Józef Szlegel, który od 1814 roku produkował sukno i flanelę. Gdy w 1831 roku Rosjanie wprowadzili czternastokrotną podwyżkę cel na towary wwożone do Rosji, to o Białce zrobiło się głośno w Europie. Jak to dalej funkcjonować, żeby się utrzymać? To pytanie powtarzano sobie w Łodzi, Zgierzu i Siedlcach. Co aktywniejsi pakowali całe fabryki, zabierali personel i udawali się w podróż wiedeńską. Tak przybyli do Białegostoku Johan Dantin, Karol Betcher, Moltz, Frohn, a za nimi August Commichau, Adolf Braunek, Fryderyk Voss. Ciekawe, czy na Białkę mówili Weissfluss, a może pieszczotliwie Weisschenfluss? Bo to przecież ona stała się ich żywicielką. W tym pionierskim okresie białostockiego przemysłu pojawiła się w naszym mieście pierwsza dama lokalnego biznesu – Małka Bloch, żona zamożnego kupca Sondera Blocha. Jej fabryka, ulokowana nad Białką w okolicach dzisiejszej ulicy Augustowskiej i Konopnickiej, około 1860 roku była największą tkalnią sukna w mieście. Przy napędzanych parową maszyną 60 warsztatów uwijało się 150 robotników. Następny za nią, Herman Commichau, zatrudniał zaledwie 90 ludzi. Kolejni przedsiębiorcy też lokowali swoje fabryki nad Białką. Adolf Welter miał apreturę przy ulicy Mickiewicza, a Chaja Zilberfenig przy ulicy Włókienniczej. Owsiej Halpern produkował watę przy ulicy Orzeszkowej, a Górnostański na tyłach ulicy Kilińskiego wytwarzał wełnianą i puchową watę. Mosze Niewierzski przy ulicy Orzeszkowej miał parową fabrykę higroskopijnej waty i watoliny. Białostoccy królowie kołder Abram i Lazar Abramowscy wraz z Elkonem Jossemem mieli swoje zakłady przy ulicy Włókienniczej, a Lejba Hendler, K. Lipszye i A. Litwin przy ulicy Jurowieckiej.



Biała załata białostockie ulice, 1922 r.





Zalana przez Białą  
ul. E. Orzeszkowej, 1922 r.

Była też Białka miejscem dramatycznych prób rozwiązywania życiowych problemów. Jedną z pierwszych, opisanych w miejscowej prasie, opisywała się 11 lutego 1913 roku. Oto przebieg: wieczorem przez most na ulicy Pałacowej przechodził niejaki Suszczyński. Kierował się do swego domu, na Bojary. Wtem usłyszał biegnącą za nim dziewczynę, która wspięła się na słupek balustrady i skoczyła. Suszczyński zdołał złapać ją jeszcze za nogę. Lecz wisząca głową w dół panna swoje wazyła, przeto nasz ratownik nie zdołał jej utrzymać. Nieszczęsna chlupnęła do Białki. Słyszając krzyki Suszczyńskiego, z okolicznych domów wybiegli ludzie. Wszyscy razem pomogli samobójczyni wygramolić się z błota i cuchnącej nieczystości wody. Stan desperatki – jak zanotowano – „był niepewny”. Odprowadzona na pobliską

stancję nieszczęsna panna powiedziała, że sprawcą jej desperacji był niejaki Malinowski, który udając zakochanego, wyludził od niej wszystkie pieniądze, które otrzymała od swych rodziców zamieszkających w Wołkowysku. Gdy gotówka się rozeszła, wówczas Malinowski przeszedł do czynów. Bił nieszczęsną dziewczynę, doprowadzając ją do rozpacz.

W następnych latach po mieście krążyły różne opowieści, a to o kolejnych desperatach, a to o dorożkarzu, który wraz z koniem, no i oczywiście z dorożką, spadł z mostu. Ale najwięcej opowieści, które ze względu na swoje nieprawdopodobieństwo przeszły niemalże do legendy o mieście, wywołała spowodowana przez Białkę powódź. Wszystko zaczęło się 26 i 27 lipca 1922 roku, gdy nad Białymstokiem przeszły długotrwałe ulewy. W ich wyniku rzeka wylała. W „Dzienniku Białostockim” pisano: „Żywiłowa katastrofalna powódź w Białymstoku. Wylew rzeki Białej. Cała dzielnica nadrzeczna pod wodą. Elektrownia zagrożona. Fabryki zatopione. Milionowe straty”. Zalane zostały ulice: Nadrzeczna (w tym miejscu przebiega dziś aleja Piłsudskiego), Sienkiewicza, Kupiecka (obecnie Malmeda), Branickiego i Zamienhofa. Woda zalała hotel Ritz i teatr Palace. Szczęśliwie dzięki akcji strażaków z Białostockiej Ochotniczej Straży Ogniowej obyło się bez ofiar.

W kolejnych dziesięcioleciach Białka spowszedniała. Próbowali zwrócić na nią uwagę białostoccy studenci, którzy podczas jednych z juwenaliów w latach 70. XX wieku postanowili wzorem swoich londyńskich kolegów rozegrać na niej regaty pomiędzy uczelnianymi osadami. Ostatnio na rzekę zwrócono uwagę za sprawą „śmiałków”, którzy urządzili w jej leniwych nurtach spływ kajakowy. Ale to już były tylko wesołe zabawy z pocziwą Białką.



## Mieszko I kontra towarzysz sekretarz

**P**ierwsze dźwięki osiedla Piasta, nikt by nie powiedział, że po całym 100 lat temu znajdowała się tu wsi Skorupy. Włączona w 1919 roku do Białegostoku, powoli traciła swój wiejski charakter, aż w końcu całkowicie zniknęła. Ale zacznijmy od początku.

Przez Skorupy biegła szosa, której po włączeniu wsi do miasta nadano nazwę Nowowarszawska, jako że stanowiła przedłużenie ulicy Warszawskiej. Wzdłuż niej zaczęto wznosić zabudowania, które wkrótce stworzyły typowy białostocki krajobraz z parterowymi domami okolonymi ogrodami. I właściwie tylko ta ulica zaświadczała, że Skorupy to już miasto, bo starzy mieszkańcy nowej dzielnicy żyli sobie jak dawniej. Od sąsiedniej wsi Pieczurki, też awansowanej do rangi miejskiej dzielnicy, dzielił je sosnowy las, zaś od Białegostoku uprawne pola, rozciągające się aż do ulicy Skorupskiej na Bojarach. Okolicznych mieszkańców łączyła płynąca przez te pola niewielka rzeczka, Dolistówka, która w letnie miesiące była ulubionym miejscem kąpieli mieszczan z dawnego, jak i z całkiem świeżego nadania.



Jan Stapor, 1972 r.

Nowe bloki na osiedlu Piasta, około 1975 r.





Fabryka domów w Białymstoku, lata 70. XX w.

Dotychczasowy wiejski stan trwał do początków lat 50. XX wieku, kiedy to wzdłuż dawnej drogi baranowieckiej – przemianowanej, aby nie budzić niepożądanych skojarzeń, na szosę wzięto – zaczęto lokować dzielnicę przemysłową. Jej sztandarową inwestycją była wzniesiona w 1952 roku chłodnia. Wokół niej powstawały magazyny rozmaitych przedsiębiorstw. Powstawał chaotyczny fragment miasta. Dawny sielski charakter tej okolicy przypominał nie tylko puszczyski las i skorupskie pola. Ale i to miało się już wkrótce zmienić. Białymstok zaczął się rozwijać. Powstawały nowe zakłady przemysłowe, urzędy, szkoły. Prognozowano, że wkrótce z tymi liczbami ludności osiągnąć będzie 100, 200, 250 tys. Tymczasem sytuacja mieszkaniowa w mieście była dramatyczna. Pomimo odbudowy centrum miasta liczba nowych mieszkań wciąż nie zaspokajała potrzeb. Do tego przeważały domy drewniane, parterowe, często przedstawiające podstawowych metalacji. Potrzeba nowych, szeroko zakrojonych inwestycji w budownictwo była wyraźna.



22 października 1968 roku odbyło się w Białymstoku posiedzenie Rady Oddziałowej Centralnego Związku Spółdzielni Budownictwa Mieszkaniowego. A to, jak to posiedzenie, nie było zwykłe. Zebrani z powagą omawiali „zadania budownictwa mieszkaniowego w województwie w świetle tezy na V Zjazd partii”. Ale był też i konkret. Jak informowała „Gazeta Białostocka”, na zakończenie odbyło się uroczyste zaślubienie kamienia węgielnego pod osiedlem. Międzyzakładowej Spółdzielni Mieszkaniowej Zachęta w nowej budowanej dzielnicy „Piasta”. Osiedle to jako główny swój obszar zajęło właśnie skorupskie pola. Ale nie poprzestano na tym. Zaczęto jednocześnie wyburzać część historycznych Bojar. Pod buldożerami znikły całe ulice – Majowa, Okopowa, Grzybowa, Czarnieckiego, Graniczna, Spacerowa. Wyburzono znaczną część Skorupskiej, Monopolowej (obecnie św. Wojciecha), Piasta, Wiktora. Należnie przywiązywał wtedy większą wagę do tych uznawanych dziś za cenne fragmentów miasta. Niekoniecznie w głowie były słowa Marii Dąbrowskiej, która w 1924 roku pisała:

...ileż to razy przenosiłiśmy i rozpowszechniali wiadomości o angielskich przedmieściach ogrodnich, obojętnie mijając, nie widząc wcale takich samych piękności u nas. [...] Takie są właśnie Bojary. Kręte, półkoliste uliczki tej dzielnicy mają w swych zarysach nie wyrozumowany, a głęboko uzasadniony sens. Wszystkie ulice są w malutkich szarych opłotkach, wszystkie pod cieniem poważnych drzew.

W 1968 roku część tego zjawiska zaczęła znikać. Osiedle Piasta zaplanowano z rozmachem. Jego projektantami byli architekci – Janusz Kretowicz, Aleksander Kirow i Gabriel Konopka. Co ciekawe, ten ostatni kilka lat później został wojewódzkim konserwatorem zabytków.

Zaczynało się tak zwane białostockie przyspieszenie. Na miejscu pól i wyburzanych Bojar miało zamieszkać 40 tys. białostoczan, najeczęściej dopiero co przybyłych do miasta z pobliskich wsi. Aby sprostać temu zadaniu po raz pierwszy w Polsce zastosowano na taką skalę technologię OWT-67, czyli osławioną wielką płytę. Początki budowy osiedla opierały się o produkcję płyt w tak zwanej wytwórni poligonowej, czyli bezpośrednio na placu budowy. Piastowską wytwórnię zlokalizowano przy ulicy Skorupskiej u wylotu Monopolowej. Dopiero pod koniec 1971 roku na obrzeżach miasta od strony wyjazdu w kierunku Warszawy wzniesiono zakład, nazywany potocznie fabryką domów. Jej uruchomienie zdecydowanie przyspieszyło stawianie bloków z wielkiej płyty w różnych rejonach miasta. W 1978 roku budowę osiedla Piasta zakończono.

Nazwa osiedla determinowała nadanie nazw ulicom. Prowadząca od strony śródmieścia dawna ulica Piasta nazywała się tak już od 1919 roku. Pomimo sanacyjnego rodowodu zachowywała poprawność polityczną. Wszak oficjalna propaganda chętnie nawiązywała do piastowskiej tradycji. Kolejne nowe ulice szły więc już z tego klucza. W 1969 roku główną arterię, wytyczoną wzdłuż Dolistówki, nazwano Piastowską. W tym samym roku ulicy przecinającej



osiedle nadano imię Bolesława Chrobrego. W 1974 roku oddano do użytku trzecia i czwarta kwatera na tym osiedlu. Jej patronem został... Jan Stapor. Nazwisko jakby piastowskie. Ciekawe, że miejscowi studenci doszukiwali się genealogicznych tajemnic potomstwa Piasta Kołomyjskiego z Rzepichy. Na próżno. Nawet legendy o Staporze nikt nie potrafił sobie przypomnieć. Inna z genealogią Piastów był bowiem fałszywy.

Prawdziwe ślady prowadziły do Komitetu Wojewódzkiego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej w Białymstoku. Tu znajdowała się odpowiedź, kim był Jan Stapor. A był typowym partyjnym aparaczykiem. Karierę po studiach w Moskwie robił na Kielecczyźnie. W 1960 roku był już w Komitecie Centralnym partii, a w styczniu 1972 roku przeniesiony został do Białegostoku. Tu został sekretarzem do spraw rolnictwa. Na początku lipca towarzyszy Stapor udał się z bratnią, roboczą wizytą do Mongolii. 3 lipca nadeszła do Białegostoku depesza zawiadamiająca, że „Jan Stapor zginął śmiercią tragiczną w Mongolii”. Żadnych szczegółów oficjalnie nigdy nie podano. Tajemnicą poliszynela była opowiadana wersja, że towarzysze polscy wraz z mongolskimi po integracyjnej biesiadzie postanowili popływać łódkami po jeziorze. Nikt nie zwracał uwagi na nadciągającą burzę. Ta zaskoczyła rozbawione towarzystwo na środku jeziora. Jeden z piorunów nieszczęśliwie trafił w łódkę Stapora, który zginął na miejscu. Pogrzeb sekretarza odbył się 10 lipca 1972 roku z wojskowymi honorami na warszawskich Wojskowych Powązkach. W 1974 roku, gdy przeciętny białostoczanin już kompletnie o Janie Staporze nie pamiętał, jego nazwisko pojawiło się na osiedlu Piasta.

Tylko on i Bolesław Chrobry dostąpili zaszczytu patronowania osiedlowym ulicom. W 1981 roku przyszło jednak opamiętanie. Zreflektowano się, że sytuacja jest kuriozalna. Stapora zastąpił Mieszko I. Z tej komitetowo-białostockiej genealogii Piastów wynika więc jednoznacznie, że Stapor był jednak chronologicznie przed Mieszkiem I.



Budowa osiedla Piasta,  
około 1970 r.





Wytwornia powozów i dorożek Aleksandra Stoleckiego  
w Białymstoku, około 1900 r.

## Dygnitarские limuzyny

*P*restięż władzy budowany jest jak misterny gmach. Wydawać by się mogło, że jedynym kryterium w ocenie jej jakości powinno być zadowolenie mieszkańców. Ale nie. Od dawna wiadomo, że dygnitarza można poznać po tym, czym jeździ. Wiadział o tym doskonale już Jan Klemens Branicki.

W wozowni swego warszawskiego pałacu hetman miał dwie „bardzo paradne karety”. Szczególnie dumny był z „karety nowej białostockiej roboty”, która miała pudło lakierowane na perłowo. Modnym kolorem ówczesnych roczników był jednak zielony. W największej wozowni Branickiego, właśnie w Białymstoku, stały aż cztery karety pomalowane na tenże kolor. Wśród wielu pojazdów było też 10 kolasek. Profesor Elżbieta Kowecka, znawczyni hetmańskiego majątku, pisała, że były wśród nich „nowa paryska, wybita pstrą plisą (plisła – plosa,





Białostockie dorożki, 1916 r.

tkanina półwełniana o wysokim włosiu) lakierowane na perłowo, kolaska nazwiskiem królowej czeskiej, zieloną plisą wybita, na 3 osoby, a także kolaski wybijane plisą pasową i niebieską. Hetman z uwagą śledził wszystkie rynkowe nowinki. W 1744 roku otrzymał od swego szwagra, wojewody podlaskiego i podskarbiego koronnego Karola Sedlnickiego, przywiezione wprost z Paryża „abrysy” najnowszych modeli paryskich karet. Na ich podstawie w 1749 roku zatrudniony w Białymstoku dekorator i snycerz Contessa zrobił hetmanowi projekty karet, opierając się na paryskich modelach. Narysował więc ozdobne boki, zaprojektował gałki u drzwi i inne elementy. Branicki w międzyczasie nakazał kupno w Gdańsku kryształowych szybek.

W 1752 roku Branicki kupił w Paryżu kolejną karotę. Znad Sekwany wieziono ją statkiem do Gdańska, a dalej Wisłą, na łodzi, spłynęła do Warszawy. Do Białegostoku ciągnęło ją sześć koni ubranych w paradne szory.

W 1758 roku hetman zaangażował uznanego w Warszawie malarza Łukasza Smuglewicza, aby ten ozdobił mu karotę „chińską techniką”. Smuglewicz, owszem, malunki potrafił wykonać, ale postawił Branickiemu warunek, aby chiński grunt wykonał jednak oryginalny Chińczyk. Kolejną karotę sprawił sobie hetman w 1766 roku. Zamówił ją u „Mr. De Dzuili w Lunéville”. A przecież Lunéville była siedzibą Stanisława Leszczyńskiego, którego Branicki był zajadłym przeciwnikiem. Cóż, widać sympatie polityczne to rzecz jedna, a pojazdowa reprezentacja była ponad nimi. Ostatnim pojazdem hetmana była „karetka paryska”, która przybyła z Francji do Gdańska w 1770 roku.

Nie więc dziwne, że mając takie tradycje, białostoccy notable, gdy nastała epoka motoryzacji, nadal zaprzatali sobie głowy, czym jeździć. No i nie zawsze wychodziło im to na dobre.



W sierpniu 1923 roku w Białymstoku zaczęto przebąkiwać o aferze związanej z nabyciem samochodu przez samego komendanta okręgowego (czyli wojewódzkiego) białostockiej policji, Witolda Filimowskiego. Po miesiącu szybko rozeszła się wieść, że komendant nabył auto o niebagatelnej wartości 3,5 tys. zł. Skąd miał taką sumę? Przecież nie mógł dorobić się jej na państwowej posadce. Ale idźmy po nitce do kłębka.

W 1919 roku wycofujący się z terenów województwa Niemcy pozostawili w Łomży ekskluzywną limuzynę marki Berliet Lyon. Przezorni łomżyniacy, nie chcąc, aby wpadła ona w bolszewickie łapy, rozebrali samochód na części i ukryli go w stodole w stercie słomy. I tak przeleżał tam dwa lata. Przy jakiejś okazji o aucie dowiedział się komendant Filimowski. Bezwzględnie udał się osobiście do Łomży, dokonał wizji lokalnej i nakazał przetransportować limuzynę do Białegostoku. Przepisy nakazywały, aby traktować takie okazje jako zdobycz wojenną i rejestrować je w „Demacie”, czyli specjalnym urzędzie zajmującym się mieniem porzuconym i niczym. Filimowski, owszem, zarejestrował, ale tylko część zdobyczy – karoserię. Pozostałe części auta – silnik, skrzynię biegów, resory, koła i opony – zapakowane zostały w kufry i ukryte na strychu komisariatu przy ulicy Warszawskiej 3.

W Łomży zawrzało. Jak to! Ich zdobyczne auto, ukrywane z narażeniem życia przez dwa lata przed wszystkimi wrogami, teraz bez walki oddano do Białegostoku. Sejmik powiatu łomżyńskiego wystąpił więc do wojewody białostockiego, Stefana Popielawskiego, z wnioskiem o kupno auta. Taki sam wniosek złożył Filimowski. Rezultat był łatwy do przewidzenia.

**Białostocka policja pod dowództwem Witolda Filimowskiego, 1921 r.**





W Łomży powtarzano to jak wyrok – „kadłub samochodu sprzedano p. Filimowskiemu” za jedynie 0,5 mln marek. Oferty łomżyńskiej nawet nie rozpatrywano, a o skrzyniach ukrytych na poliejnym strychu nikt się nie zająknął. Filimowski, aby uspić rozwścieczonych łomżan, odczekał kilka miesięcy, a następnie cały łup przekazał do najlepszego w Białymstoku zakładu mechanicznego prowadzonego przez Michała Zalewskiego przy ulicy św. Rocha 3. Mechanicy uporali się szybko ze złożeniem auta i komendant stał się właścicielem najdroższej w mieście limuzyny. Nie miał on jednak najmniejszego zamiaru nią jeździć. Wysłał berlieta łowca do Warszawy. Tam, w jednym z komisariatów, miał znajomego, który zajął się sprzedażą wojennej zdobyczy, a gotówkę, co tam gotówkę, fortunę uzyskaną z transakcji wysłał do Białegostoku. Teraz to już komendant Filimowski miał przeciw sobie i Łomżę, która ponownie zwarła szeregi, i Białystok, który nie mógł darować swemu pierwszemu policjantowi takich gesztów. Ten zaś, widząc, że sprawa zaczyna nieładnie pachnieć, zaczął się tłumaczyć. Przedstawił rachunki, że silnik nabył w Grodnie, a resory i koła w Warszawie. Wszystko niby trzymało się kupy, ale ulica i tak wiedziała swoje.

Tymczasem inni białostoccy dygnitarze mogli tylko pomarzyć o samochodach. Ich służbowymi pojazdami były magistrackie powoziki i konie zwane wyjazdowymi. Oczywiście, koniom przysługiwał magistracki owies. Pod koniec 1925 roku trwały prace nad budżetem na rok następny. W żaden sposób nie można było zbilansować wydatków i dochodów. Wówczas przewodniczący Rady Miejskiej, prowizor farmacji, Feliks Filipowicz, zaproponował „skasowanie koni wyjazdowych”. W myśl tego projektu prezydent i inni miejscowi notable mieliby otrzymywać pewne kwoty na jeżdżenie dorożkami. Wywołało to gwałtowną polemikę konno-polityczną. Argumentowano, że cena koni spadła i sprzedaż jest nieopłacalna i że rychło w porę Filipowicz się ocknął, jeżdżąc przez sześć lat służbowymi końmi. Nie to nie pomogło i w marcu 1926 roku magistrat ogłosił licytację. Zakończyła się ona fiaskiem. Dopiero w drugim przetargu pod koniec kwietnia białostoczanie zreflektowali się i wylicytowali „konie wyjazdowe naszych suwerenów municypalnych”. Zlicytowano też magistrackie powozy.

Ale relacje władza – konie przybierały też i inne oblicza. Istniał w Białymstoku Urząd Rozjemczy, który zajmował się sprawami nieruchomości. Praca urzędników polegała między innymi na częstych wyjazdach do miasta w celu oględzin domów czy mieszkań. Powstał problem: czym jechać? Praktykowane były dojazdy dorożką. Oplatę za nią uiszczał na miejscu zainteresowany petent. Rada miejska stwierdziła jednak, że „był to zupełnie niewłaściwy sposób pobierania opłat od interesantów”. Kierownik Urzędu, znany w mieście pionier ruchu spółdzielczego, Hieronim Liwerski, zwrócił się więc do magistratu z propozycją, aby jego podwładni też, wzorem prezydenta, mogli otrzymywać dorożkarskie diety.

Powoli nadchodził jednak czas aut. Ten cywilizacyjny skok nie obył się jednak bez pewnych trudności. W maju 1926 roku plotkarski Białystok powtarzał sobie niesłychaną historię. Oto jeden z dyrektorów miejscowej szkoły wraz z pewnym duchownym wybrali się na podmie-





Dygnitarski samochód przed bramą Ogrodu Miejskiego, około 1930 r.

ską biesiadkę służbowym autem z szoferem. Nieopodal Białegostoku w zapoznanym bufecie wszyscy trzej spalaszowali „kolduny litewskie i flaki po galicyjsku”. Takie menu bez wódeczki, wiadomo, nie występuje. W efekcie – jak poinformowała później prasa – „pan dyrektor, bogobojna osoba i p. szofer troszeczkę się urznęli”. Gdy przyszło wracać do Białegostoku, droga okazała się znacznie krótsza. Ledwo wyjechali na szosę, samochód wpadł do rowu i wszyscy biesiadnicy dotkliwie się potłukli. Przybyłemu na miejsce zdarzenia policjantowi szofer filozoficznie tłumaczył całe zajście. „Samochód wódki nie lubi. Pan dyrektor lubi wódkę, koń też lubił. Samochód psia krew nie lubi. Jak urźnie się, to tak i lezie diabelska maszyna, na słup lub do rowu”. Cóż było czynić. Aby odwieźć niefortunnych zmotoryzowanych dygnitarzy do domów, wezwano niezawodną dorożkę.



## Turcy w Białymstoku

Tureckie kuzanie - czy tylko tyle pozostało nam po Turkach, którzy w Białymstoku mieli się niegdyś całkiem nieźle? Pierwsi Turcy pojawili się w osiemnastowiecznym Białymstoku oczywiście za sprawą Jana Klemensa Branickiego. Jedną z atrakcji jego ogrodów, a jednocześnie sposobem na ich przemierzanie były niewielkie powoziki, zwane zgodnie z obowiązującą francuską modą *brouette* i *vinaigrette*. Cóż to takiego? *Brouette* to „wózek skórą czerwoną wybitą na trzech kółkach z Turczynkiem”. Czasem zamiast owego Turczynka, czyli Turka, zaprzęgano kucyka. Drugi z pojazdów był natomiast „krzeselkiem na trzech kółkach”, które popychało się z tyłu. Oczywiście znów w roli silnika występował Turczynek.



Turek sprzedający rachatlukum  
na białostockim Rynku Siennym,  
około 1935 r.





Białostocki Rynek Sienny, około 1910 r.

Ale w 1755 roku do Białegostoku zawitał turecki dwór. Stało się to za sprawą wstąpienia na tron sultana Osmana III. Obyczajem ówczesnej dyplomacji było powiadomienie innych, zaprzyjaźnionych koronowanych głów o tym fakcie. Tak więc poselstwa tureckie przemierzały całą Europę. Jedno z nich udawało się do Warszawy, ale przy okazji zahaczyło o Białystok. Jan Klemens Branicki, będący u szczytu powodzenia, przyjął posła tak, jakby sam był królem. Towarzyszący delegacji poeta, nie kryjąc zachwytu, opisał, co zobaczył w Białymstoku, i kończąc relację, westchnął: „Boże, podaruj ziemie te wyznawcom islamu”. Niestety, nie wiemy, czy Branicki tureckich gości kazał wozić po ogrodach *brouette* i *vinaigrette*.

Przez następne dziesięciolecia nic o Turkach w Białymstoku nie było słyhać. Dopiero pod koniec XIX wieku zaczęli przybywać tu ponownie. Przyczyną ich emigracji były wojny i niepokoje w ich rodzinnych stronach. Źródłem utrzymania przybyszów znad Bosforu były najeźdźcziej piekarnie. Jedną z pierwszych była piekarnia, a zarazem cukiernia „Konstantynopolitańska”. Mieściła się w nicistniejącej dziś kamienicy Jankiela Szmula Zabłudowskiego na rogu rynku i ulicy Tykockiej (obecnie Lipowa). Piekarnia ta miała swoje oddziały na ulicach: Instytuczej (obecnie Pałacowa), Mikołajewskiej (obecnie Sienkiewicza) i Pocztowej (obecnie Jurowiecka). To właśnie przy głównej siedzibie „Konstantynopolitańskiej” miał miejsce pierwszy zamach terrorystyczny przeprowadzony przez białostockich anarchistów. Wieczorem 22 października 1903 roku przez rynek szedł policmajster P. Metlenko. Towarzyszył mu miejski inżynier Aleksander Beriezin. Panowie szli nieśpiesznie, zabawiając się rozmową. Gdy





W budynku po lewej stronie, przy ul. Kilińskiego 16, znajdowała się piekarnia oferująca znakomite tureckie chleby, około 1925 r.

nie przy wstępie tureckiej cukierni, znienacka padły strzały. Inżynierowi szczęśliwie nie stał się nic. Piekarnik natomiast wyszedł z opresji niby też szczęśliwie, bo trafiono go w...  
...lity.

W okresie międzywojennym cukiernie i piekarnie tureckie cieszyły się już w Białymstoku ogromną popularnością. Czy wieść o tym dotarła aż do Turcji? Być może, bo nad Białą...  
...przyszedł Turcy. W związku z tym po pewnym czasie „większość piekarni ba...  
...w centrum miasta” przeszła w ich ręce. Białostoczanie chętnie kupowali tureckie...  
...specjałem cukierni było rachatlukum. Były to formowane niewielkie brylki skrobi...  
...z cukrem, do której dodawano galaretki owocowe. W lecie dużą popularnością...  
...miętowe rachatlukum. Jednak ci, co jedli waniliowe, twierdzili, że to...  
...natomiaś królował turecki chlebek. Był słodki dzięki dużej ilości mi...  
...i miodu. Miały te smakołyki i niemal gorczy. Orientalni pie...  
...tak duży popyt, rozpoczęli nieludzki wyzysk „białych murzynów”, czyli swoich...  
...w sklepie z pieczywem tureckim personel pracuje za marne wynagrodzenie...  
...bez zmiany i wypoczynku, w niedziele i w święta po 16 godzin na dobę”.



Ale czego oczy nie widzą, o to serce nie boli, jak głosi dawne porzekadło. Przeto białostoczanie chętnie odwiedzali ciesząc się największą renomą piekarnię i cukiernię turecką przy ulicy Pałacowej 5. Była to spółka pod nazwą „Indzerab”, której właścicielem był Mustafa Ince Arab. Prowadził ją ze stryjecznym bratem Helilem. Sensacją, która lotem błyskawicy obiegła miasto, stało się to, gdy w maju 1931 roku Helil okradł Mustafę i z niemalą kwotą 3618 zł zniknął. Powiadomiona o wszystkim policja po kilku dniach poszukiwań odnalazła nieuczciwego finka w Łomży. Po tym przykrym incydencie cukiernia przeszła w ręce kolejnych Turków: Kiazym Kierachana i Efendi Fezy-Zade. Im też nie dopisało szczęście. Kontrolujący piekarnię urzędnicy sanitarni stwierdzili, że panuje w niej karygodny brud. W sierpniu 1934 roku piekarnia i cukiernia przy ulicy Pałacowej 5 zostały zamknięte. Niestety w większości tureckich zakładów panowała „wschodnia higiena”. Najwięcej krytyki wywoływały wystawy. Układano na nich stosy ciastek i chałwy. Pomimo przepisu nie były niczym przykrywane. Przeto „laziły po nich roje much, które przedtem siadały na czym innym, niosąc zarazki, które konsument spożywa wraz z chałwą”.

Po zamknięciu „Indzeraba” dużym wzięciem zaczęła się cieszyć cukiernia „Stambul” przy ulicy Lipowej 16. Ale podobnych miejsc, w których można było kupić bądź zjeść wschodnie słodycze, było w Białymstoku kilka.

Jednym z nich była cukiernia przy ulicy Dąbrowskiego 14. Prowadził ją Abos Biber, który przyjechał z Turcji do Białegostoku około 1930 roku. Jego cukiernia zyskała szczególną sławę „wśród amatorów bezpłatnej wyzerki”. Przyczyną tego było usposobienie pana Bibera. Turek ów „wiecznie spał. Stojąc za ladą drzemał”. Dowcipkowano sobie, że pewnie śni mu się porzucona ojczyzna, a może „upajają go wspomnienia i wizje serajów i cudnych mieszanek haremów?”. Klienci odwiedzający cukiernię, wchodząc do lokalu, musieli głośno pokrzykiwać, po to aby cukiernik ocknął się i zaczął ich obsługiwać. Bywali jednak i tacy, którym stan Turka nie przeszkadzał. Widziano więc pewnego konsumenta, który spałaszował pokaźną ilość słodyczy. Gdy skończył ucztę, spostrzegł, że Biber śpi w najlepsze. Skrupulatnie odliczył więc należność, położył pieniądze na stole i cichutko wyszedł z cukierni. Turek ani drgnął. Zobaczywszy to, obżartuch dyskretnie wrócił do cukierni, „zainkasował” własne pieniądze i bezszelestnie znikł. A Biber? Oczywiście spał dalej. Trochę gorzej poszło Biberowi pewnego kwietniowego dnia 1931 roku. Do jego cukierni weszło czterech młodych mężczyzn. Jeden z nich szarmancko skłonił się przed Turkiem i przemówił z „pięknym akcentem konstantynopolskim. *Biur, Wer, efendim, metek, izium usz zlotis nuk*”. Na takie dictum Biber zaoferował gościom aromatyczną kawę, bakalie i ciastka. Gdy uczta dobiegła końca, cukiernik z ujmującym uśmiechem zjawił się z rachunkiem opiewającym na 8,30 zł. Wówczas ten sam zlotousty poliglota już nieco podirytowany rzekł: „Pozwolisz efendi, że się przedstawię. Jestem Roman Ostrzygało. Rachunek proszę zapisać na moje konto”. Biber delikatnie zaoponował, że kredytu nie udzieli. Wówczas całe towarzystwo z oburzeniem zerwało się z krzesel. Wykrzykiwali



przy tym, że to kandydaci brali namierzyć sobie taki turek w ogóle myśli. Konieczność w tym mieszań, które sami wywołali. Zapakowali do kieszeni garście ciastek i żurek, nie kładąc ich z lukiem wyszli na ulicę. Turek z bezradnie rozłożonymi rękoma wystąpił na tłum. Wtedy jeden ze smakoszy tureckich delcji cisnął w winyng cukierni kamieniem. Brzyk strasznego szła spłoszył zarówno napastników, jak i biadołcego Turka.

Nie wiemy, kiedy tureccy cukiernicy opuścili Białystok. Czy stało się to 20 października 1944 roku? Pozostały po nich jedynie tylko wspomnienia i wysmienite tureckie chlebki, które i tak nie są kojarzone z turecką kuchnią.



Przy ul. Pałacowej funkcjonowały tureckie cukiernie, około 1930 r.





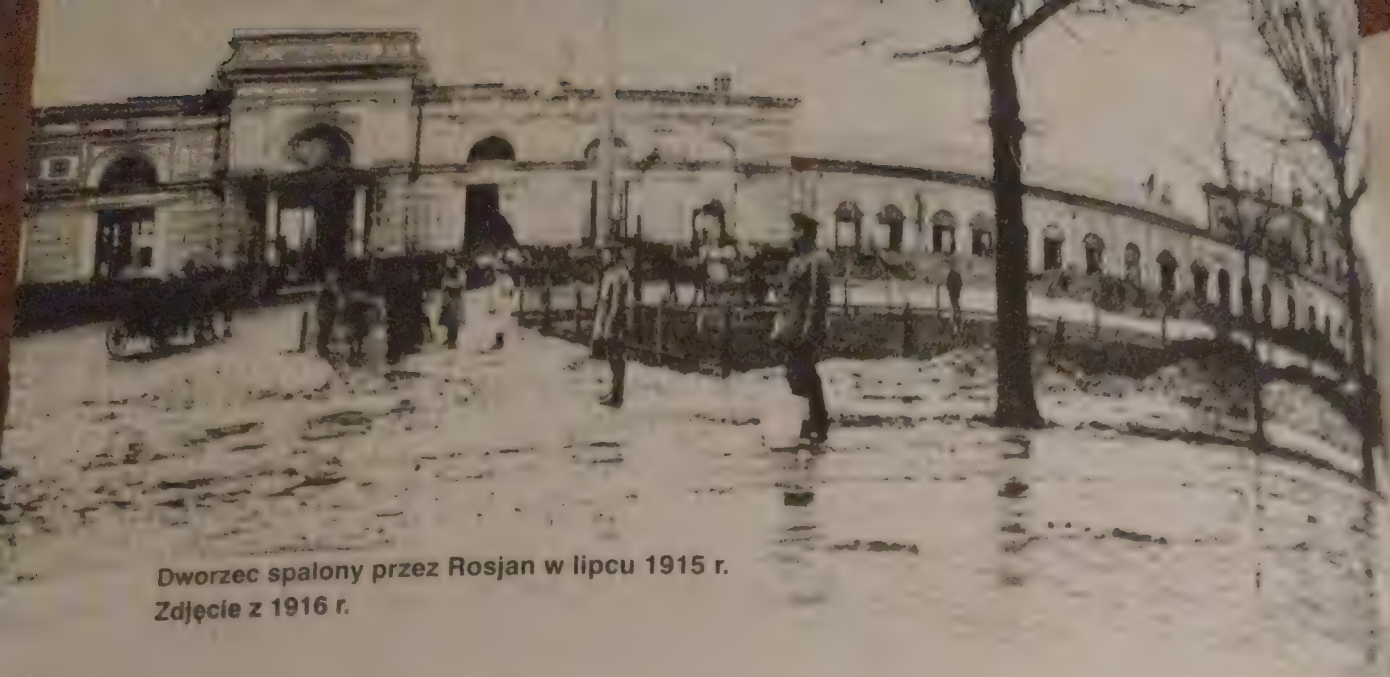
Prowadząca do dworca ul. Staroszosowa (obecnie ul. św. Rocha), około 1900 r.

## Dworzec białostocki

*A*negdota głosi, że gdy w 1833 roku carowi Mikołajowi I przedstawiono projekty budowy pierwszych linii kolejowych w Rosji, to monarcha znany z niechęci do technicznych ekstrawagancji z nieukrywaną irytacją wysłuchał, o co chodzi, po bieżnie rzucił okiem na przedstawione mu ryciny i plany, po czym pod adresem projektantów ryknął: „Poślijcie ich do domu wariatów!”.

Pomimo tej druzgocącej krytyki pierwszy pomysł budowy „żelaznej drogi” wiodącej przez Białystok pojawił się już w 1835 roku, ale dopiero w 1852 roku rozpoczęto prace przy trasie łączącej Warszawę z Petersburgiem. Jej projektantem był Stanisław Wysocki, dziś kompletnie zapomniany pionier polskiego kolejnictwa. Pierwszy pociąg osobowy z Warszawy do Białegostoku przyjechał 18 września 1862 roku. Z ówczesnego rozkładu jazdy wynikało, że trasę Warszawa – Białystok można było przemierzać dwa razy w tygodniu – w niedziele i czwartki. W stolicy wsiadało się na Dworcu Wileńskim o 9 rano i już po 5 godzinach i 50 minutach, czyli jak na tamte realia, w błyskawicznym tempie, było się w Białymstoku. Aby nie przypominać koszmarnu zadania matematycznego, że pociąg z miejscowości A do miejscowości B itd., po-  
dam od razu: pędził z szybkością 29 km/h.





Dworzec spalony przez Rosjan w lipcu 1915 r.  
Zdjęcie z 1916 r.

Pasażerowie przybywający do Białegostoku mieli do swej dyspozycji elegancki dworzec. Rozbudowano go pod koniec XIX wieku. W 1897 roku pisano: „W Białymstoku jest jeden centralny dworzec SPW [taki był oficjalny skrót petersbursko-warszawskiej kolei]. Znajduje się w samym mieście na Szosowej ulicy”. W tymże 1897 roku ruch pasażerski w Białymstoku był już całkiem spory. Z Warszawy przybywały dziennie cztery pociągi (pasażerski, pocztowy, towarowy i pośpieszny), z Wilna przychodziły pasażerski, pocztowy i pośpieszny. Były też pociągi z Brześcia, Grajewa i Baranowicz. Dla prowincjuszy nieobeznanych z kolejowym rozkładem jazdy zaznaczono na tablicy uwagę odnoszącą się do godzin przyjazdu i odjazdu: „wielkimi cyframi godziny, a małymi minuty”.

W 1913 roku stacja Białystok była już całkiem dużą instytucją. Na jej czele stał „rewizor ruchu”. Był nim wówczas Paweł Iszerski. Jego podwładnym był Naczelnik Stacji. To stanowisko piastował Michał Jegorow. Zgodnie z rosyjską biurokracją miał aż pięciu zastępców. Wszyscy oni mieszkali w kolejowych, rządowych domach. Sam dworzec białostocki był wizytówką miasta. Zachwycał wystrojem poczekalni od pierwszej do trzeciej klasy. Miał restaurację, bufet, sanitariaty. Na peronie, który był wówczas zadaszony, w 1908 roku pojawiły się pierwsze w Białymstoku trzy automaty z biletami peronowymi. Wszystko to niestety kosztowało. Nie więc dziwnego, że i bilety kolejowe były koszmarnie drogie. Białostoczanie wymyślili na to pewien sposób. W 1909 roku policja na przedmieściach wykryła tajną drukarnię, w której znaleziono fałszywe bilety, które „tylko z trudnością można było odróżnić od prawdziwych”.

Zbliżała się wojna. Automaty z peronówkami stały się bezużyteczne, bo w lipcu 1915 roku zakazano wstępu na perony. Podupadły też bufet i restauracja, w których nie można było zamówić koniaku i likieru. 12 sierpnia 1915 roku Rosjanie, uciekając z miasta, podpalili



dworzec. W kwietniu 1916 roku korespondent „Białostoker Zeitung” pisał, że „spacer po mieście daje pod względem architektonicznym wiele interesującego”. Dalej jednak wpadał w minorowy ton, donosząc, że:

urządzenia dworca kolejowego padły prawie w zupełności ofiarą rosyjskiej wściekłości mizerycielskiej. Poczernione mury i ponure otwory okien przypominają dawne czasy. Wojna, która odrużniała wiele cennych pamiątek architektury, uszkodziła w naszym mieście oprócz dworców kolejowych i fabryk, mało budynków.

Po zakończeniu wojny przystąpiono do remontu dworca. W grudniu 1923 roku „Dziennik Białostocki” triumfalnie obwieszczał:

Oglądajcie, podziwajcie nasz dworzec kolejowy, który oto wynurzył się z powijaków rusztowań i w całej krasie podłatanego wdzięku doprasza się komplementów. A te nie dają na siebie czekać. Starożyły tutaj na widok odnowionego oblicza dworca wzdychają ze smętną zadumą, kiwają znacząco głowami i szepcą z akcentem najwyższego uznania – jak do wojny... Jej Bogu, jak do wojny! – ma to znaczyć, że gmach stacyjny odzyskał swą świetną zewnętrzną z błogich przedwojennych czasów.



Sala restauracyjna dworca,  
około 1910 r.



Dworzec w 1897 r.



Je „świetna rzecz, co się dzieje” okupiona została aresztem Matusia Grenta, który...  
...złoty... (Matusia) się, że układał on z budowy większą ilość materiałów. Z...  
...pisanie... trochę gwizdał i uzbierał się na domki. Ale i tak...  
...W 1924 roku Maria Dąbrowska...  
...Pisała: „Warszawa przecież nie ma takiej sali bufetowej. Wyobraź sobie...  
...pod którymi płoną jaśniejąco misy lamp. Na tej sali...  
...piętna się na bufecie stogi ognistych pomarańczy”  
W pierwszym półroczu 1925 roku remont dworca ruszył ponownie. Tym razem...  
Komunikowano, że „sala III klasy urągająca dotychczas wszelkim...  
i higienicznym zostaje przebudowaną”. Miano dobudować specjalny...  
do dworca ułożyć chodnik betonowy. Prasa zachwycała się, że „dworzec...  
wzrost”.

Pasażerów wciąż przybywało. Rozkład jazdy z 1932 roku to już poważna sprawa. Nie było  
niegdyś pociąg w czwartek i niedzielę. Z Warszawy przychodziło codziennie sześć pociągów.  
Były też z Wilna, Grodna, Stolpców, Brześcia, Białowieży, Ostrołki. Przy jednym z pociągów  
przychożącym z Warszawy o 4.00 rano, zanotowano jednak, że „ma być zawieszony”. W 1938  
roku tak opisywano białostocki dworzec i jego otoczenie:

Białostok jest ważnym węzłem kolejowym. Dworzec kolejowy nie jest jeszcze przystosowany do  
nowoczesnych wymagań i nie posiada przejść tunelowych. Ku miastu prowadzi ulica Piłsudskiego  
(dawnej Kolejowej). Dla osób idących pieszo do miasta o wiele wygodniej jest udać się bezpo-  
średnio na most ponad torami kolejowymi ku ul. Św. Rocha. Wejście bezpośrednie z mostu na  
dworzec w porze nocnej nie zawsze jest otwarte. Dworzec ma restaurację i poczekalnię dla  
I-szej i II-giej klasy razem, dla III-ciej osobno. Podobnie i kasy biletowe. Obsługa sprawna jak  
zwykle na większych stacjach. Kiosk Ruchu z książkami oraz wszechstronnym doborem dzien-  
ników i czasopism. Przed stacją postój taksówek i dorożek konnych. Za kurs dorożką z dworca do  
rynku odległego o 2 km. płaci się 1 zł., względnie kurs dalszy 1 zł. 50 gr. Kurs zwykły dorożki  
70 gr. Autobus miejski z dworca jedzie w kierunku Rynku ulicą Piłsudskiego i marszałka Piłsudskiego.  
Od Rynku jedzie ulicami Sienkiewicza, Warszawską, Świętojańską, Mickiewicza i kończy  
kurs w wylociu ul. Drebnianej.

To był ostatni przed wybuchem wojny opis białostockiego dworca.





Hotel Wilhelma Ostrowskiego, w którym około 1900 r. otwarty został „Bar Amerykański”

## *Amerykański Białystok*

*B*iałystok kojarzony jest ze Wschodem, ale swoje prosperity zawdzięczał w dużej mierze Stanom Zjednoczonym. A stało się to za sprawą Jakuba Lewiego, który w 1883 roku przywiózł zza oceanu nieznaną dotychczas nad Białą technologię produkcji przędzy wtórnej, nazwanej nie wiadomo dlaczego tybetem. Ten tani sposób wytwarzania przędzy ze szmat uchronił miejscowych przedsiębiorców przed finansowym krachem. W tamtym Białymstoku epoki fin de siècle'u amerykańsko było też w gastronomii. Przy ulicy Mikołajewskiej (obecnie Sienkiewicza) Wilhelm Ostrowski prowadził hotel. W hotelowej restauracji, która mieściła się na parterze, około 1900 roku otwarty został „Bar Amerykański”. Niestety nie wiemy, czy ta nazwa dotyczyła wystroju lokalu czy może menu. Nie zachowały się bowiem żadne barowe karty dań.





Sterylizator podarowany  
przez Amerykanów szpitalowi  
Polskiego Czerwonego Krzyża,  
1920 r.

Przed szpitalem  
Polskiego Czerwonego Krzyża, 1920 r.

Ale prawdziwe uderzenie na Białystok przygotowali Amerykanie od 1919 roku. I tak pierwsza zainstalowała się w mieście Y.M.C.A., czyli jak już wówczas popularnie i z pewnością mawiano – „Ciocia Imcia”. Jej dyrektor, mister Andrzej Sanders, uchodził za jedną z ważniejszych osobistości w mieście. Nie mniejszą popularnością cieszyła się jego małżonka. Panowała w Białymstoku zgodna opinia, że Y.M.C.A. „zdziałała bardzo wiele dla żołnierza i społeczeństwa miejscowego”. Duże zasługi przypisywano też dynamicznie działającemu Polsko-Amerykańskiemu Komitetowi Pomocy Dzieciom. Organizował on bezpłatne posiłki oraz zbiórki ciepłej odzieży.

Jednocześnie aktywną działalność w mieście od 1919 roku prowadził Amerykański Czerwony Krzyż. W 1920 roku przystąpił on do organizacji nowoczesnego szpitala w dawnej siedzibie ambulatorium Rosyjskiego Czerwonego Krzyża przy ulicy Warszawskiej 29. Amerykanie zakupili do nowej placówki supernowoczesny sprzęt. Parowy sterylizator budził powszechną sensację. W szpitalu nie brakowało medykamentów, a i lekarze nie narzekali na wynagrodzenie. Szpital, co oczywiste, nosił imię Georga Washingtona. Pierwszy prezydent USA jest też patronem jednej z białostockich ulic już od 1919 roku. Budzi jednak lekkie zdziwienie, że między wojnami nie było w Białymstoku ulicy Amerykańskiej. Była Angielska, Argentyńska, Palestyńska. Sprawę, ale tylko połowicznie, załatwiał Nowy Świat.

Ale wracajmy do Amerykanów. Od początku niepodległości w całej Polsce niezwykle uroczysto, wręcz oficjalnie, obchodzono lipcowe Święto Niepodległości Stanów Zjednoczonych. Pod koniec czerwca 1919 roku w Białymstoku pod przewodnictwem tymczasowego prezydenta miasta Karola Józefa Puchalskiego zawiązany został komitet „w celu urządzenia obchodu święta narodowego Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej”. W dniu święta, 4 lipca,



...a przedstawił oras „przedstawiciele władz cywilnych, wojskowych i społeczeństwa polskiego” i udał się z amerykańską na czele na ulicę Sienkiewicza, gdzie znajdowała się siedziba miłośnika Ameryki, dr. Konrada Fiedorowicza. Tu spotkało ich zaskoczenie. Przypuszczano, że za przyjęcie ich prześlewnik misji major doktor Chesley. Tymczasem go nie było. Okazało się, że poprzednio po dniu wyjechał w nowym czasie kilku polskich lekarzy, aby zrealizować zadanie w Czapliwie, Sandomierzu i Łemżu. Celem tej wyprawy było zorientowanie się, jakiej pomocy potrzebują w powiaty. Po całonocnej pracy wyjechali z Łemży w kierunku Białegostoku, lecz „wielki zoreni” braku benzyny – musieli nocować w drodze” i dopiero rano telefonicznie wciągnęli kolejny samochód z Białegostoku.

Pod nieobecność szefa polską delegację przyjęli więc pozostali w miasto i doktorowie, kapitan Mc Guire, kapitan Smith, porucznik Campbell i porucznik Carnithers. Białostoczanie dziękowali za pomoc. Okazało się, że jest jeszcze jeden powód do świętowania. Oto bowiem do Białegostoku dotarła wiadomość, że wojska polskie, tocząc ciężkie walki z bolszewikami, zajęły Mińsk. Amerykanie poinformowali natychmiast zebranych, że już wysyłają specjalny pociąg z podziezami i żywnością „dla zgłodniałego Mińska”. W kulminacyjnym momencie urządził wręczono Amerykanom stosowny adres „spisany ozdobnie na bristolu”. Wszystkie przemowy, które kończyły się okrzykami „Niech żyje Ameryka!”, tłumaczyła „uprzejma Amerykanka zarządzająca gospodarstwem misji, miss Perkins”.



Dr Konrad Fiedorowicz (stoi) w trakcie operacji w szpitalu Polskiego Czerwonego Krzyża. 1920 r.



W tej szczególnej chwili cała polsko-amerykańska grupa udała się na Rynek Kołomyjski. Centrum miasta udekorowane było polskimi i amerykańskimi flagami. Na rynku, przed ratuszem, odbyła się uroczysta kolacja. W intencji pomysłowości Stanów Zjednoczonych. Po niej białostocka delegacja została zaproszona „do Amerykanów na śniadanie”. Wszyscy wzięli udział w Sienkiewicza. W saloniku misji panowała swobodna, miła atmosfera. „Czas bijał wesoło, pogadaniek z paniami z misji, wśród których znalazły się dwie nadobne Amerykanki Polki i wiele pięknej polszczyzny”. W trakcie tych rozmów „przed domem zahuczał samochód”. To właśnie zajeżdżał spóźniony major Chesley. Gdy wkroczył do saloniku, podwładni przedstawił mu cenny adres, który ponownie został przetłumaczony. Major oświadczył, że adres ten „jako miła pamiątka, złożony będzie w Waszyngtonie na wieczną pamiątkę”. Po tych wzajemnych kurtuazjach miss Perkins oznajmiła zebranym, że śniadanie podano. Towarzystwo wśród miłych pogawędek „spożywało smakowitą czekoladę amerykańską i paliło papierosy. Przez cały czas śniadania w przyległym pokoju przygrywała kapela Milicji Ludowej”. Piękną uroczystość zakłócił tylko jeden incydent. Powszechne zdziwienie budził bowiem fakt, że białostoccy Żydzi wyraźnie zlekceważyli to święto. „Żaden dom żydowski nie był udekorowany, żaden sklep żydowski w czasie nabożeństwa nie był zamknięty”.

Kontakty białostocko-amerykańskie zacieśniały się też za sprawą emigracji. To był dobry interes dla obydwóch stron. W czerwcu 1920 roku do Białegostoku przyjechali filmowcy z Amerykańskiego Towarzystwa Kinematograficznego, którzy postanowili wykonać „bezpłatne zdjęcia kinematograficzne mieszkańców m. Białegostoku, mających krewnych w Ameryce”. Taki przedwojenny Skype, tyle że niemy, a transmisja danych odbywała się okrętem przez Atlantyk. Zdjęcia do tych filmików nie były jednak bezpłatne – płacili za nie krewni w Ameryce. Filmowano jednocześnie 12 osób. Niestety nie wiemy, czy odbiorca w Nowym Jorku czy Chicago otrzymywał wykadrowanego krewniaka, czy musiał szukać go wśród 11 obcych delikwentów. No chyba że ktoś przyprowadził cały tłum rodzinny. Zdjęcia robiono w ogrodzie przy ulicy Sienkiewicza 28. Po ich zakończeniu wszystkie filmiki wyświetlono na specjalnym wieczornym seansie w pobliskim kinie Apollo.

Kolejni Amerykanie pojawili się w Białymstoku w październiku 1922 roku. Była to grupa przemysłowców, którzy postanowili „otworzyć tu fabrykę szkła”. Zainteresowali się pustymi parcelami leżącymi pomiędzy ulicami Sienkiewicza i Sobieskiego. Wkrótce zaczęła się budowa zakładu. I znowu pojawiła się szansa uczczenia Amerykanów. Wyticzając nową ulicę wiodącą do huty szkła, można było nazwać ją Amerykańską, ale nie wiedzieć czemu, nazwano ją Ryśką. W tym samym czasie, jakby na domiar złego, szpitalowi Georga Washingtona z koniecznością pomocy finansowej zgłosił się Belgijski Czerwony Krzyż. Cóż było robić. Dają, to trzeba brać. Cechem więc usunięto z szyldu ojca narodu amerykańskiego i zastąpiono go belgijską królową Elżbietą.



ХИМИКО-БАКТЕРІОЛОГІЧЕСКІЙ КАБІНЕТЪ  
 МАГИСТРА ФАРМАЦІИ Е. О. ВІЛЬБУШЕВИЧА  
 (Господарственный Медицинский Департаментъ въ 1905 г.  
 № 680).

Reklama apteki  
 Eugeniusza Wilbuszewicza,  
 1913 r.



Kamienica  
 przy Rynku Kościuszki,  
 w której mieściła się apteka  
 Eugeniusza Wilbuszewicza,  
 około 1930 r.

## Jak Nowik z Wilbuszewiczem pruli kasy

Nowikowie i Wilbuszewiczowie to dwie znaczne białostockie rodziny. Pierwsi zapisali najlepsze karty przemysłowej historii miasta, drudzy prowadzili jedną z najpopularniejszych białostockich aptek. Przypadek połączył ich kryminalnymi historiami.

Kamienica Nowików przy Lipowej 35 to jeden ze sztandarowych białostockich zabytków. Oprócz tego, że ładna, jest też jedną z niewielu pamiątek po potentatach białostockiego wło-kiennictwa. Wszystko zaczęło się w 1868 roku, gdy w Białymstoku zjawił się Calko Nowik. Kupił parcelę w okolicach dzisiejszej ulicy Nowy Świat i wybudował na niej niewielką wy-  
 twórnię sukna. Około 1898 roku wznosił nową fabrykę, tym razem przy ulicy Augustowskiej. Zaczął w niej dodatkowo produkować kapelusze. Miał Calko czterech synów – Eliasza, Pawła,



Salomona i Chanona. Paweł w latach 1908-1913 był radnym miejskim. Zasiadał też w radzie Budowlanej. Hanko Handkowskiego i w radach kilku spółek ziemnych. To w imieniu ojca, w imieniu całej rodziny, zarządzał fabryką. Eliaz był członkiem zarządu białostockiej Ochotniczej Straży Ogniowej, a Chanon działał w licznych żydowskich organizacjach charytatywnych. I właśnie Chanon wraz z żoną Sarą w 1910 roku zaczęli się budować przy ulicy Lipowej, aby w 1912 roku zamieszkać w reprezentacyjnej kamienicy. W 1915 roku Nowikowie wraz z fabryką zostali wywiezieni w Rosję.

W 1919 roku Nowików nie było jeszcze w Białymstoku, a działały tam różne organizacje, które robiły rzeczy ważne. Organizowano urzędy, powstawały nowe instytucje. Traf chciał, że białostocka poszukiwała też białostocka Poddyrekcja PKP. Bez większych ceregieli przejęła wieżę i kilka innych budynków. Wkrótce do Białegostoku powrócili jednak jej prawni właściciele. Nie potrafili sobie wyobrazić ich reakcję. Ale cóż, odpowiedź kolejarska była prosta. Budynki potraktowano jako mienie niczyje i zgodnie z ówczesnym prawem zajęto na potrzeby państwa. Chanon Nowik argumentował, że przecież budynek ten niezbędny jest rodzinie, bo przed wojną znajdował się w nim skład fabryczny, tak potrzebny ze względu na niedogodne położenie fabryki. To tu brat Chanona, Paweł, oferował i pokazywał swoim kontrahentom interesujące ich rzeczy. Tu dokonywano transakcji i stąd zabierano zakupione towary.

Wreszcie w lutym 1923 roku zarząd kolei przeniósł się na ulicę Kolejową i Nowikowie zaczęli wprowadzać się na Lipową. Niestety, nie było już wśród nich Pawła, któremu po roku w rosyjskim więzieniu nadszarpnął zdrowie. Zmarł w Berlinie w 1922 roku. Kierownictwo fabryki przejęli jego bracia Eliaz i Salomon i rozpoczęli urządzać od nowa skład surowców. W pokojach na parterze frontowego budynku ustawiono półki, na których leżały próbki materiałów produkowanych przy ulicy Augustowskiej. Na piętrze i w oficynie ulokowano mieszkania dla całej rodziny. W trakcie tych przeprowadzek wydarzyła się niezwykle historia. Był wieczór. Do krzątających się przy wnoszeniu mebli Nowików podszedł nagle nieznany im mężczyzna w kolejarskim mundurze i spytał: „Czy panowie odpowiadają za kasę, która znajduje się w tym gmachu?”. Wszyscy stanęli zdumieni, a tajemniczy kolejarz znikł w mroku korytarza. Jaka kasa? Gdzie ona jest? Dlaczego jej nie zabrano? Chanon Nowik postanowił rozwiązać tę tajemnicę. Wraz z urzędnikiem fabrycznym Alfredem Szejnem ruszył na poszukiwania sejfu. W komórce na podwórzu zauważyli niewielkie okienko, z którego sączyło się światło. Skierowali się ku niemu i w tym momencie ktoś zatrzasnął drzwi, a na „poszukiwaczy” rzuciło się trzech kolejowych strażników. Nowik i Szejn, pobici dotkliwie, ostatecznie się wyrwali się napastnikom i wybiegli na dwór. Zjawili się i pozostali domownicy zaalarmowani odgłosami bijatyki. Ktoś przyniósł lampę. Zza drzwi komórki wyszli też strażnicy, opowiadając, że przed chwilą ktoś próbował obrażować kolejową kasę i tylko dzięki ich odwadze zamiar złoczyńców został udaremniony. Gdy tak rozprawiali o swoim bohaterstwie, zauważyli obita i posiniaczoną twarz Chanona Nowika. Wszystko było już jasne. Tylko tajemniczy kolejarz



Wkrótce jednak skończyła  
właścicielka biuro i tej przemyślowej budowy.  
W 1920 roku zmarł Elasz, a w 1927 roku  
zmarli Siedman i Chanon.

W tym miejscu w tym też poszło o kasę. Do  
biurowiska przybyli mniej więcej w tym  
samym czasie co Nowikowie. W drugiej po-  
łowie XIX wieku przy białostockim rynku,  
pod numerem 17, wybudowali niewielką,  
piętrową kamienicę, w której Osip Wilbu-  
szewicz prowadził cieszącą się zasłużoną  
renomą aptekę. W 1890 roku przekazał ją  
swojemu synowi Eugeniuszowi. Ten w 1905  
roku otworzył przy niej laboratorium che-  
miczno-bakteriologiczne.

W okresie międzywojennym w kamienicy tej, obok apteki, zainstalował się Bank Spół-  
dzielczy Właścicieli Nieruchomości. I to jest właśnie sedno sprawy. W nocy z 29 na 30 marca  
1931 roku dyżur na rynku przypadł posterunkowemu Gawkowskiemu. Tamten marzec nie  
zapowiadał rychłej wiosny. Zmarznięty policjant chował się przed zacinającym śniegiem  
i deszczem w załomki rynkowych kamienie. Gdy tak stał w zaułku przy aptece Wilbuszewicza,  
około godziny 1.00 usłyszał „podejrzane szmery dochodzące z podwórka”. Nie namysławiając  
się, zajął na nie i w tym samym momencie minął go idący energicznym krokiem mężczyzna.  
Był elegancko ubrany. Na głowie miał cylinder, a całą postać skrywał nienagannie skrojony  
płaszcz. Gawkowski grzecznie, acz stanowczo spytał: „Kto pan jeste?” Nieznajomy również  
grzecznie odparł: „Eugeniusz Wilbuszewicz. Właściciel apteki”. Na coś takiego policjant na-  
brać się nie dał. Wilbuszewicz był zbyt znaną postacią w mieście, aby byle gogus mógł się za  
niego podać. Na dodatek prowizor był starszym panem, miał wówczas 66 lat, i powszechnie  
było wiadomo, że ostatnio podupadł na zdrowiu (zmarł w grudniu 1931 roku). A tu jakiś  
energiczny dryblas i w dodatku o 1.00 w nocy! Dalej wszystko potoczyło się w okamgnieniu.  
Falszyfikat Wilbuszewicza, czując, co się święci, dał drapaka w nomen omen ulicę Ciemną (była  
to jedna z wielu nieistniejących obecnie uliczek pomiędzy rynkiem a Legionową). Gawkowski  
za nim, krzycząc, że będzie strzelał. Nieznajomy biegł dalej. Posterunkowy strzelił trzykrotnie  
i trzy razy trafił. Dwa razy w nogi i raz w część kręgosłupa pomiędzy nogami i plecami. Do-  
piero ten ostatni postrzał unieruchomił zbiega. Przewieziono go natychmiast karetką „Umas  
Hacedek” do szpitala św. Rocha na ulicę Piwną (obecnie Marii Skłodowskiej-Curie). Tu do-  
piero ustalono, kim był nieznajomy. Nie był to, rzecz jasna, szacowny prowizor farmacji, ale  
znany warszawski kasiarz Edward Zakrzewski. Pod eleganckim paltotem miał skryte świdry



Paweł Nowik, 1908 r.









Wąska ul. Lipowa vel Tykocka, 1910 r.

## *Kamienicznik dyktuje warunki*

Mało kto dziś pamięta, że odcinek ulicy Lipowej pomiędzy Rynkiem Kościuszki a Malmeda w XIX wieku miał nazwę Tykocka. Białostoczanie zwali go też wąską Lipową z racji tego, że faktycznie od cerkwi aż do wzgórza św. Rocha ulica ta była znacznie szersza. Wąską Lipową tworzyły ciasno ustawione kamienice. Najokazalsza należała do Kalmana Goniądzkiego. Wznosiła się na rogu ulic Tykockiej i Ossorgińskiej, jak za czasów carskich nazywana była Spółdzieleża. Dalej stały mniejsze domy Halpernów, Słowiesów i duża kamienica Rachmiela Szpinmana. W niej znajdował się wysmienity sklep z brzytwami, prowadzony przez Szymona Lwa. Furore robiły brzytwy nazwane być może na cześć cara – Aleksander II. Jedna kosztowała 2 ruble i 25 kopiejek. Tańszym modelem był hrabia Tolstoj za rubel i 80 kopiejek, a zwykła prosta Łuna kosztowała zaledwie półtora rubelka.



Продукты британских сталей «МАГНИТЕНА» с фирмой Sch. L. Low, Solingen  
готовыми к употреблению.

№ 1	1 р.	30 к.
№ 2	1 р.	60 к.
№ 3	2 р.	



Бритва-машинка „Гр Alexander II“ 2 р. 25 к. Бритва-машинка „Гр Tabor“ посеребр. № 15 1 р. 80 к. и № 20—2 р. 80 к. Бритва-машинка „Луна“ № 30 с 6 запасн. лезвиями въ фут. 1 р. 50 к., № 35—2 р. 20 к. и № 40 посеребр. 2 р. 80 к.



Посылается упрощ. въ суверенномъ маг. Ш. Л. ЛЬВА, Бѣлостокъ. Тыкоцкая, д. Шлиманна.

Reklama brzytew, 1913 r.



Константы Косиński – редактор  
„Газеты Бѣлостокской“  
1911 г.

Tuż przed wybuchem I wojny światowej za kamienicą Szpinmana stanął podziwiany przez białostoczian dom Warnholtza, nazywany od charakterystycznego świetlika domem ze szklanym dachem. Sam właściciel dorobił się majątku, sprzedając instrumenty muzyczne. Tuż przed ulicą Kupiecką (obecnie Icchoka Malmeda) była duża kamienica Abrama Wellera. W niej mieścił się słynny sklep Gottlieba z rowerami, maszynami do szycia i gramofonami. Po przeciwnej stronie Tykockiej, tam gdzie obecnie jest hotel Cristal, pod numerem 5 uwagę przyciągała największa w tej pierzei kamienica Borucha Gwina. To do niego w 1912 roku przyszedł Konstanty Kosiński i wynajął tam pomieszczenia na redakcję pierwszego polskojęzycznego pisma w Białymstoku – „Gazety Białostockiej”. U Gwina wynajmował też pomieszczenia Lejzor Kofman, który prowadził renomowaną, jedną z niewielu w Białymstoku, wytwórnię stempli i numeratorów. Na parterze tej kamienicy niejaki Grinhaus miał duży sklep z galanterią.



Jednym z lokatorów tej kamienicy, w której mieszkał również sam Gwin, był niejaki Cypin. Wynajmował on wygodne, pięciopokojowe mieszkanie. Od samego początku stosunki pomiędzy obu panami nie układały się najlepiej. Najpierw poszło o drzwi przy wejściu do przedpokoju, które Gwin i Cypin tę część mieszkania i kuchnię mieli wspólną. W 1922 roku Cypin wystąpił się w Urzędzie Mieszkaniowym o orzeczenie, które „zakazywało Gwinowi korzystania z przedpokoju i wejścia i kuchni”. Reszta lokatorów z niemalym rozbrawieniem obserwowała, jak Gwin do swego okrojonego mieszkania wchodził kuchennym wejściem od przedpokoju, natomiast paradował Cypin. Ci, co brali stronę właściciela, pytali: „Kiedyż kamienicznik zostawi równani w prawach z lokatorami?”. A tymczasem pani Gwinowa zgodnie z zakazem korzystania z kuchni „musiała pitrasić jadło na prymusie”. Pewnego dnia Gwinowie postanowili po obiedzie napić się herbaty. Gwinowa udała się więc z samowarem do kuchni, aby tam nappełnić go wodą i rozpaścić. Zauważył to natychmiast Cypin i w niewybredny sposób zaczął się wyzywać. W obronie małżonki i herbaty stanął Gwin. Tego lokator już nie wytrzymał, złapał samowar i wyrzucił nim w Gwinową głowę. Sprawa trafiła do sądu – Cypin został skazany na dwa tygodnie aresztu.

Pomimo tych kłopotów kamienica przy ulicy Lipowej przynosiła dobre dochody. Oprócz sklepów były w niej trzy pięciopokojowe mieszkania, trzy z czterema pokojami, trzy czteropokojowe i pięć mieszkań dwupokojowych. Wzbożacy na czynszach Gwin w 1920 roku kupił od Pinchusa i Riwy Korniańskich kamienicę przy Rynku Kościuszki pod siódemką. W niej wynajmował 38 pokoi. I właśnie po nabyciu tej rynkowej kamienicy wydarzyła się historia, która później krążyła jako anegdota. A poszło o... klozety.

Był kwiecień 1922 roku. Pewnego dnia lokatorzy obu kamienic z konsternacją stwierdzili, że wszystkie ubikacje zamknięte są na cztery spusty. Oburzeni udali się gremialnie do Gwina, a ten niczym babcia klozetowa oświadczył, że za wpuszczenie ich do wychodka życzę sobie dodatkowych, jednorazowych opłat. Żadne tłumaczenia i prośby nie skutkowały. Wobec tego lokatorzy udali się do Urzędu do Walki z Lichwą i Spekulacją. Urząd stanął po ich stronie. Nie dość, że nakazał Gwinowi otworzyć klozety, to jeszcze wymierzył mu grzywnę – 5 tys. marek. Kamienicznik ani myślał ustępować. Odwołał się do Warszawy. Ta stwierdziła, że czym jak czym, ale białostockimi wychodkami to się zajmować nie będzie i odesłała sprawę z powrotem do Białegostoku. Tu Gwin nie miał szans. W dodatku szalejąca inflacja z 5 tys. zrobiła 50 tys. Wściekły właściciel złożył klozetową apelację w Sądzie Okręgowym, dowodząc, że „w umowach najmu nie było mowy o klozetach, które wynoszą o wiele drożej niż całe komorne”. Tym razem sąd uznał argumenty Gwina. Nieszczęśni lokatorzy, chcąc udać się tam, gdzie i król piechotą chodzi, musieli płacić i już.

Kolejnym nabytkiem Gwina była kamienica Tartackich przy Rynku pod numerem 9. Wybudowana została na początku XX wieku. Mieściła się w niej ulubiona przez białostoczan cukiernia Wacława Fijałkowskiego. W 1921 roku Tartaccy sprzedali kamienicę Polskiemu





Kamienica przy Rynku Kościuszki 7  
(pierwsza od prawej), 1897 r.

Loydowi. W 1930 roku kolejnym właścicielem został Boruch Gwin. Nabył ją z całym dobrodziejstwem inwentarza, którym był przede wszystkim Dom Handlowy Braci Głowińskich. Istniał on od 1919 roku. Dwoma głównymi działami tego dużego jak na białostockie realia sklepu były towary kolonialne i alkohole. Głowińscy byli przedstawicielami wytwórni doskonałych lwowskich wódek Baczewskiego. Polecali też „największy wybór win zagranicznych, własnego rozlewu, win krajowych, miody, kawę, kakao, czekolady, karmelki śmietankowe. „Brzeźnisk” czekoladowe [co to takiego? – pojęcia nie mam!], tytonie, denaturat [też mi delikates!]” i jako nieodzowny rekwizyt alkoholowo-papierosiany – karty do gry. Bracia Głowińscy cieszyli się szacunkiem białostoczan, a ich sklep uchodził za jeden z najlepszych w mieście.





Foto w marcu 1939 roku po Białymstoku gruchnęła wieść, że dom handlowy, prowadzony już tylko przez jednego z braci – Henryka, będzie zlikwidowany. Powodem tego miała być drastyczna podwyżka czynszu. Dodatkowo właściciel kazał płacić należność za cały kwartał z góry. Oburzenie było tym większe, że poprzedni czynsz był i tak wyśrubowany. Sytuację tę wykorzystali natychmiast środowiska antysemityczne. Prawicowa prasa grzmiała:

rozumiemy doskonale politykę p. Gwina, ale przecież nie zmusi on nas do płacenia haraczu na rzecz wydalonych z Niemiec jego współplemienców! [...] Na miejsce wyrugowanego Polaka przyjdzie Żyd, by tym łatwiej zdusić młody polski handel [...]. Musimy tym panom Boruchom



...że my jesteśmy gospodarzami tego kraju i że przyłędem z...

W obronie Henryka Głowińskiego prezes Rady Okręgowej Organizacji Kupiectwa Chryś-  
jańskiego, Wacław Sandomierski, złożył na ręce wojewody białostockiego Henryka Ostaszczy-  
ńskiego odpowiedni memoriał. Nie odniósł on oczekiwanego skutku. Dom Handlowy z...

...historia przytrafiła się Boruchowi Gwinowi w związku z białostockim domem...  
Mieścił się on przy ulicy Kupieckiej 34 (obecnie Icchoka Malmeda). Instytucja ta notorycznie  
cierpiała na brak funduszy. Wreszcie zmęczony tym stanem rzeczy zarząd, na którego prze-  
stał Benjamin Cytron, syn znanego fabrykanta, w 1936 roku podał się do dymisji. Zaczęto  
gorączkowe poszukiwania nowego prezesa. Wybór padł na Borucha Gwina. Już miał obja-  
wić prestiżową posadkę, gdy odkryto, że sam zainteresowany też jest dłużnikiem. Otóż swo-  
je czasu Gwin do przytulku postanowił oddać swoją matkę. Staruszka mieszkała w nim przez  
siedem lat, aż do śmierci. Szkopuł w tym, że Gwin nie płacił za jej pobyt. Kwota była niby nie-  
wielka, 40-50 gr dziennie, ale przez siedem lat uzbierało się tego 1200 zł. Przyszła prezesura  
jednak nie takie pieniądze była warta. Gwin więc szybko wyrownał długi i mógł już zasiąść  
w fotelu prezesa.

Wybuch II wojny światowej oznaczał kres tej historii. Kamienicznik Gwin nie mógł spokoj-  
nie żyć w zajętym przez Sowieców mieście. Jego sytuacja stawała się coraz bardziej stresująca.  
Miał też już swoje 67 lat. W połowie czerwca 1940 roku (inni twierdzili, że była to jesień)  
Gwin zasłabł na ulicy. Przybyły lekarz stwierdził atak serca. Jego żona, Miriam, widziała, jak  
w czerwcu plonie ich kamienica przy Rynku Kościuszki 7. 6 lipca 1943 roku w białostockim  
getcie zastrzelił ją niemiecki żołnierz. Kamienica przy ulicy Linowej 5 spłonęła w lipcu 1944  
roku.



Or

Q

go. N  
dokun  
Białos  
zwali

Jes  
tyczn  
kolej  
go), I  
ulicą  
Ryne  
do d  
rozpo  
ściusz  
Instyt  
Warsz  
cach  
nieck



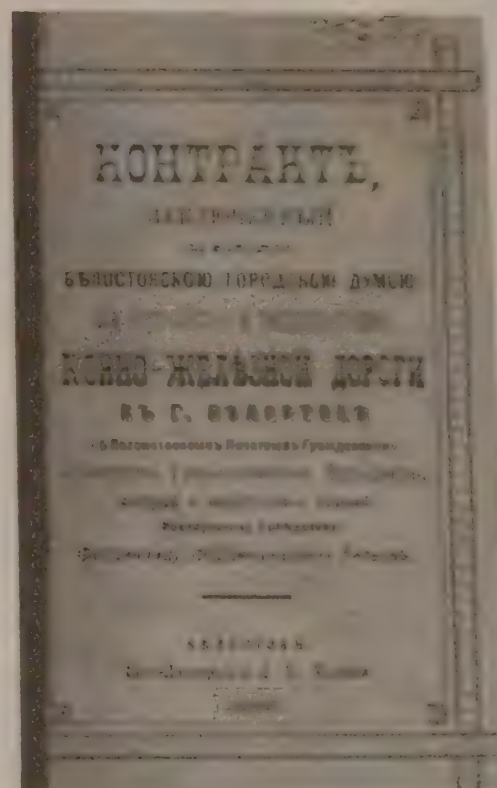


Konka u wylotu ul. Lipowej.  
1900 r.

## Konką przez miasto

W 1895 roku władze Białegostoku zawarły z Belgijskim Towarzystwem Akcyjnym kontrakt na budowę i eksploatację linii tramwaju konnego. Na okładce wydrukowanej broszury zawierającej ten dokument pysznił się światowo „Tramways de Białystok”. Białostoczanie, nieprzywykli do francuskich fanaberii, nazwali tę miejską nowość pieszczotliwie konką.

Jeszcze w tym samym roku przystąpiono do budowy. Wytyczone zostały dwie linie. Pierwsza prowadziła z dworca kolejowego ulicami Nowoszosa (obecnie Dąbrowskiego), Lipową, Tykocką (obecnie Lipowa na odcinku między ulicą Malmeda i Rynkiem Kościuszki), Bazarną (obecnie Rynek Kościuszki), Mikołajewską (obecnie Sienkiewicza), do dworca kolei poleskiej (Białystok Fabryczny). Druga rozpoczynała się z placu Bazarnego (obecnie Rynek Kościuszki) i wiodła ulicami Niemiecką (obecnie Kilińskiego), Instytucką (obecnie Pałacowa), Aleksandrowską (obecnie Warszawska), Prudską (obecnie Świętojańska). W miesiącach letnich linia ta przedłużana była przez Las Zwierzyński do „bufetów” – miejskiego letniska Rozkosz.



Kontrakt na budowę  
i eksploatację tramwaju  
konnego w Białymstoku,  
1896 r.





Konka w Lesie Zwierzynieckim  
1910 r.

Wagony konki były I i II klasy. Latem w białostockich ulicach od godz. 14.00 do 23.00 wieczorem jeździły 21 konk, wyposażone jedynie w lekki daszek, a zimą w godzinach 7.00-21.00 miały do dyspozycji 16 zaopieczonych pojazdów. Ceny biletów były umiarkowane, 3 do 8 kopiejek w zależności od klasy wozu i trasy.

Zajezdnię tramwajową wybudowano przy końcu ulicy Prudskiej, to obecne Róg Plant, pomiędzy ulicami Świętojańska, Akademicka i Skłodowskiej-Curie. Jej pierwszy w Białymstoku zbiorowa komunikacja miejska cieszyła się dużą popularnością. Wagoniki konki wpisały się doskonale w powiat miasta. Ale czy to z powodu nadmiernej eksploatacji czy może z szybkiego tempa budowy pasażerowie zaczęli narzekać na zły stan techniczny wagonów. Dokuczali im zwłaszcza zimą. Odnotowano liczne przypadki zamarzania hamulców, co powodowało, że ciężkie wagoniki najeżdżały na krawężniki dotkliwie. Kroniki policyjne wspomniały też zdarzenie z marca 1913 roku, kiedy to jadący z nadmierną prędkością wagonik wywrócił się. Wypadek miał miejsce nieopodal wiaduktu kolejowego. Prasa doniosła, że „damy powypadały na bruk i uległy potłuczeniu”. Konka przestała kursować w 1915 roku po zajęciu Białegostoku przez Niemców. Wagoniki zmagazynowane zostały w zajezdni i tam niszczały, ale szczyt tramwajowe jeszcze przez wiele lat jeździły na białostockich ulicach.

Ostatni bodaj i to dosyć oryginalny kurs tramwajowy w Białymstoku odbył się w maju





Konka na ul. Aleksandrowskiej (obecnie ul. Warszawska), około 1910 r.

1919 roku. W mieście po odzyskaniu niepodległości doskwierał głód. Mieszkańcy wyczekiwali transportów mąki, cukru i ziemniaków. Te zaś przyjeżdżały na Dworzec Poleski przy ulicy Towarowej. I właśnie tam wieczorem 7 maja 1919 roku na końcowy przystanek nieczynnej konki niby widmo zajechał zaprzężony w dwa wychudzone konie wagon tramwajowy. W okamgnieniu załadowany został workami kartofli i ruszył w stronę miasta. Z Sienkiewicza skręcił w Warszawską i zatrzymał się na rogu Elektrycznej, gdzie łup został równie błyskawicznie rozładowany i wniesiony do niewielkiego sklepu. Całe to wydarzenie zauważył przechodzący ulicą żołnierz. Natychmiast o wszystkim powiadomił policję.

Pozostałe po konce tory inspirowały do przywrócenia tramwaju miejskiego. Stutysięczne wojewódzkie miasto nie miało przecież żadnej zbiorowej komunikacji. Cały czas myślano o tramwaju. Już we wrześniu 1921 roku do białostockiego magistratu wpłynęła oferta od dyrekcji Belgijskiego Towarzystwa Akcyjnego. Belgowie widać darzyli Białystok sentymentem. Rozmawiano rzecz jasna o tramwaju elektrycznym. Po pertraktacjach została podpisana z nimi umowa, która zobowiązywała ich do uruchomienia komunikacji. Jednak w 1924 roku na „wskutek niedotrzymania przez Akcyjne T-wo Tramwajów Białostockich umowy koncesyjnej” została ona zerwana. Przystąpiono do licytacji majątku.

Władze miejskie nie zrezygnowały jednak z planów realizacji tej inwestycji. Nadal działała powołana już wcześniej Komisja Tramwajowa. Zwróciła się ona do władz Torunia, Grudziądza, Bielska-Białej i Łodzi o nadesłanie umów, na mocy których w tych miastach zorganizowano komunikację tramwajową. Poproszono też dyrektora warszawskich tramwajów miejskich inżyniera Alfonsa Kuhna o pomoc. W mieście wierzono, że „już może w niedługim



...niezależnie od tego, że w tramwajach, lecz napełniały nimi jeźdźce". Kłopotem było w tym czasie, że w Białymstoku nie było elektryczności. Karłowicz zaproponował, aby tramwaje były napędzane przez konie. W tym celu zaprojektowano linię tramwajową, która biegła od Dworca Poleskiego do Rynku. Projekt ten nie został zrealizowany, ponieważ w tym czasie w Białymstoku nie było jeszcze elektryczności. A to projektowany tramwaj miał być elektryczny. W końcu postanowiono oddać Białegostok. W mieście panowała więc opinia, że tramwaje nie będą się wcale w tym mieście. I zdaje się kwestią dalekiej przyszłości, i sprawa została zamknięta w ten sposób.

Pierwszą próbą zbudowania tramwajów w 1924 roku konkurs Belgów okazała się nadal nieudaną. Do Białegostoku wtedy przyjechał przedstawiciel magistratu. I tak na początku 1925 roku z niemiecką firmą udał się tam radny Samuel Edelsztejn. Niestety i on nie miał powodzenia. Białystok przeżywał ogromne trudności z powodu braku sprawnej komunikacji publicznej. W 1929 roku konkurs na zorganizowanie komunikacji autobusowej otrzymała firma Samson. Jej usługi wywoływały falę krytyki. Pisano, że „autobusy są niewygodne, nie mają miejsca dla wózków i podwoziach, trzęsa, kopca i utrzymane są w stanie archaizującego. Wnętra brudne, siedzenia odrapane, podłoga stale zabłocona, obsługa ciężka, obsługa nieudolna i często niesłowna wobec publiczności”. Pomimo tych niedostatków firma, jak szacowano, przewoziła 11,5 mln pasażerów rocznie, co przynosiło jej 100 tys. zł czystego zysku.

Opinia publiczna podnosiła po raz kolejny kwestię tramwajów. Upatrywano w nich i dla miasta, i wypate dla pasażerów. Sugerowano, że najbardziej opłacalnym będzie oddanie konkursu do 1965 roku. Tramwaje miałyby kursować w godzinach od 7.00 do 23.00. Proponowane trzy linie, które były zmodyfikowaną trasą konki. Linia 1 zaczynać miałaby się na dworcu kolejowym i dalej przebiegać ulicami: Lipowa, Rynkiem Kosciuszki, Kilińskiego, Północną i kończyć się na Mickiewicza. Linia 2 startowałaby z Rynku i przez ulicę Siemkiewicza dochodziłaby do Dworca Poleskiego. Linia 3 uruchamiana miała być na czas letni i przebiegać od Siemkiewicza do Zwierzyńca. Proponowano też „przerzucenie linii tramwajowej” do Sępczaka i Wasilkowa. Pomysłodawcy podkreślali walory komunikacji tramwajowej, jej niezawieranie, punktualność i brak spalin. Niestety, lata, w których dyskutowano o budowie tramwajów, nie sprzyjały tej inwestycji. W pierwszej dekadzie po odzyskaniu niepodległości, w Białymstoku, nie sprzyjały tej inwestycji. W pierwszej dekadzie po odzyskaniu niepodległości, w Białymstoku, nie sprzyjały tej inwestycji. Gdy już wydawało się, że Białystok stabilizuje się, przyszedł światowy kryzys gospodarczy. To on skutecznie przeciął dyskusję o budowie tramwajów.

W 1931, w tramwajach mówiło się w Białymstoku jak o fantazji. I tak budując szeroką drogę i ulicę (ulicę Piłsudskiego), zamiast przygotować na niej torowiska, snuto plany o budowie linii tramwajowej. Gdy modernizowano układ komunikacyjny Białegostoku w okresie międzywojennym, to też nie dostrzeżono szansy budowy tramwajowej trasy i w tym czasie tramwaje nie były w Białymstoku jedynie wspomnieniem o koncepcji.





Kino Modern, 1912 r.

## *X muza w służbie PRL-u*

*W* powojennej Polsce niewiele miast mogło się poszczycić nowoczesnym kinem z prawdziwego zdarzenia. A Białystok mógł. Kino Pokój, bo o nim mowa, zaliczono do najpiękniejszych w Polsce. Panowała w nim atmosfera nowości, wielkości i ekskluzywności, jak na ówczesne warunki oczywiście.

Dziś już nie można stwierdzić, czym kierowali się projektanci, gdy wybierali miejsce na kino. Może uznali, że białostoczanie przyzwyczajeni są, że na rogu ulic Lipowej i Nowego Świata musi ono być? W końcu od 1912 roku było w tym miejscu kino Modern, a po jego placie w 1937 roku wybudowano najnowocześniejsze w mieście kino Pan. Po sąsiedzku, przy ulicy Lipowej 18, znajdował się założony w 1913 roku kolejny – jak wówczas określano – elektro-teatr Wiosna Mir (Cały Świat), a za niemieckiej okupacji w latach 1915–1919 Ganze Welt. Plac przy ulicy Lipowej, wówczas ulicy Stalina, był więc po prostu skazany na kolejny przybytek X muzy.

Jego otwarcie zapowiedziano na 22 lipca 1952 roku. W przeddzień lipcowego święta poinformowano, że kino otrzyma ustaloną urzędowo nazwę Pokój. Prasa informowała





Kino Pan, po 1941 r. przemianowane na Capitol, lata 1941–1942



Spalone kino Pan, 1944 r.

o tym, że wypisanie tego napisu na froncie kina przypadło w udziale brygadzie Antymiego Leonowicza". Dalej wspomniała o podżegaczach wojennych, mordercach spokojnej ludności koreańskiej i, co najważniejsze, dodawała, że w tym czasie na budynku kina, które powstało z pracy robotników budowlanych, zadano zawołanie przeciwieć masom pracującym Białegostoku w walce o pokój i mobilizować ich do nowej wojny" (ni mniej, ni więcej odnosiło się to do idei propagowanej przez Związek Radziecki w przeciwieństwie do imperialistycznych państw Zachodu, z których na Światy Zjednoczonych, oskarżanych o podżeganie do nowego



22 lipca wszystko było gotowe. No prawie wszystko. W wirze prac nie zwrócono większej uwagi na otoczenie kina, a to przypominało zaiste pobojowisko: porozrzucane i połamane deski rusztowania, żwały gruzu. Gdy jednak goście przedarli się przez plac budowy, witali ich: obfita kina, elegancko ubrana w brązowe kostiumy, przestronna i przestronna kina i wygodne fotele. W oczekiwaniu na seans widz mógł znaleźć „wygodny odpoczynek w jasnej i pięknie udekorowanej czytelni obficie zaopatrzonej w książki współczesnych pisarzy polskiej i zagranicznej”. Co ciekawe, jak podała później prasa przy okazji otwarcia Teatru Akademickiego z okazji rocznicy rewolucji październikowej i Miesiąca Pogłębiania Przyjaźni Polsko-Radzieckiej, owe dekoracje stanowił ukwiecony portret Józefa Stalina. Pod jego marsowym obliczem rzeczywiście można było zagłębić się w lekturze zagranicznych publikacji, czyli... kompletów radzieckiej prasy i literatury z bratniego kraju. Już później, po latach, na ścianach pojawiły się fotostyżki znanych aktorów i scen z filmów, mające przybliżyć kinomaniom.

A gdy nadchodziła godzina seansu, widz przechodził do sali projekcyjnej. Mogła ona pomieścić aż 800 osób. Aby poprawić akustykę, ściany obito eternitem falistym, czyli cienkimi płytami azbestowo-cementowymi. Dzięki temu dźwięk miał się rozchodzić „równomiernie po całej sali, odbijając się od tylnej ściany obciągniętej ceratą. Należy podkreślić, że pomysł ten wyszedł od projektanta kina inż. architekta Zygmunta Rogulskiego”. Zadbano także o to, by kinomani nie cierpieli z gorąca. Wspomnianemu inżynierowi Pokój zawdzięczał bowiem skuteczną wentylację, określoną jako „urządzenie klimatyzacyjne”. Iście nowatorskim rozwiązaniem była podłoga widowni, wyłożona „specjalnym materiałem posadzkowym zwanym ksyloitem. Ksylolit jest twardy i trwały, a jednocześnie elastyczny”.

Kino Pokój, lata 50. XX w.







Kino Pokój, około 1970 r.

Gdy w 1956 roku ukazał się bodaj pierwszy powojenny przewodnik turystyczny po Białymstoku, autorzy wspomnieli w nim o kinie. Pisali: „Na rogu ul. Nowy Świat znajduje się kino Pokój, w tym samym gmachu gustowna kawiarenka, w niej można otrzymać przysmak bałkański, baze – napój z fermentującego mleka”. Kawiarnia nazywała się „Kinowa” i jak zapewniano w reklamach, „mile spędza się w niej czas, a szczególnie czekając na rozpoczęcie seansu filmowego”. Niepokój wzbudza tylko serwowana tam buza z zsiadłego mleka. Po takim napoju mało kto dotrwałby do końca seansu.

Od strony Nowego Świata znajdowała się jeszcze jedna sala. Kameralna. Zanim dana produkcja została pokazana szerszej publiczności, poddawano ją cenzurze: gromadziły się tam władze partyjne i oceniały, czy film nie zawiera szkodliwych dla państwa treści. Widać nie znalazły niebezpiecznego chociażby w filmie o Beatlesach *Help*, na który chętnie przychodziła młodzież. Były to też czasy, gdy kina nie samym filmem stały. Stanowiły też swego rodzaju domy kultury. I tak każdego roku 22 lipca odbywały tu koncerty dla przodowników pracy. Działał także klub miłośników filmu, organizowano dni filmu oczywiście radzieckiego. Kierownictwo kina dbało o sprowadzanie nowinek. W Pokoju po raz pierwszy białostoczanie oglądali filmy na szerokim, panoramičnym ekranie. Wkrótce też mogli docenić efekty stereofonii. Ale najważniejszy był repertuar. Kinomanów elektryzowały dwutygodniowe „konfrontacje filmowe”. Przed kinem stały potężne kolejki chętnych do obejrzenia zachodnich filmów, które wyświetlano tylko na dwóch, trzech seansach. Kto nie zdobył biletu, musiał obejść się smakiem albo rujnował się, kupując bilety od koników. Pokój miało rangę kina premierowego. Drugim takim było w Białymstoku kino Ton. W praktyce oznaczało

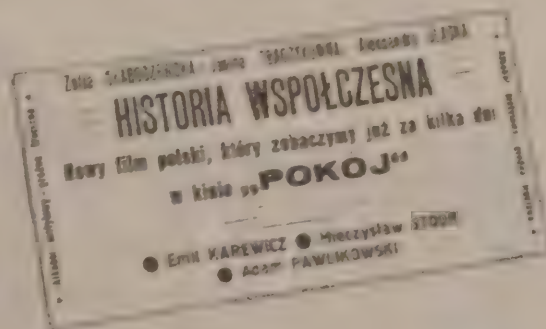


...ze filmy, które po raz pierwszy pojawiały się w rozpowszechnianiu, najpierw musiały pojawić się właśnie w Pokoju bądź w Tonie. Pierwsze filmy miały się więc w większym splendorze. Nie bez znaczenia było to, że w tym samym budynku mieściła się wojewódzka administracja kinowa. Urzędnikom z kinowej polityki zależało więc na reputacji swojego kina. Tak więc w Pokoju prezentowano między innymi najgłośniejsze polskie realizacje. Nakrecone przez Jerzego Hoffmana dwie części *Historii* wyświetlano przy ulicy Lipowej ponad miesiąc przy kompletach widowni. Na ostatnią część Hoffmanowej trylogii, *Ogniem i mieczem*, zjechał sam reżyser. Przywiózł ze sobą białostoczkankę Isabelle Scorupco. W Pokoju wyświetlano też *Noce i dnie* Jerzego Antczaka. Film trwał cztery i pół godziny! Białostoczanie zjawiali się na seanse z kanapkami i termosami, twierdząc, że idą do kina na dzień i noc. Gdy nastał czas polskiego kina moralnego niepokoju, wszystkie filmy tego gatunku wyświetlano wyłącznie w Pokoju. Wtedy stał się on swoistym klubem towarzyskim. W foyer kinowym przed seansem można było spotkać całą miejscową śmietankę towarzyską.

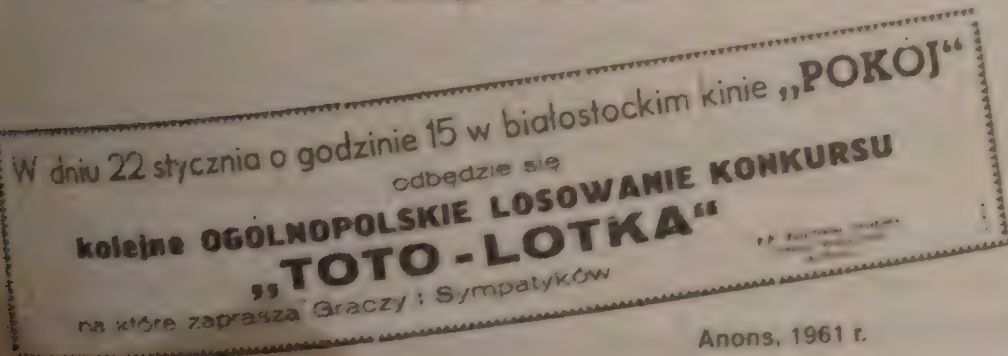
Budynek kina, przykład typowego budownictwa socrealizmu, przetrwał do dziś, chociaż w nieco zmienionej formie – w latach 70. pojawiła się szklana przybudówka. Nie ma w nim już jednak kina. Ostatni seans odbył się 28 sierpnia 2009 roku, kino zakończyło działalność filmem *Anielska robota*.



Dni Filmu Radzieckiego w kinie Pokój, lata 50. XX w.



Zapowiedź nowego filmu polaczonego z walką z alkoholizmem, 1961 r.



Anons, 1961 r.

11 tysięcy widzów obejrzało film „CZTERDZIEŚCI PIERWSZY”

Informacja prasowa, listopad 1957 r.





Pierwsza w Białymstoku buzna otwarta w kamienicy przy Rynku, 1913 r.

## Buza z chałwą

B odaj jedynym obszarem wielokulturowości, który nie budzi żadnych animozji i dyskusji, była i jest kuchnia. Przecież w dawnym Białymstoku byli Polacy, Żydzi, Rosjanie, Białorusini, Cyganie, Ukraińcy, Tatarzy, Niemcy, Francuzi, Litwini, Turcy i Macedończycy. Wszyscy dogadywali się ze sobą raz lepiej, raz gorzej, ale na kuchnię nie narzekali nigdy. Żydzi mieli swoje cymesy i kucheny, Rosjanie bliny, Litwini kindziuki, Tatarzy kolduny, Niemcy baumkucheny, strucle i sznyce, Turcy rachatlukum, ale do legendy miasta wpisała się jedynie macedońska buza. O niej to pisał Aleksander Brückner w 1927 roku, że to „z tureckiego boza, buza, napój z prosa albo z kukurydzy i nazwa bardzo rozgałęziona na Bałkanie”, a w słowniku języka polskiego z 1958 roku zapisano, że „buza to napój orzeźwiający pochodzenia wschodniego, rodzaj kwasu sporządzanego zwykle z mąki owsianej albo prosa”. Kuchnia buzy w Białymstoku zaczęła się w 1913 roku wraz z przyjazdem Macedończyków Biso Pejkowa i Najdo Stojanowicza. Wkrótce dołączyli do nich bracia Boszkow. Wszyscy uciekali z ogarniętych wojną Bałkanów. Pomysłem na nowe życie była buza. Do jej produkcji zamiast



kukurydzy użyli kaszy jęczmiennej. Wystarczyło jeszcze dodać drożdży, cukru, rodzyneków i wszystko w odpowiednich proporcjach zalać wodą.

Pierwszą buznię, tak nazywano lokale, w których serwowano ten napój, otworzył Pejkow w 1913 roku przy placu Bazarnym (obecnie Rynku Kosciuszki) w kamienicy Szapiny pod 26. To był szlagier. Moda na buznię, do której podawano obowiązkowo chałwę, ogarnęła miasto. Nie wiec dziwnego, że gdy w 1913 roku otwarto hotel Ritz, to w nim oczywiście była też macedońska buznia. Ale idylla nie trwała długo. Latem 1915 roku Białystok szykował się do wojny. W mieście panował nastrój przynębienia i wszechobecny chaos. Największym problemem było dostarczenie czystej, świeżej wody. Kłopoty mieli wszyscy, nawet tak renomowane firmy jak Ritz, no i oczywiście macedońskie buznie. Pod koniec lipca miasto obiegła informacja, jak to pewna dama z towarzystwa „poważnie zachorowała po wypiciu szklanki wody sodowej w sklepie t.zw. Macedończyków”. To przykre wydarzenie miało miejsce właśnie w Ritzu. Za ten niewyobrażalny przed wojną skandal odpowiedzialnością obarczono inżyniera Dymitra Iljina, dyrektora wodociągów, który dostarczał niefiltrowaną wodę. Podejrzewano też, że przyczyną zatrucia mogły być brudne miedziane syfony, w których przetrzymywano wodę sodową. Wkrótce jednak problem buzy sam się rozwiązał. Rosjanie, wycofując się z Białegostoku, wywozili szkoły, fabryki, urzędy. Kazali ewakuować się i Macedończykom. Białystok został bez buzy.

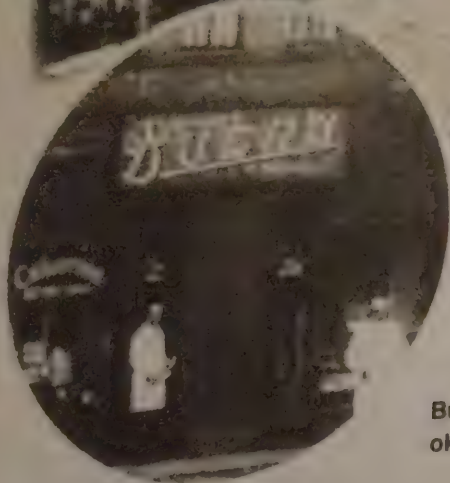


Na parterze hotelu Ritz otwarta została kolejna buznia, 1913 r.





Przy ul. Mikołajewskiej (obecnie ul. Sienkiewicza)  
znajdowały się popularne buzny, 1916 r.



Buzna Mikołaja Murawiejskiego przy ul. Lipowej,  
około 1930 r.

Balkańscy przybysze z wojennej tułaczki powrócili już w 1919 roku. Prasa z nieukrywaną radością komunikowała, że „kupcy macedońscy, którzy przed wojną posiadali u nas sklepy, powracają. Jeden sklep już otworzyli”. Znajdował się on przy ulicy Sienkiewicza 15 w budynku hotelu, którego właścicielem był Wilhelm Ostrowski. Białostoczanie z miejsca udowodnili, że stara miłość nie rdzewieje. Sentyment do tego, co dobre i przedwojenne, był ogromny. Gwarantem ponownego sukcesu była stara zasada – niskie ceny i wysoka jakość. Napój zawładnął wyobraźnią i emocjami. Dochodziło do takich sytuacji jak ta z września 1921 roku, gdy w buznie przy ulicy Lipowej „pewien furman założył się ze swoim kolegą, że wypije 3 butelki buzy i zje 2 funty chałwy”. Te dwa funty to około 1 kg. „Zakład wygrał, lecz niebawem załapał. Wezwano lekarza, który musiał udzielić mu pomocy”. W 1922 roku pisano, że „Chałwa przedwojenna. Macedońska Buzna. Sienkiewicza 15, na święta wielkanocne wyrobiła wielki zapas i wybór niezrównanej jakości chałwy przedwojennej, którą sprzedaje po cenach bardzo przystępnych”. W tymże 1922 roku donoszono, że „wyrabiana przez Macedończyków w Białymstoku chałwa obecnie dostarczana jest nawet do Warszawy”. Popyt na chałwę wzrastał. Buze od biedy moż-



...było zrobić sobie samemu w domu. Lepsza czy gorsza, zawsze buziowała. Ale z chałwą to nie poważniejsza sprawa. Buzny nie nadążały z jej produkcją. Tak więc we wrześniu 1924 roku uruchomiona została w Białymstoku fabryka chałwy. Jej założycielami byli dwaj Żydzi – Jakub Szware i Owsej Epsztajn. Fabryczka znajdowała się na posesji Szwarea przy ulicy Żydowskiej 22 (obecnie Białowin). Miejsce wysmienite, bo przecież wszystkie białostockie bazyły zlokalizowane były w pobliżu, przy Lipowej, Rynku, Sienkiewicza i w Ritzu. Oprócz Macedończyków zaczęli zakładać także Żydzi. Jeden z nich, Bilbel Nowieski, z powodzeniem prowadził, jak to czasem pisano, buźnię przy Lipowej 25. W czerwcu 1924 roku do buziującego interesu, właśnie za sprawą Nowieskiego, dołączył Mikołaj Murawiejski. W rejestrze handlowym białostockiego sądu okręgowego zapisano pod numerem 2687: „Firma przedsiębiorstwa: Buznia - Bilbel Nowieski. Przedmiot: utrzymanie kawiarni i buźni. Siedziba: Białystok, Lipowa Nr 25. Właściciel: Bilbel Nowieski, zamieszkały w Białymstoku przy ul. Lipowej pod nr 25. Do zarządzania i prowadzenia kawiarni i buźni w Białymstoku upoważniony został Mikołaj Murawiejski”. Wkrótce tego lokal został uznany za najlepszy w mieście. W październiku 1927 roku prasa białostocka informowała, że „w żadnej z tutejszych buźnych nie można dostać tak smacznie uszykowanego napoju tego”. Porównując wystrój lokalu Murawiejskiego z innymi zauważano, że „lokal buźnej po gruntownym remoncie został powiększony, posiada cały szereg oddzielnych stolików, robi wrażenie dobrej cukierni”. Asortyment też był na odpowiednim poziomie, choć konkurencyjne buźny wcale mu nie ustępowały. „Oprócz buzy można było łakomić się słodyczami wschodnimi, chałwą, rachatlukumem i innymi. Zakład miał wielki wybór czekolady, rozmaitych słodczy krajowego wyrobu, owoce”. Białostoczanie docenili wnet, że „czysty i widny lokal oraz dużo światła, wszystko to robi z tej buźnej przyjemny kącik”.

Macedończycy nie dawali za wygraną. Doceniając sukces Murawiejskiego, przystąpili do ofensywy. W styczniu 1927 roku przy ulicy Sienkiewicza 2 otwarta została nowa buźnia. Jej oficjalna nazwa brzmiała Centralna Macedońska Buźnia i Kawiarnia Bałkan. Jej właściciel, Tancze Boszkow, który mieszkał w tym samym budynku, dziarsko zabrał się za odrabianie dystansu do Murawiejskiego. Na urządzonej wiosną 1927 roku w Białymstoku Wielkiej Wystawie Przemysłu Krajowego za wyroby swojej firmy Bałkan otrzymał dyplom. Nie był to pierwszy wystawowy sukces Macedończyka. Już w 1925 roku Boszkow wystawił swoje wyroby na II Międzynarodową Wystawę do Brukseli. Jury po degustacji orzekło, że buźnia, chałwa i inne specjały z Białegostoku są „dobre i nieszkodliwe dla zdrowia” i przyznało mu złoty medal. Ale największy sukces przyszedł w 1927 roku. Tancze Boszkow na kolejnej Wielkiej Wystawie, tym razem w Paryżu, otrzymał Diplôme de Grand Prix avec Médaille d'Or. Informacja o tym zwycięstwie do Białegostoku dotarła dopiero w 1928 roku. Pisano, że „białostocka firma wyrobów słodczy wschodnich Tancze Boszkow otrzymała za wystawione na Exposition du Bien Entendu w Paryżu w r. 1927 eksponaty swych wyrobów (rachatlukum, chałwa, syropy i in.) dyplom Grand Prix ze złotym medalem”. Macedończycy, wiedzeni tymi sukcesami, nie ograniczali się



...do buzy z chałwą. Boszkow w swoim głównym lokalu przy ulicy Sienkiewicza i w fili  
w swoim piwnicy, w której sprzedawał słodczyce wachodnie, a także wielki wybór czekolady najlepszych  
...kawa, która była pierwszą oryginalnej jakości". W tym samym 1927 roku białostocka buza  
...Nestor buzownikow, Biso Pejkow, który nadal z powodzeniem  
...Rynku Kosciuszki 26, latem tegoż roku otworzył lokal w Grodnie przy  
...Grodnian zachęcał reklamowym hasłem „Spieszcie się przekonać  
...Dziennik Grodzieński 28. Grodnian zachęcał reklamowym hasłem „Spieszcie się przekonać

Z chwałą wkroczenia do buzującego interesu Murawiejskiego Macedończycy, by  
...stracił na utratę monopolu, zaczęli też stosować nowoczesny jak na owe czasy mar  
keting. Celem, jaki chcieli osiągnąć, było podkreślenie ich wyjątkowości. Za przykładem Bosz  
kowa, który swoją buznę nazwał Bałkan, poszedł Najdo Stojanowicz z ulicy Sienkiewicza 14  
i zaczął promować się pod nazwą Orient. Tradycją macedońskich buzń było oprócz zwykła  
nych specjalnych ofert świątecznych także składanie życzeń stałym i potencjalnym klientom  
Niezwykły zabieg reklamowy zastosował Boszkow w 1935 roku. Wiedząc, że przez radio trans  
mitowany będzie koncert słynnego kantora Kusowitskiego, wystawił przed swoim lokalem  
głuski. Przed buzną zgromadził się tłum słuchaczy. Oczywiście, po koncercie wszyscy rzucili  
się na buze z chałwą. Były też w tym lokalu niezamierzone przez właściciela elementy po  
wzięcia pseudoreklamy. Otóż jesienią 1935 roku zadomowił się w nim pewien jegomość,  
niekryjący swych sympatii do faszystowskiego dyktatora Włoch, Benito Mussoliniego. In  
dywiduum to nawet upozowało się na włoskiego Duce i co najważniejsze, kazało tytułować się  
per Mussolini. I to też okazało się magnesem przyciągającym klientów. Wszyscy chcieli napić  
się buzy z Duce. Komu bardziej buzowało w głowie? To już pozostawiam bez odpowiedzi.

Ale były też buzny miejscem nieobyczajnych incydentów. Szokowały one białostoczan, bo  
...takie nie uchodziły za oazy spokoju i dobrych obyczajów. Tym bardziej piętnowano to, co  
zdarzyło się wiosną 1932 roku w buźni Temelki Stojanowicza przy ulicy Lipowej 16. Ruch  
w lokalu był spory, gdy nagle weszło do niego „6 nieznanych osobników”. Nie było w tym nic  
nadzwyczajnego, więc mało kto zwrócił na nich uwagę. Panowie zamówili buze z chałwą. Gdy  
zostali obsłużeni, zaczęli wśród śmiechów i niewybrednych słów rozlewać buze na podłogę  
i stół. Przywołany przez personel Stojanowicz zwrócił im uwagę na niestosowność takiego  
zachowania. To wywołało atak. Młodzieńcy wyraźnie nabuzowani innymi napojami, awantu  
rowali się, rozbitli gąbłotę, w której znajdowały się reklamowe prospekty i menu. Tego im było  
za mało. Wybieł więc szybko wystawową buznę i uciekli. Stojanowicz wybiegł za nimi na ulicę  
i przy pomocy policjanta zatrzymał jednego z awanturników. Wkrótce cała kompania spotka  
ła się w sądzie.

Po wojnie Macedończyków w Białymstoku już nie było. Pozostała jednak buza, tyle że  
robiona domowymi sposobami. Z czasem zaczęły ją wypierać rozmaite oranżady, lemoniady  
i inne gazowane napoje. Dzisiaj tylko w kilku białostockich lokalach można zamówić szklankę  
buzy z obowiązkowo serwowaną do niej chałwą.





Lotnisko na Krywlanach, 1937 r.

## Pogoń za lotniskiem

*H*istoria białostockiego lotniska to lokalna wersja popularnej piosenki Skaldów z 1967 roku o gonieniu króliczka. W piosence jednak chodziło tylko o nic nieznaczącą sytuację męsko-damską, gdy tymczasem w sprawie lotniska występującego jako króliczek idzie o marzenia zbiorowe. Zajrzyjmy więc do historii białostockiej awiacji.

Gonienie króliczka po białostocku sięga 1911 roku. Wtedy to bowiem odbył się pierwszy pokazowy lot aeroplanu w mieście w wykonaniu pioniera polskiego lotnictwa – hrabiego Michała Scipio del Campo. Ale miał też Białystok i swojego asa przestworzy, Jana Awinosa. Cóż za piękne nazwisko dla lotnika. To jakby z genami przodków i ich rodowym zawołaniem otrzymać nosa do awiacji. Był rodowitym białostoczanie, absolwentem miejscowej szkoły realnej, która mieściła się w gmachu na rogu ulic Warszawskiej i Kościelnej. Niestety, fascynacja przestworzami skończyła się dla niego tragicznie. 29 sierpnia 1913 roku, odbywając lot w okolicach Petersburga, „spadł ze swym monoplanem”. Ciężko rannego śmiałka przewieziono natychmiast do szpitala, w którym po godzinie zmarł. Tymczasem w mieście fascynacja podniebnymi wyczynami trwała nadal. „Gazeta Białostocka” z 20 stycznia 1913 roku donosiła, że „białostoczanie byli bardzo zaciekawieni zjawieniem się jakiegoś tajemniczego aeroplanu, który dwa razy już bujał się wieczorem nad miastem”.



„kolony bombowe” nad Białymstokiem nie było już przyjemne. Rankiem, 20 kwietnia 1919 roku, nad miasto przyleciało 15 niemieckich samolotów. Ciekawscy białostoczanie wybiegli na ulicę, aby przyglądać się temu, jak sądzą, widowisku. Niestety, okazało się, że było to pierwsze w historii miasta bombardowanie. Zrzucano ponoć 150 bomb. W wyniku wybuchów zginęło 13 osób, a 34 zostały ciężko ranne. Trwała wojna. W nocy nad miasto nadlatywały bezsilne sterowce zwane od nazwiska konstruktora zeppelinami. Ich celem była stacja kolejowa. Jednemu z lotników udało się zrzucić bombę wprost w stojący na boczniczy wagon z amunicją. Potężna eksplozja postawiła na nogi całe miasto. Ale były i momenty humorystyczne. Białostok stał się jak wryty, gdy niemiecki lotnik trafił bombą w stojący na rynku stragan z pierzem. Można śmiało przypuszczać, że sam sprawca szeptał do siebie: „*Mein Gott*, co ja narobiłem”.

W 1919 roku, wraz z odzyskaniem niepodległości, w Białymstoku zainstalowała się 1. eskadra wywiadowcza, którą dowodził porucznik Henryk Skoczdo pole. Lotnicy mieszkali w pałacu hrabiny Zofii Rüdiger na Dojlidach, a samoloty trzymali na rozległej łące tuż za browarem. To było pierwsze białostockie lotnisko.

Jednak ambicji lokalnych notabli zadowalać nie mogła prowincjonalnie wyglądająca łąka za browarem. Dlatego też w czerwcu 1926 roku wojewoda białostocki Marian Rembowski i działacze Ligi Obrony Przeciwlotniczej i Przeciwgazowej podjęli decyzję o budowie nowego lotniska. W tym celu w kwietniu 1927 roku do Białegostoku przyjechała komisja lotnicza, aby wskazać nową lokalizację. Wybrano łąki podmiejskiej wsi Krywłany. Wszystkich ogarnął



1. eskadra lotnicza stacjonująca na Krywłanach, 1919 r.





Dowództwo 1. eskadry lotniczej mieściło się w pałacu Lubomirskich na Dojlidach, 1919 r.

entuzjazm. W mieście zaczął ukazywać się miesięcznik „Wiadomości Lotnicze”, który w latach 1927–1930 wydawał Marian Wojewódzki. W 1930 roku Białystok zelektryzowała wiadomość, że już na wiosnę następnego roku miasto będzie miało „stację lotniczą”. Właśnie planowano uruchomienie linii pasażerskiej Ryga – Wilno – Warszawa i jak nie pasowało, aby jeszcze wylądować nad Białą. Ustalono więc, że gdy tylko zima z 1930 na 1931 się skończy, to ruszą prace w majątku Dojlidy, gdzie planowano ulokować „stację”. Ogólny kryzys gospodarczy opóźnił jednak realizację tego ambitnego planu. Ucierpiały też z tego powodu loty do Rygi, które przelożono na lato 1931 roku. W tej sprawie trwały natomiast permanentne „konferencje polsko-lotewskie”. Białystok jednak, nie bacząc na ogólny marazm i gadulstwo, szykował się. Nawet ogłoszono, że „przy pracach nad urządzeniem lotniska winni znaleźć zajęcie liczni bezrobotni z Białegostoku”. Sprecyzowanie i ogłoszenie tej myśli spowodowało kolejne przesunięcie terminów. Szczęśliwie, że był kryzys i o wszystko można było go winić. Dopiero 29 kwietnia 1932 roku został uroczyście podpisany akt notarialny. Stanęli do niego właściciel Dojlid Janusz Rafał Lubomirski i reprezentujący skarb państwa wojewoda białostocki Marian Zyndram-Kościałkowski. W mieście zaczęto organizować zbiórki pieniężne na budowę lotniska. Wiadomość, że wreszcie ruszą prace budowlane, przyjęta została entuzjastycznie. Pierwszy z pomocą zjawił się Mikołaj Kawelin, który ze swojego tartaku podarował deski na hangary.



...z euforią podsycały jeszcze sukcesy polskiej...  
...Rada Miejska uchwaliła, że ich imię będzie nosiła ulica Pa...  
...Skarżyński inżynierem, turystycznym samolotów...  
...Białymstoku pamiątkowy glaz u z...  
...Zwierzyńca. W 1929 roku...  
...budowę hangarów na Krow...  
...wszyscy – władze i obywatele – zdawali się trwać w an...  
...życiu. Nie bawili, że ich marzenia i rzeczywistość to dwa krańcowo różne byty. J...  
...w 1929 roku anonimowy felietonista miejscowego tygodnika „Pro...  
...*Białystok w roku 2029 (quasi una fantasia)* brzmi i dziś m...  
...zaczęła się w teatrze. Pisał więc, że teatr...  
...do jakiejś szopy na rewizyty”. Ten, który stanie w 2029

...do dziesięciu tysięcy widzów [tamten przeznaczony był zaledwie dla kilkuset  
...AL]. Dziś scena tego teatru jest dostosowana do urządzania przedstawień nie tylko sce-  
...lucznych, lecz i filmowych. Wnętrze teatru naszego jest takiej konstrukcji akustycznej i glosni-  
...że dziesięć tysięcy widzów jednakowo widzi i słyszy bez względu na zajmowane miejsca.

...w podobnym tonie zajął się kinami i służbą zdrowia. Tu już było trochę  
...w pięć minut po powiadomie-  
...lekarz aeroplanem, mając moż-  
...w sposób opuszczania  
...gdzie mieszka chory”. A jak będzie wyglądać Białystok? „Tam, gdzie kiedyś  
...dziś mamy najwspanialsza  
...prezentująca się dzielnica miasta – Cha-  
...Znikną też wykoślawione białostockie bruki i „auta  
...zastąpią je auta-samoloty”.

...wszystkich marzenia o pasażerskich lotach z Białegostoku ziściły się  
w 1945 roku. Wyprzedzając w mieście gazeta „Jedność Narodowa” informowała:

...11.50 nastąpiło otwarcie Polskich Linii Lotniczych LOT w Bia-  
...przybyli z Warszawy samolotem pasażerskim typu Douglas,  
...Minister Poczty i Telegrafów Kapeliński, wiceminister Komunikacji Olewiński oraz Dyrektor  
...wraz z personelem. Ponadto wziął w uroczystości otwarcia udział płk



sztabu wojsk sowieckich płk Worszeński. Przedtem walczył w wojnie polsko-ukraińskiej, potem odleciał do Warszawy.

Od 30 kwietnia 1945 roku loty na trasie Warszawa – Białystok – Warszawa dostępne były „dla ludności cywilnej”. Uwaga była jedna: „korzystać z niej będą mogli wszyscy obywateli, bez względu na wiek, a w miarę wolnych miejsc i inni”. Bilety sprzedawane były na pocztę. Samoloty startowały z Krywan o godzinie 12.50 i po 50 minutach były już w stolicy. Informowano też, że LOT przewozić będzie też „pocztę codzienną i czasopisma”. Niestety wkrótce loty pasażerskie do Warszawy zawieszono. Stan ten trwa do dziś. Pozostaje jedynie myśl, że patrona dla białostockiego portu lotniczego już mamy – Jana Awinosa.



Kamień upamiętniający wyczyn kpt. Stanisława Skarżynskiego, 1933 r.





Sala Domu Żołnierza przy ul. Mikołajewskiej (obecnie ul. Sienkiewicza), 1916 r.

## Książę i cukierpuszki

Okupacja niemiecka Białegostoku w latach 1915–1919 miała różne, często zaskakujące oblicza. Oto jedno z nich. Wspominano, że „ponieważ okupacja Białegostoku trwała parę lat, a wojsko niemieckie miało jeszcze zamiar te zajęte tereny przetrzymać w swoim posiadaniu długo – niemieccy żołnierze zadomowili się tu na dobre”. Krótko rzecz ujmując, stworzyli tu sobie namiastkę rodzinnego życia. Wcale nie zniewalali niedostępnym białostoczankom. Korzyści były obopólne. Niemcy zyskiwali ukojenie, a ich partnerki dostawały życie. Wspominano, że „nie były to wcale jakieś przelotne miłostki czy flirty. Prawie każda fektichłowska bogdanka afiszowała się swym oblubieńcem i gdy pierwsze lody zostały przedstawione, kochanice oficerskie wprowadzały się do mieszkania zakochanego Hansa czy Franza utrwalając zadzierzgnięty stosunek w konkubinat”. Zjawisko było powszechne, a przykład wodził z góry. Białystok miał bowiem nader kochliwego bürgermeistera Lehmana. Szkolęcego tamana z „pewną panią G.”. Mąż pani G., gdy dowiedział się o zbyt poufalejszych kontaktach swej małżonki z burmistrzem, „urządzał brewerie, publiczne skandale, lecz wskórało to tyle.



Wojenna policja zaczęła coraz częściej zaglądać do zadrążonego Chłopa i przesłuchiwać go  
 o jego przeszłości. Nieraz pisał do i z niego. Wtedy porwany tą sytuacją wrócił do  
 domu. Ci i zazał, aby ten natychmiast rozwiódł się ze swoją małżonką.  
 (Z czasem nierużca spłatały się z biznesem. Z zachowanych w piwnicach brzości, zano i w  
 Brzostowskiego dowiadujemy się, że

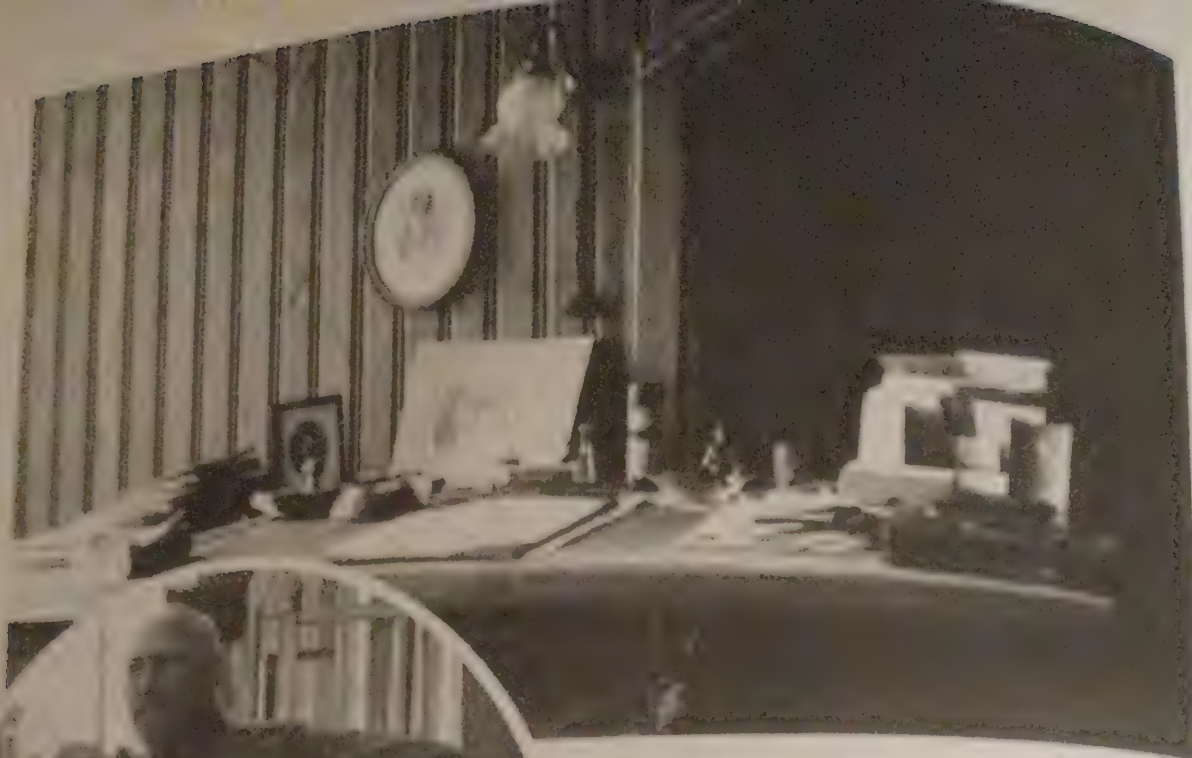
najbardziej popłatnym interesem w owych czasach był gówny przemysł oraz handel  
 cukrem. Z powodu zakazu wolnego obrotu cukrem musiano na jego import uzyskiwać  
 zezwolenie władz. I tu właśnie oferowały swe usługi kochanki oficerów niemieckich, które wpływał  
 na swych wielbicieli, by albo wydali zezwolenie na handel cukrem, lub zdemowali z  
 cukru rekwizycję

Panie wpłątane w te biznesowe konszachty zaczęto nazywać w mieście cukierpuszkami.  
 Brzostowski dodawał, że nazwa ta kryje w sobie niezmiernie dużo złośliwości, jeśli zauważymy,  
 że opdarzono nią kobiety robiące w interesie cukrzany. Z czasem kompletnie zatracano



Koncert niemieckiej orkiestry na Ryнку, 1916 r.





**Kwatera oficerska przy ul. Aleksandrowskiej  
(obecnie ul. Warszawska), 1917 r.**



**Dowódca wojsk inżynieryjnych Höfig  
na balkonie w biurze przy ul. Mikołajewskiej  
(obecnie ul. Sienkiewicza), 1916 r.**

granice przyzwoitości. W mieście powstawały w prywatnych mieszkaniach lokale „dla różnych hulanek oficerów niemieckich z cukierpuszkami”. Ponoć najwytworniejszy i najbardziej znany był przy ulicy Nowy Świat 25. Tu w jednym z pokoi urządzono nawet scenę z kurtyną, która miała służyć jako miejsce następujących ponętnych widowisk. Miały się na niej ukazywać przeróżne tańce i piosenki. Rozumie się, że piosenki i tańce służyły tylko jako pozor do bardziej wybrednych ewolucji”, w których występowały roznegliżowane cukierpuszki. Gdy oficerowie urządzali sobie orgie w eleganckich mieszkaniach, to ich podwładnym pozostały tak zwane „hale herbaciane”. Opisywano, że „były to duże, przestronne sklepy, w których można było za parę fenigów dostać herbatę osłodzoną sacharyną. Tak wyglądało to oficjalnie. Faktycznie jednak rzecz się miała trochę inaczej. Zwykle hale herbaciane miały ustronne gabineciiki, gdzie nimfy białostockie oferowały swe usługi”.



Wkrótce jednak pojawił się problem chorób wenerycznych. Wobec tego dowództwo niemieckie zakazało żołnierzom utrzymywania jakichkolwiek kontaktów, w tym rozmów, z innymi kobietami. Siła natury i okupacyjna monotonia były jednak mocniejsza od groźby silei wojskowego. Obydwie strony szybko znalazły więc sposób na ominięcie tego zakazu. W praktyce wyglądało to tak, że

po ulicy chodził sobie żołnierz lub oficer niemiecki i patrząc pogodnie przed siebie, głośno mawiał, przy tym do wymagowanego rozmówcy zwracał się zawsze jak do kobiety. Przyjrzawszy się uważniej, można było zauważyć tę lub ową białostoczkankę, która również nie mając nikogo obok siebie, w odległości 5-6 kroków od żołnierza także samo monologowała. Dziwnym trafem zdania obydwóch monologistów żołnierza i dziewczyny, składały się w jedną harmonijną całość.

Cały ten tłumek „ustawionych w tyralierkę i monologizujących żarliwie” powoli kierował się ulicą Świętojańską do Zwierzyńca. Tam już zmrok skrywał to wszystko, czego zakazywały wojskowe rozkazy.

Bohaterem tych obyczajowych ekscesów był też syn cesarza niemieckiego Wilhelma II, książę August Wilhelm. Przyjechał do Białegostoku w lutym 1917 roku i jako Kreishauptmann pozostał tu blisko dwa lata. Zamieszkał w Supraślu w wygodnym, dobrze urządzonym pałacu Buchholtzów. Nie minęło wiele czasu, jak po Białymstoku zaczęły krążyć pyszne ploteczki o Jego Wysokości. Książę miał bowiem w zwyczaju od czasu do czasu przechadzać się po białostockim rynku. Czynił to bynajmniej nie dla parady. Osobiście przy okazji owych spacerów „ściagał z pleców i rekwirował przekupkom produkty żywnościowe”. Tego już białostoczanie pojąć nie mogli. Jakże to, cesarski syn, a charakter i zachowanie jak u carskiego stupajki. Ale to jeszcze nie wszystkie książęce wyczyny. August Wilhelm swą błękitną krwią szafował nad wyraz hojnie i niezbyt rozsądnie, biorąc udział w „różnych orgiach erotycznych”. Miasto obiegła opowieść o przygodzie pewnego białostockiego zecera. Zbliżał się wieczór. Zecer wracał po całym dniu pracy do domu. Szedł w kierunku Antoniuka. Gdy mijal „pewien domek otoczony ogrodem”, zauważył przez niezastłonięte okno „parkę przebywającą w danej chwili w błogosławionej pozycji”. Widok był tak zajmujący, że zecer po wielogodzinnym wpatrywaniu się w czcionki postanowił nasycić oko czymś ponętniejszym. Tak się zagapił w ukazujące się przed nim wdzięki, że zaczepił nogą o leżącą gałąź i narobił hałasu. Na to „przestraszona parka odezwała się gwałtownie i odwróciła się w stronę trzasku. Ku swemu zdumieniu i przestraszeni ujrzał zecer przed sobą samego księcia z pewną kokotą białostocką”. Oniemiały, stał jak słup soli. Książę wyskoczył do niego i bez namysłu uderzył go w twarz, a następnie odwrócił struchlałego zecera i wymierzył mu potężnego „książęcego kopniaka w wygodkę obcowania”.

Wojna się zakończyła, zniknęły cukierpuszki. Ale jeszcze przez wiele lat plotkarski Białostok pamiętał co poniektórym paniom ich naganne kontakty z okupantem.





Białostoczanie chodzili i jeździli, nie przestrzegając żadnych zasad ruchu. Ulica Lipowa, 1897 r.

## Nauka chodzenia po chodniku

Spacerowanie po chodnikach wydaje się czynnością prozaiczną. Ot, idziemy i tyle. Ale to tylko pozór. Trzeba po nich umieć chodzić. Przekonali się o tym białostocczanie w sierpniu 1915 roku, gdy Białystok zajęli Niemcy.

Okupanci „nie mogli jakoś strawić nieporządku w Białymstoku, specjalnie zaś postanowili nie tolerować chaotycznego sposobu chodzenia i spacerowania ludności po wąskich wówczas chodnikach białostockich”. Nie mieściło się porządnemu Niemcowi w jego *deutsche Kopf*, że można tak szwendać się po mieście bez jakichkolwiek zasad. Wnet więc komendant miejscowej policji, von Flotov, wydał w tej sprawie stosowne rozporządzenie. W dziejach białostoc-



tego prawodawstwa funkcjonowało ono pod nazwą *Rechts gehen* (iść w prawo). Oto i jego historyczna treść:

Z powodu wielkiego ruchu na ulicach *Lindenstrasse* (Lipowa), *Nikolajstrasse* (Sienkiewicza), *Aleksanderstrasse* (Warszawska), *Deutschestrasse* (Kilińskiego), w godzinach między 8 a 11 wieczorem nakazuje się chodzić w wyżej wymienionych godzinach tylko na prawych chodnikach. Opornym grozi kara od 600 mk., lub areszt.

Który to był prawy chodnik? Ano ten, wzdłuż którego stały domy z parzystą numeracją posesji. Poruszając się po mieście, trzeba było więc zachować czujność. Wychodzący z domu białostoczanin musiał się dobrze zastanowić, dokąd i jak chciał iść, aby nie narazić się na areszt. Co miał robić, jeśli mieszkał w domu stojącym przy lewym chodniku? To oczywiste, że wychodząc z domu, musiał iść w prawo. A jak potrzebował w lewo? To musiał iść również w prawo, dojść do najbliższego skrzyżowania, tam przejść na drugą stronę i prawym chodnikiem iść w lewo do kolejnego skrzyżowania, aby wejść na lewy chodnik i dalej maszerować... po tak, w którą stronę? Chyba w lewo, a jak się chciało w prawo, to nie w lewo tylko prosto i dalej w lewo, a następnie? *Zum Donnerwetter* z Niemcami i ich porządkami! Białostoczanie ani myśleli przestrzegać rozporządzenia, co jedynie rozwścieczyło von Flotova. Nakazał więc natychmiast podwyższyć kary. Teraz nieposłusznym mieszkańcom groziły grzywna w wysokości 1000 marek albo trzy miesiące aresztu.

Po wkroczeniu Niemców ruch miał być uporządkowany. Rynek, 1916 r.







Nauka chodzenia? Rynek, 1917 r.

Ale wojna się skończyła i znów można było bezkarnie chodzić po Lipowej, Sienkiewicza i w ogóle gdzie tylko dusza zapagnęła. Wnet jednak okazało się, że wolać wolnością, a porządek dobra rzecz. Najpierw do miasta dotarły wieści z Warszawy, gdzie w 1932 roku postanowiono uregulować ruch pieszego. W Białymstoku czekano chyba, aż nadejdzie 20. rocznica ogłoszenia *Rechts gehenn*, i w 1936 roku podjęto w grodzie nad Białą próbę ponownego wzięcia białostoczan w rzy. Zauważono, że to, co dzieje się na tutejszych chodnikach, wola o pomstę do nieba. Drwiono, że cały Białystok oszalał na punkcie szkół nauki tańca, a powinien udać się do szkół chodzenia. Pytano, „po co wysilać się na grację i fason, skoro po ulicach chodzi się jak chłop ze wsi?”. Zauważono, że na białostockich chodnikach panują oburzające maniere „ktoś idących zamasyście trotuarem i trzymających bezceremonialnie obie ręce w kieszeniach, oba łokcie takiego ktosia stanowią broń kruszącą cudze boki i plecy”. Wzrostła liczba „chodnikowych manewrów”, chodzenie szeregiem bądź „kupa”. Sarkawo mówiono, że białostoczanie jakby niepomni dawnych, okupacyjnych zasad chodzą po mieście bez patrzenia na lewą i prawą stronę chodnika, „czyniąc zamęt”. Wszystko to bardziej przypomniało warszawską drogę, niż wielkopolską ulicę. W połowie stycznia 1936 roku starosta grodzki



„czekał na białostockie ulice specjalne patrole policyjne, „które miały za zadanie [...] wzmocnić miasto pieszego”. Ale i to nie skutkowało. Postulowano więc wydrukowanie specjalnych znaków i umieszczenie ich na wszystkich białostockich ulicach. W rozporządzeniu miało być także się wzmianka o zachowaniu się na chodniku. Miano tu głównie na względzie niebezpieczeństwo się potracenie przechodniów, ordynarne wyzwiska, zaczepianie kobiet i temu podobne wyczyny ludzi źle wychowanych lub ordynarnych zawadiaków”. Akcja chwyciła. Zaczęto organizować w mieście „Tygodnie nauki chodzenia ulicami”.

W 1937 roku starosta białostocki z pełnym animuszem ogłosił regulamin chodzenia po chodnikach. Każdy białostoczanie i przybywający do Białegostoku miał wiedzieć, gdzie jest prawa i lewa strona, i zgodnie z tą zasadą iść! Nie mogli pluć, zatrzymywać się gwałtownie, komentować w sposób niewybredny wdzięków mijanych właśnie pań ani też wypowiadać opini na temat panów. Policja zobowiązana była do „uczenia chodzenia”. Po zakończeniu kursu



Pomimo asysty policjanta każdy chodzi, jak chce. Rynek, 1928 r.



niezdolnych uczniów" miało karać mandatami. Komendant policji zajął się tym metryką i przeprowadził „szczegółowe studia i badania” oraz wydał rozkaz „wzrostu i podwyższenia” wiedzy ilości oficerów i szeregowych policji państwowej, jak również przygotowania odpowiedniego materiału propagandowego”. No i zaczęło się. W całym mieście pojawiły się ulotki i listy ukojące. Policjanci rozdawali ulotki, przez specjalnie zamontowane maszyny drukujące „pogadanki”. Białostocki fraszkopis Józef Mayor o tych wielokrotnionych podległościach obowiązków pisał:

Tu strzał.  
Tam pożar, ówdzie chryja!  
Ktoś szybę kamieniem wybija,  
Tu się otruto.  
Tam flaki wypruto...  
A kto reguluje ruch pieszy, kołowy?  
Też on, wszystko on – pan posterunkowy!

Białostoczanie czuli się w tym całym zamieszaniu z lekka zdeorientowani. Z jednej strony rozpieęła ich duma, że stosując się do „zasad zachodnich”, stają się prawdziwymi Europejczykami. Z drugiej zaś myśleli sobie, że jakże to może być, aby we własnym mieście nie móc sobie chodzić jak dusza zapragnie! No, a tu jeszcze pojawił się inny problem. Nauka nauki, ale w Białymstoku często nie było po czym chodzić. Miejskie chodniki pozostawiały bowiem wiele do życzenia. Bywało, że „rozchodziło się o dwadzieścia kroków chodnika... Ani jednego kroku więcej! Bowiem po co i na co więcej, skoro właśnie tyle go brakuje”.





Parada BOSO na Rynku Kościuszki. Pierwszy z lewej Izaak Markus, około 1920 r.

## Sikawki i alarmy

Białostocka Straż Ogniowa powstała w 1875 roku. Mieściła się tam, gdzie i obecnie, przy ulicy Warszawskiej, wówczas Aleksandrowskiej, pod numerem 3. Od 1898 roku miasto miało też Białostocką Ochotniczą Straż Ogniową (BOSO). Obie formacje miały swoje punkty obserwacyjne: pierwsza na wieży wybudowanej przy remizie w 1891 roku, a druga na wieży ratusza. To tam dyżurujący strażacy wypatrywali pożaru.

Na początku XX wieku dużym problemem było jednak to, czym gasić. Dlatego w 1920 roku BOSO kupiła w Berlinie „sikawkę-samochód”. Białostoczanie z niecierpliwością oczekiwali strażackiego wozu, ale ten się nie pojawił. Okazało się, że nieoczekiwanie utknął na komercyjnej w Grójcu, dlatego „że sprzedawcy niemieccy nie dodali kilku śrubek itd. do sikawki”. Gdy te „skompletowano i uzyskano z Ministerstwa Finansów glejt „pozwalający na swobodne przewiezienie sikawki do Białegostoku”, pojawił się kolejny problem: jak przetransportować samochód-sikawkę. Komendant BOSO, znany białostocki przemysłowiec Izaak Markus,





Dowództwo BOSO. 1909 r.

wyłaczył kolej („ruch kolejowy jest nienormalny”) i zarządził „przewiezienie samodzielnego samochodu”. I tak w piątek 6 lutego 1920 roku o godzinie 15.00 samochód-sikawka wyruszył w drogę. Przy okazji zabrano się kilku pasażerów, o których przewiezienie poprosił spedytor z Goniądza. Z braku miejsca w szoferce mimo mrozu musieli zasiaść na platformie wokół sikawki.

Podróż nie była łatwa. Samochód nie miał żadnego oświetlenia, bowiem kierowca chciał zdążyć przed nocą do domu, postanowił nie tracić czasu na montaż latarni. I tak w ciemnościach dojechał aż pod Dobrzyniewo. Droga była śliska i w tym miejscu wiodła w dół, trudno było patrować nad samochodem w takich warunkach. Do tego wystraszeni pasażerowie włączeli alarm. W efekcie auto wpadło w poślizg i wjechało do rowu. Na szczęście nikomu nie było poważnego się nie stało, jedynie „Dwóch pasażerów skutkiem wstrząśnienia uległo potłaczaniu i lekkiemu poranieniu”. Został jednak uszkodzony motor sikawki i dalsza podróż okazała się niemożliwa. Przybyły następnego dnia na miejsce wypadku komendant Izaak Markus zarządził więc, że samochód-sikawkę należy przyholować do Białegostoku. Co też uczyniono, ale dopiero w nadzieję, by uniknąć zbędnych gapiów. W garażach BOSO przy ulicy Lipowej przez następne trzy tygodnie reperowano go i pucowano.

Wreszcie nadszedł dzień, w którym sikawkę można było pokazać. W piątkowe popołudnie 27 lutego przeczochniętą na ulicy Lipowej, Rynku Kościuszki oraz ulicach Kilńskiego. Miekkim i lekko kłusującym z „ogólną uwagą” przyglądali się, jak z komendantem Markusem i kilkoma strażakami powoli jechała do białostockiej elektrowni. Tu zaprezentowano ją prezesowi BOSO, dyrektorowi Kazimierzowi Riegerowi. Zapowiedziano też, że w najbliższą niedzielę



12.30 dokonana została publiczna prezentacja nabytku. Tego dnia na placu przed Ritzem zebrał się pokaźny tłum białostoczian. W ekspozycyjnym wejściu do hotelu stał prezes Rady Miejskiej Feliks Filipowicz, prezydent Białegostoku Witold Łuszczewski. Przybyli też radni i przedkwaterownicy. Punktualnie o wyznaczonej godzinie na plac „w pełnym rynsztunku z munią i szablami” zjechała straż. Na polecenie Markusa na kwadrans uruchomiono sygnalizację. Na jej dźwięk z remizy przy ulicy Lipowej miała wyjechać sikawka i na pełnym zajeżdżać pod Ritz. Ale nie pojawiła się. „Okazało się, że na czatowni strażackiej nie usłyszano sygnału alarmowego, wiatr wiał bowiem w stronę przystanku”. W końcu z opóźnieniem dotarła na miejsce. W mig podłączono węże do „strumienia wody”. Zebrani z zachwytem obserwowali, jak „pociąg, strumień wody wyrzucił na wysokość sześciu pieter”. Rozochocony Markus wydał polecenie, aby „podłączyć do Balet”. Strumień rzecznej wody bił ponoc jeszcze wyżej niż woda płynie. Po zakończonej pełnym sukcesem prezentacji odbyła się strażacka defilada, która „w tym dniu” prowadził dzielny komendant Markus. A wieczorem w klubie BOSO przy ulicy Lipowej 52 odbył się raut, czyli oblewanie sikawki.

Składowe perturbacje nie ominęły też miejskich strażaków. W 1928 roku trwał zaciąg od pięciu lat rozmowy w sprawie zakupu samochodów strażackich. Układano się z niemiecką firmą Koche. Już prawie podpisano kontrakt, gdy nagle kupiono samochody – jak wówczas pisano – „Benc-Daymler”. Cena była okazjna, lecz kupowano kota w worku. Tylko strażackie mercedesy zjechały do Białegostoku, okazało się, że są to stare wozy asenizacyjne, złyśkie szambowozy, tyle że przerobione na strażackie. Obyło się więc bez publicznej fety. Te same stare strażackie samochody już wkrótce stały się przedmiotem kpin białostoczian. W marcu 1929 roku paliła się fabryka sukna i kolder Dawida Gubińskiego przy ulicy Konopnickiej 3.



Zarząd BOSO, 1925 r.



Strażacy zawiadili o tym miejscu momentalnie. Rozciągnęli węże i już mieli w ręku ogień. Wkrótce w całym mieście zapaliły się wszystkie domy. Na ulicach pojawiły się strażaki. Na ulicach pojawiły się strażaki. Na ulicach pojawiły się strażaki.

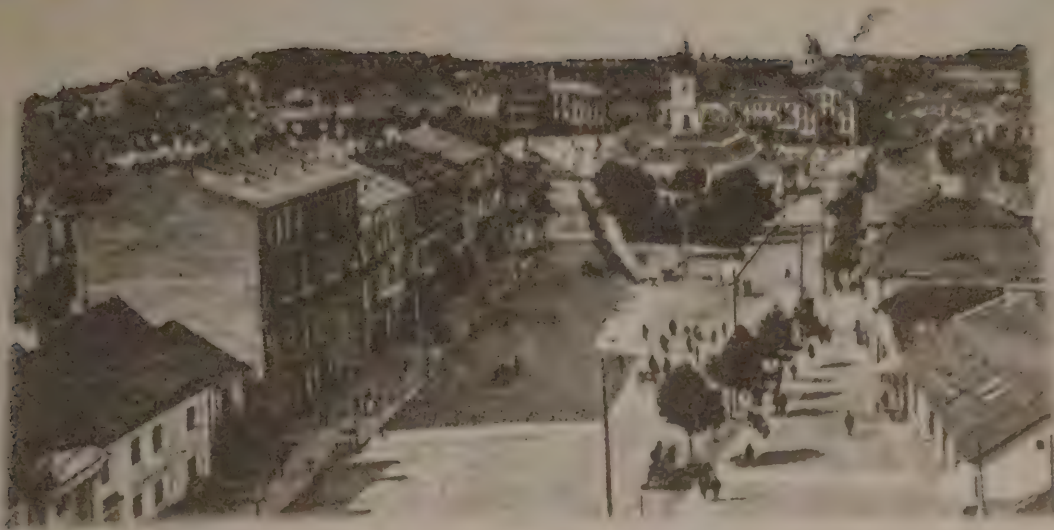
Komenda te i innych strażackich wyczynów. 11 marca 1931 roku pomimo nadchodzącej wiosny było mroźna. Przysypiający na wieży obserwacyjnej strażak nagle ocknął się i zauważył wielki płomień nad Dojlidami, ogromną lunę. Włączył syrenę i powiadomił o tym strażaków. Natychmiast w tym kierunku ruszyły bojowe wozy. Już na miejscu strażacy widzieli wielki ogień. Ich oczom ukazał się niezwykle widok. Znad dojlidzkich stawów unosiły się opary dymu, podświetlane przez światło księżyca z pewnej odległości dawały złudzenie tony białego dymu. Strażacy poobserwowali to romantyczne zjawisko, rzucili kilka nieparlamentarnych słów pod adresem kolegi z wieży i księżyca, po czym w „wesolym nastroju powrócili do remizy”.

Ale najślawniejszy strażacki wyczyn miał miejsce w pewną kwietniową noc 1931 roku. Białystok zapadł już w głęboki sen. Nagle ciszę nocy rozerwał ostry dźwięk syreny strażackiej. Strwożeni białostoczanie zrywali się z łóżek i z niepokojem wyglądali przez okna. Co się pali? W samej remizie też zrobił się ruch. Dokąd jechać? Co gasić? Po kilku minutach wszystko się wyjaśniło. A było to tak. W niewielkim pokoiku na wieży dyżur tej nocy mieli dwóch strażaków. Wiosna w rozkwicie to i w strażackich głowach zaszumiło. Postanowili więc miło spędzić nudne, długie godziny służby. Przygotowali odpowiednią ilość trunków i wyborną zakąskę, a do towarzystwa zaprosili dwie „wesole panienki”. Zabawa od początku szła na całego. Strażacy byli szarmanccy, panienki chętne. Zaczęły się nawet tańce! Wszyscy byli w siódmym niebie. I tak by pewnie zostało, gdyby nie pomysł jednej z pań. Co ją podkuśliło, żeby przekreślić „kontakt alarmowy”? Następnego dnia dwaj zmęczeni nocnym dyżurem strażacy św. Floriana tłumaczyli się dowództwu ze swoich wyczynów.



Brygada BOSO. 1932 r.





Do 1924 r. przed ratuszem stało mauzoleum żołnierzy niemieckich

## *Pomnikowa altanka z kamienia i polepy*

Do dziś miejscem większości uroczystości państwowych w Białymstoku jest część Rynku Kościuszki z pomnikiem Józefa Piłsudskiego. Postać ta symbolizuje wszystko, co z niepodległością jest związane. Miejsce też jest historycznie ważne, bo tu 21 sierpnia 1921 roku Marszałek rzeczywiście stał jako żywy. Było to podczas mszy polowej, w trakcie której poświęcono i przekazano sztandar białostockiemu 42. Pułkowi Piechoty. Ale w 1919 roku miasto z przyczyn oczywistych nie miało żadnych patriotycznych symboli. Trzeba było je dopiero urządzać. Już w maju tego roku część Lasu Zwierzynieckiego nazwano parkiem Konstytucji 3 Maja. Kilka miesięcy później, jesienią, założono cmentarz wojskowy w Zwierzyńcu. W zamyśle władz miasta i województwa miało to być mauzoleum bohaterów walczących i poległych za Ojczyznę. Z miasta do bramy cmentarza wytyczona została aleja 11 Listopada, a na nekropoli w 1932 roku wybudowano stosowny monument.

Tymczasem w samym centrum Białegostoku, przed ratuszem, stała zapomniana budowla. Chyba wszyscy się do niej przyzwyczaili, bo dopiero w marcu 1924 roku rozgorzała dyskusja wywołana apelem „szczerego patrioty”, który zapytał, „czy stać Białystok na pomnik Wyzwolenia”. Patriota ów, czyli podpisany jako Edward Nowakowski, w liście skierowanym do Antoniego Lubkiewicza, redaktora naczelnego poczytnego „Dziennika Białostockiego” pisał:

Zwracam się do Pana w sprawie następującej, a mianowicie: podaję myśl, która o nie się domyślam dawno była tematem rozważań W.P., a to podjęcie akcji budowy pomnika, któryby





Odświeżenie tablicy Nieznanego Żołnierza. Przemawia prezydent Białegostoku Bolesław Szymanek.  
15 sierpnia 1925 r.

zamanifestował uczucia patriotyczne Białegostoku. Białystok – miasto tak wielkie nie zdoła się dotychczas na nie. Tymczasem o ile słyszymy z gazet, miasteczko, nie mówię miasta, zdążają się na to choć z wielkim trudem. Nie wątpię, iż ludność tutejsza tak polska jak i nie polska nie poskapi i przyjdzie z pomocą materialną w braku pieniędzy na zakup kamieni na ten cel potrzebnych. Stosownie byłoby rozebranie altanki w ogródku przy ratuszu, spuszczony po okupantach niemieckich.

Cóż to za altanka? Otóż w 1918 roku, gdy wojna praktycznie była zakończona, to okupacyjne władze niemieckie postanowiły w samym centrum miasta zostawić pamiątkę swego w nim pobytu. Wybudowały żelbetonową, ośmioboczną kolumnadę. Na spinającym zwieńczeniu kolumn trawersie, obłożonym piaskowcem, wykuty został „krzyż równoramienny kształtu odznak wojskowych”, a pod nim widniał napis w języku niemieckim: „Pamięci bohaterów, którzy polegli za ojczyznę w latach 1915–1918”. Pomnik stał sobie w najlepsze. Jedyne komentarze, jakie wywoływał, to te w rodzaju, że „najpierw budują, później burzyć zaczną”. Nawet dziś uwagę ówczesnych krytyków bardziej przykuwała forma architektoniczna o „pościętym obłożu i zagadkowym stylu”, wykonana z „kamienia i polepy”. Znaczący temat przypomni-



nali, że podobna budowla już od średniowiecza stoi w okolicach angielskiego miasta Londyn. Otaczała ona miejsce straceń. Pisano, że „budowla ta ogólnym zarysem przypomina podobnie jak nasza – altanę”. To zdanie wystarczyło, aby władze pomnik zaczęto poirrdliwie nazywać altanką. Wnet też podniosły się głosy, że jako „haniebny znak niewoli, uragając swoim kształtem i napisem poczuciu polskości” musi zostać zburzona. Zauważono, że podczas w „całym kulturalnym świecie” groby i pomniki ku czci obcych wojsk otaczane są szacunkiem należnym zmarłym. Ale jeśli szacunek taki ma być „cierpiącym śladem przemocy i nienawiści w tak prowokującej formie”, białostoczanie godzić się na niego nie powinni. Postulowano, że na miejscu „osmiobocznego monstrum” musi stać „godny polskiego miasta pomnik poległym, swoisty w kształcie i zrozumiały w serdecznej treści”.

Oczekiwano, że magistrat zajmie stanowisko. Tymczasem władze miasta całkowicie uciekły. Złotliwcy twierdzili, że „Białystok jest nierychliwy, spostrzega z trudem, kombinuje figmatycznie, mozolnie wyciąga wnioski, trawi pracowicie”. Jednocześnie zauważano, że taka sytuacja jest nadzwyczajna. Wymagałaby więc natychmiastowej reakcji magistratu, który powinien wykazać się „zdrowym instynktem narodowym” i w związku z tym mieć jednoznaczny pogląd „na to curiosum architektury, będące widowym znakiem junkierskiej prowokacji”. Zapytywano, czy białostocka „bezprzykładna tolerancja” doprowadziła do tego, że władze nie czują „zakłetej w tym straszidło ironii”. Redakcja „Dziennika Białostockiego”, stając po stronie „szczerých patriotów”, lojalnie ostrzegała, że jeśli prezydent miasta na najbliższym posiedzeniu Rady Miejskiej nie wystąpi z jednoznacznym wnioskiem zburzenia altanki, to „posypia się gradem” interpelacje radnych. Sugerowano też, że w tej sprawie może interweniować sama Warszawa, a „do takiego blamażu dopuścić niepodobna”.



Obchody Święta 3 Maja przy tablicy Nieznanego Żołnierza. 1936 r.



Wymazaniem na posiedzeniu Rady, które odbywało się kilka dni później, zarząd dyskusyjny nie o wodociągach, oświetleniu ulic i nikt nie zajął się nawet o altankę. Gazeta skrytykowała z nieukrywaną gorącością redaktor Lubkiewicz wspominał, że nie stać białostokzan na czymś takim a jedynie na tandetę „jak na kpiny z desek i tektury”. Miał tu na myśli tymczasowy pomnik na Białym wystawiony przed ratuszem w 1921 roku. Był to drewniany obelisk, na którym umieszczono rzeźbę przedstawiającą Orła Białego. Na froncie widniała data – 1831. W kolejnych latach nieodnawiany, popadał w stopniową ruinę, aż w 1924 roku został rozebrany. Utryskiwał Lubkiewicz, że inicjatywa budowy trwałego pomnika Wyzwolenia rozszalała się na echa, a zatem „ohydna altanka na Rynku Kościuszki pozostała i jest w tej chwili wyznacznikiem polskości Białegostoku”. Upatrywał w tym triumfu naczelnej cechy niemieckiej – praktycznej, dzięki której niemiecka pamiątka w mieście zastąpiła polską. Przy okazji poruszona została sprawa projektu budowy domu ludowego. I tu też zamiast konkretnych działań ciągnęły się nieskończone dyskusje, „kto ma być jego właścicielem, kto ma firmować, kto wejdzie do zarządu”. Omawiając ten przypadek, zdefiniowano główną białostocką chorobę. Jej objawy w 1924 roku były takie: „Jeśli ktokolwiek rzuci myśl dobrą, pożyteczną, nie rozważamy tej sprawy bezstronnie. Pytamy – kto zainicjował? Od tego zależy powodzenie sprawy. W ten sposób nie zbudujemy niczego. [...] Niechże tedy zostanie altanka na Rynku Kościuszki”.

Nie została. Wkrótce magistrat zaczął prowadzić gruntowną przebudowę tej części rynku. Zburzono altankę. W sierpniu 1925 roku w miejscu, w którym dziś znajduje się fontanna, złożona została płyta z napisem „Niezanemu Żołnierzowi Wolna Polska 1914–1920”. Od tego też czasu białostoczanie nie mieli najmniejszej wątpliwości, gdzie będą obchodzone wszystkie patriotyczne uroczystości.



Obchody Święta 3 Maja przy tablicy Nieznanego Żołnierza, około 1930 r.





Powitanie Józefa Piłsudskiego na białostockim dworcu, 21 sierpnia 1921 r.

## *Mniej oficjalna historia honorowego obywatelstwa*

**N**adanie honorowego obywatelstwa Białegostoku Józefowi Piłsudskiemu w 1921 roku było uroczystością wielokrotnie później wspominaną. Wracano do przemówień, mszy, podniosłego nastroju. Ale te oficjalne momenty przeplatane były całym niekoturnową historią, którą niezastuzenie zepchnięto w cień. Oto mniej oficjalny przebieg tego historycznego dnia.

Przyjazd Piłsudskiego był nie lada wydarzeniem dla Białegostoku. Tak ważna osobistość nie odwiedzała w końcu miasta codziennie. Białostoczanie postanowili więc przyjąć Marszałka z należnymi mu honorami. Przejęci miejscowi władarze z prezydentem Bolesławem Szymańskim na czele chcieli powitać go, jeszcze zanim ten dotrze do Białegostoku. Była 2.00 w nocy,





Obiad w ogrodach pałacu Branickich, 21 sierpnia 1921 r.

21 sierpnia 1921 roku, gdy liczne towarzystwo zapakowało się do specjalnie przygotowanego pociągu i wyjechało do Wołkowyska na spotkanie Piłsudskiemu. Planowano przywitać go tam ~~hustaciami~~ <sup>hustaciami</sup> który miała zagrać specjalnie sprowadzona orkiestra wojskowa. Nie przewidziano jednak, że Marszałek będzie spał w najlepsze. A wiadomo, tak dostojnego człowieka budzić nie wolno.

Nie tylko młodostacy notable wyszli naprzeciw wyśmienitemu gościowi:

Na obok idącego pociągu równolegle zdaje się z oknami wagonu restauracyjnego ukazują się ~~okna pociągu~~ <sup>okna pociągu</sup>. To samolot d-cy naszej dzielnej 1-ej eskadry lotniczej. Kap. Lepszy z pilotem por. ~~kapitanem~~ <sup>kapitanem</sup> przelatywali na spotkanie pociągu. Przelatując tuż koło okien kapitan wychyla się ~~przechylając~~ <sup>przechylając</sup> ręką pozdrowienia jadącym [myśli oczywiście, że jest wśród nich Piłsudski – A.L.]. Ci ostatni czynią to samo.

Po tych pozdrowieniach lotnik wyczyniał wokół pociągu „najrozmaitsze ewolucje napowietrzne” i rytmicznie oblatywał Marszałka.



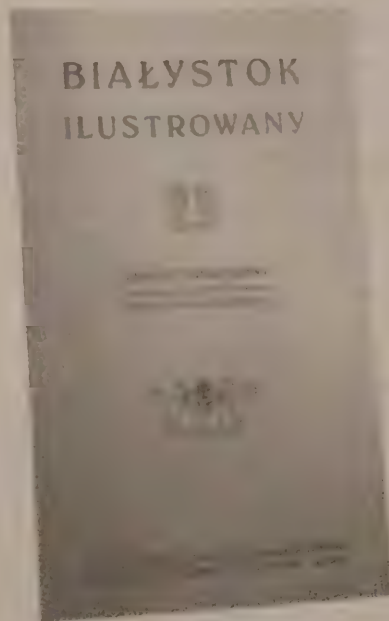
Białystok witał Piłsudskiego, jak to było w owych czasach popularne, dekoracjami i bramami triumfalnymi. Jedna z nich w stylu empire stanęła u zbiegu ulic Kolejowej, św. Rocha i Lipowej. To przy niej prezydent Szymański powitał Marszałka chlebem i solą, a jego córka Halinka wraz z Felą, córką przewodniczącego Rady Miejskiej Feliksa Filipowicza, wyrecytowała wierszyk ułożony przez Marię Kościankę:

I myśmy też przyszły tutaj polskie dziatki  
By Tobie przynieść te kwiatki  
My dobrze wiemy jakie ciężkie znoje zniosłeś dla Polski  
Drogie imię Twoje świeci przykładem  
W sercach naszych gorąco wdzięczność bije  
Naczelnik Państwa Józef Piłsudski niech żyje!



Portret Józefa Piłsudskiego  
zamieszczony  
w Białymstoku ilustrowanym,  
1921 r.

Następnie Piłsudski wraz z całą switą udał się na śniadanie do niewielkiego, drewnianego domku przy ulicy Starobojarskiej 30, w którym mieszkali prezydentostwo Szymański. O godzinie 12.00 zaczęły się uroczystości na Rynku – msze, sztandary, defilady. Po nich w ogrodzie Branickich wydano obiad dla 2 tys. gości! Za ten punkt programu odpowiedzialni byli radni Antoni Gliński i Zygmunt Maciejewski. Panie z gminy ewangelickiej nakrywały stoły. Punktualnie o 15.00 Marszałek zasiadł do obiadu. Wiemy, jakie tego dnia zaplanowano menu dla honorowego gościa: na pierwsze podano rosół z jarzynami i kawałkiem mięsa, na drugie mięsiwo pieczone z kartoflami, a do tego kompot z jabłek i piwo. Na deser... zostawiono kolejne przemówienia.



Strona tytułowa  
Białegostoku ilustrowanego,  
wydanego z okazji przyjazdu  
Józefa Piłsudskiego,  
1921 r.



Piłsudski był tym wszystkim już lekko zmęczony. O 17.00 podziękował więc za wszystko i udał się do swego pociągu. Zapowiedział jednak, że o 18.00 przyjedzie do kwateron 4. Pułku na Traugutta, aby „przyrzec się zapasom w piłkę nożną między sportowcami towarzyszami Koroną warszawską a drużyną 42 p.p.” O dobrym nastroju Marszałka nie świadczy to, że zgodził się zostać ojcem chrzestnym niedawno narodzonego synka kapitaństwa Grossneitów. Matką chrzestną była doktorowa Apolonia Żołątkowska, prezantką białostockiego Koła Polek. W nietypowym miejscu, bo na boisku sportowym, sakramentu udzielił kapelan wojskowy. Tego dnia nie dane było Piłsudskiemu obejrzeć meczu sportowego. Jeszcze w jego trakcie adiutant przyniósł Marszałkowi wieniec z nutami marszalskomponowanego na jego cześć przez Natana Cygana, popularnego w mieście skrzypka, a orkiestra odegrała ów utwór.

Czas gonit. Nie czekając więc na zakończenie spotkania (białostocczanie wygrali 5 : 2), Piłsudski pojechał do magistratu. Tu otrzymał honorowe obywatelstwo. Wręczono mu też pierwszy egzemplarz książki *Białystok ilustrowany*. Bez mów się także nie obyło. Jedną z nich wygłosił Filipowicz, który na jej zakończenie wykrzyknął: „Najstarszy żołnierz polski, nasz ukochany Dziadek, niech żyje”. Chodziło oczywiście o najstarszego stopniem, ale wyszło, jak wyszło. Po nim dwaj miejscowi fabrykanci, Dawid Szatja i Łazarz Frenkiel, w imieniu przemysłowców „do dyspozycji” Piłsudskiego złożyli pół miliona marek. Tyle samo wręczyli Szymańskiemu. Była już 22.00, a na Marszałka czekał jeszcze jeden punkt programu – raut w pałacu Branickich. Dzień był wyczerpujący, wypełniony zajęciami po brzegi, a mimo to przed pierwszą w nocy, gdy pociąg powoli ruszał, „Naczelnik Państwa z uśmiechem na ustach, salutując mija rozentuzjasmowane rzesze publiczności serdecznie go żegnającej”.

Wojewoda, prezydent i przewodniczący Rady na ostatnich nogach, ale pełni patriotycznego uniesienia i szczęśliwi, że wszystko się udało, mogli wreszcie położyć się spać.





ŁAZNIE, WANNY I PRYSZNICE  
**R. J. Bole**

ULICA POLSKA 27.  
Łazienki i wanny od 30 kop do 1 zł.  
Prysznic od 10 kop do 1 zł.  
Ciepła woda od 11 godziny wieczora.  
Łazienki dla mężczyzn I-iej kl. po 20 k.  
II-iej kl. po 15 kop. (w Piątki i Soboty), III-iej kl.  
po 10 kop. Łazienki w Środy, Czwartki, Piątki  
i Soboty dla kobiet w Środy po 10 kop.  
Stałym abonentom ustępstwo.

Reklama łaźni Bolego, 1912 r.

Fabryka Mydła

**M. O. PATT**

W BIAŁYMSTOKU

ulica Białostocka 2

Poleca 1 gatunek MYDŁA do prania  
sine i żółte.

Firma egzystuje od 1878 roku.

Reklama fabryki mydła, 1921 r.

## Białostoczanin w łaźni

W ostatnich dekadach XIX wieku do Europy zawitała amerykańska moda higieniczna. Pomimo że o Polakach z przekąsem mawiano, że mają oni kontakt jedynie z wodą święconą, to światowe nowinki szybko pojawiły się i w Białymstoku. Jedną z pierwszych w mieście ekskluzywnych drogerii otworzył pod koniec XIX wieku przy ulicy Lipowej Jakub Kurlandzki. Było w jego magazynie wszystko, czego ciało i dusza pragnęły. Oferowano więc sole do kąpieli, owocowe i eteryczne olejki do nacierania ciała, no i oczywiście mydła. Towar u Kurlandzkiego był najwyższej jakości, sprowadzany z samego Petersburga, ze znamienitej firmy A. M. Żukowa.

Ale prawdziwy boom higieniczny nastąpił dopiero w międzywojniu. W 1921 roku Wincenty Hermanowski sprowadził do swojej apteki „Pod Łabędziem” dużą partię „Potolu z kogutkiem”, wyprodukowanego przez znaną poznańską firmę Gąseckiego. Preparat sprzedawał się momentalnie. Po potolu kolejnym hitem okazał się sudorin, specjalny talk usuwający „pot i nieprzyjemną woń z rąk, nóg i pach”. Razem z tymi higienicznymi nowalijkami w białostockich drogeriach pojawiły się wysmienite mydła. W 1924 roku białostoczanin zachwalał mydło „Kalia”. W następnym roku furorę robiło mydło „Hera”, produkowane według recepty doktora Obermeyera. Mydło to „nadawało piękną pleć i gładką cerę, usuwało czerwonosć i szorstkość skóry, liszaje, pryszcze, wszelkie wysypki itp.” Kolejny, 1926 rok należał do „na wskros



perfumowanego mydła Elida", które „umiejętnie pielęgnując swoją urodę", pozwalało „zachować na długo młodzieńczy wygląd". Ale Białystok miał też swoje fabryki mydła. Mówiły nie były to światowe koncerny, ale zawsze coś. Pół miasta szorowało się własnym, tutejszym wyrobem. Przy ulicy Żytnej, nomen omen tuż obok Czystej, funkcjonowała fabryka mydła Meysa Bereszkowskiego. Nicopodał, przy ulicy Białostoczańskiej (obecnie Włókna) mydło produkował Mowsza Pat. Kolejne mydlarnie zlokalizowane były bliżej rynku. Przy Białostockiej (to okolice dzisiejszej Grochowej) działał Łpsztajn, przy Wilenskiej (to niecałkowicie plac Uniwersytecki) mydło robił Kotlar, a przy Legionowej stała niewielka fabryka Rejzli Bryskin. Dla spełnienia kronikarskiego obowiązku dodajmy, że były jeszcze dwie wytwórnie mydła, Jurkowskiego przy Orzeszkowej i Warhaftiga przy Sobieskiego.

Jesienią 1935 roku miasto obiegra wieść o niesłychanym wzroście cen mydła – skoczyły w górę o 50%. Wiadomość ta nie wywołała bynajmniej paniki, jedynie komentarze, że wszysko drożeje, a nawet mydło. Powodem tej podwyżki był brak na miejscowym rynku loju bydlęcego, który był podstawowym składnikiem do produkcji tego środka czystości. Białostoczanie z pewną obojętnością potraktowali jego brak w sklepach. Czystsza część opinii publicznej grzmiała jednak, że „zwyżka cen mydła nie wpłynie dodatnio na higienę naszych mas, a przecież dobrze każdemu wiadomo, że ilością zużytego mydła mierzy się stan kultury społeczeństwa".

Tymczasem „higiena naszych mas" pozostawiała wiele do życzenia. Do codziennych ablucji (i to też z tą codziennością nie przesadzajmy) najczęściej służyły balie z grzaną „na płycie" wodą czerpaną ze studni. Niewielu mieszkańców stać było na urządzenie nowoczesnych łazienek. Jeszcze w 1936 roku o Białymstoku, mając na uwadze stan higieniczny jego mieszkańców, pisano wprost „Brudnystok". Doliczono się zaledwie 1000 domów, w których były łazienki. Wnoszono więc, że w takich luksusach mieszka około 30 tys. ze 100 tys. mieszkańców. Rodziło się więc dramatyczne pytanie, „gdzie myją swe grzeszne cielska pozostałe 70 tysięcy mieszkańców stolicy województwa? I czy kąpią się w ogóle?". Byli ponoć tacy, którzy „twierdzili uporczywie, że Białystok wcale się nie myje", dodając a propos wanien prawdopodobne podejrzenie, że „w połowie z nich kąpią się jedynie ryby przed świętami". Problemu nie rozwiązywały łaźnie publiczne, w których wyłączając dni przedświąteczne, „frekwencja była minimalna".

Na przełomie XIX i XX wieku działały w Białymstoku cztery łaźnie. Najlepszą renomą cieszyła się ta zwana wówczas też „wannami", należąca do Klary i Reinholda Bole, mieszcząca się przy ulicy Pocztowej 17 (obecnie Jurowiecka). Korzystać z niej można było od 8.00 rano do 23.00 wieczorem. Ponieważ łaźnia miała „oddzielne numera", to znaczy kabiny z wannami, ale nie oddzielone dla każdej płci, zatem dla obrony obyczajności panie mogły kąpać się wyłącznie w środy, a panowie w pozostałe dni tygodnia. Za cara za wannę I klasy mężczyźni płacili 20 kopiejek, a kobiety tylko 10.

W okresie międzywojennym Łaźnię Bolego, które prowadził syn założycieli, Aleksander, spełniały rolę łaźni miejskiej. W marcu 1929 roku z Warszawy do Białegostoku dotarła





Przy ul. Nadrzecznej znajdowała się żydowska łaźnia, 1910 r.

sensacyjna wiadomość. Okazało się, że jest opracowywana ustawa o przymusie kąpielowym. „Ustawa ta zmuszałaby wszystkich mieszkańców do kąpania się przynajmniej raz miesięcznie, przyczem przymus ten podlegałby kontroli władz sanitarnych”. W związku z tym łaźnie otrzymywały subwencje z magistrackiej kasy i wstęp do nich był stosunkowo tani. Białostoczanie, gdy już przyszli do łaźni, to zachowywali się w niej na ogół swobodnie i radośnie. Ci, którzy doceniali rozkosze kąpieli, dawali więc upust swojemu zadowoleniu. W soboty trudno było znaleźć u Bolego wolną wannę. Ale o tym, czy w łaźni jest tłok, można było przekonać się jeszcze na ulicy. Dochodząc do lazienkowego budynku słychać było wydobywające się na zewnątrz „śpiewy, hałas i gwizdy. Miało się wrażenie, że to nie ludzie myją się w tych termach białostockich, lecz jakaś siła nieczysta sprawuje tam swój dziki sabbat”. Bo i cóż to za kąpiel bez zaśpiewania „O sole mio” bądź przeciągłego wiele znaczącego gwizdnięcia, które każdy gentleman wydobyć z siebie musi na widok owiniętej w ręcznik nimfy.

Aby sprostać wymogom ustawy o przymusie kąpielowym, w łaźni przy ulicy Jurowieckiej wprowadzono nowy regulamin. Główny nacisk położono w nim na przepustowość wanień, wyznaczając limit czasowy na odmakanie. I właśnie po wprowadzeniu tego regulaminu wydarzyła się rzecz niesłychana. Oto w pewną lipcową sobotę 1929 roku „jakiś osobnik zamknął



się w wannie i przesiadzał 3 i pół godziny". Personel i oczekujący na swoją kąpiel klęli i przeklinali, a niektórzy podjęli nawet, że stało się jakieś niezwykłe. W końcu w 1916 roku kąpiel ukończył się wymoknięty osobnik. Wszyscy rzucili się ku niemu, pytając, dlaczego w końcu obowiązującym w łaźni przepisom tak długo się kąpał. W odpowiedzi jego miłoścy (ów spójrz z politowaniem na niemytych awanturników i „Jedynie ironicznie się uśmiechnął”

Jeżeli przy ulicy Jurnwieckiej była łaźnia Szereszewskiego. Jego drugi zakład kąpielowy znajdował się przy ulicy Staroszosowej (obecnie św. Rocha). To właśnie w nim łażący w 1916 roku doprowadzili do upokarzającej białostoczan akcje tępienia wazy. Zgodnie z okupacyjnym rozporządzeniem do wariantów mieli iść wszyscy po prostu, jak leci, bez zwracania uwagi na płęć i młyn.

Wśród białostockich Żydów największą popularnością cieszyła się łaźnia Meiera Monasewicza przy ulicy Nadrzecnej. To właśnie w tej łaźni w marcu 1935 roku wybuchł wielki skandal. Jego przebieg był szeroko komentowany w białostockich domach. W jednych wzbudził oburzenie, w innych stał się pożywką dla niewybrednych żartów. Jego bohaterem był promiśność obsługujący łaźnię. Skupiał on w swoim ręku całą łaźnienną władzę. Był bowiem i dozantem, i palaczem, i „maszynistą”, czyli takim, co to włącza pompy i nadzoruje sprawność kranów itp. Problem pojawił się nagle: gdy przed żydowskimi świętami w łaźni było szczególnie tłoczno, nadzorca dziwnym trafem miał coś do naprawienia. Szczególnie upodobał sobie oddział kobiecy. Wkraczał doń bez pardonu pod pretekstem sprawdzenia temperatury wody albo czy maszynownia, czyli kurki w wannowych kranach, sprawnie działają. Wizyty te wzbudzały wielki popłoch i oburzenie wśród kąpiących się niewiast. Gmina żydowska, która zarządzała łaźnią Monasewicza, postanowiła w końcu przerwać ten niecny proceder i zwolniła lubieżnika. Na jego miejsce zatrudniono bogobojnego łaźniennego, takiego, co to na widok odsłoniętej kobiecej tydki wznosił oczy do nieba. Natomiast zwolniony amator kobiecych wdzięków ani myślał ustępować. Zjawiał się w łaźni dzień w dzień i wszczynał awantury. Pewnego dnia wieczorem, dostał się na wewnętrzny dziedziniec budynku i „począł tłuc kamieniami szyby w żeńskim oddziale”. Kobiety „w obawie przed awanturnikiem bały się wyjść na ulicę i musiały pozostać w wannach do późnej nocy”.

Dopiero w 1939 roku przystąpiono do budowy nowoczesnej, dużej łaźni miejskiej przy ulicy Słonimskiej. Miała ona rozwiązać higieniczne dylematy białostoczan: przestrzegać prawa czy nie, kąpać się przed Wigilią czy może dopiero na Wielkanoc.

SEZON LETNI JUŻ SIĘ ROZPOCZĄŁ!  
**KAPIELE B-ci CITKOWSKICH**  
Białystok, Nowo-Warszawska 1.  
**SA JUŻ OTWARTE.**

Musisz iść do kąpielni - pojedynczo i ogólnej  
Wszelkie wyjątki  
Porządek jest bacznie strzeżony.

Reklama łaźni, 1932 r.





## Brylanty, dolary, skarby

**C**oś sa przy pieniądzach, twierdzą przewrotnie, że szczęścia one nie dają. Ci, dostrzegając majątek, traktują to jako nieszczęście. Białostockie annały zawierają kilka pysznych przykładów obrazujących ten paradoks.

Pewnego lipcowego dnia 1923 roku dziewiętnastoletnia Chana przyszła do pracy w sortowni szmat Mosze Zilbera przy ulicy Ciepłej. Zajęcie jej polegało na segregowaniu materiałów według kolorów. Gdy trafiły się ubrania, dziewczyna musiała je porozrywać, tak aby podszeć. Włókna i materiał wierzchni trafiły na odpowiednią stertę. Praca monotonna i niezbyt przyjemna, ale zawsze praca. Chana właśnie rozrywała „matynarkę wiatowaną, oczywisieć w stanie okropnym”, gdy nagle coś ostrego ukuło ją bolesnie w palec. To coś znajdowało się w wiatolinie, pod podszećką. Zaintrygowana dziewczyna zaczęła szybko przeszukiwać szczyty matynarki i... odłupiła. Jej oczom ukazała się bowiem złota szpula z brylantem. Natychmiast



NIEMIECZYM...  
ZEGARMISTRZOWSKO JUBILERSKI  
oraz warsztat reperacyjny  
PRZENOSZE NA RYNEK KOŚCIUSZKI 41  
obok Cukierni „Zjednoczenia”  
I PROSZĘ O DAJSZE POPARCIE  
Z poważaniem

Jerzy Sobierał

Reklama, 1938 r.

wokół Chany zaroilo się od robotników, którzy przerwali pracę. Znamcy biżuterii, a takich gdzie jak gdzie, ale w sortowni szmat było wielu, brali złoto na ząb, swoimi sposobami chcieli sprawdzać brylant. Sprytna dziewczyna nie dała się zwieść opiniom, że to tylko tombak ze szkiełkiem, bo i skąd złoto i brylanty w smierdzącej marynarce u Zilbera. Po zakończeniu pracy Chana udala się do jednego z jubilerów przy Rynku Kościuszki. Ten „fachowo” ocenił znalezisko i orzekł, że warto jest 20 mln marek. Brzmiało ładnie. Tyle że dolar kosztował wówczas prawie 6,5 mln marek. Dla porównania za kilogram cukru trzeba było zapłacić 250 tys., a za litr mleka 40 tys. marek. Wynikało z tego, że znalezione precjoza warto są 3 dol. albo, jak kto woli, 80 kg cukru. Dziewczyna oświadczyła chytremu jubilerowi, że szpili mu nie sprzeda. Zachowa ją na swój posag, dzięki któremu przypuszczalnie dobrze wyjdzie za mąż. I tak to następnego dnia, skoro świt, najbardziej posażna panna z ulicy Marmurowej jak co dzień poszła do swojej sortowni szmat na Ciepłą. Ciekawe czy te 20 mln przemieniło się w jej szczęście?

Z pewnością mniej szczęścia miał pewien białostocki kupiec, który w lipcu 1923 roku po załatwieniu transakcji w Warszawie udał się pociągiem w powrotną drogę do Białegostoku. Miał przy sobie okrągłą sumkę 40 „prawdziwych, niefałszowanych dolarów”. Obawiając się złodziei, schował je do czapki, pod podszewkę. Czapkę nasadził na głowę i zasiadł w przedziale. Co chwila, dyskretnie, tak mu się przynajmniej wydawało, dotykał swojego kapitału, chcąc niby to poprawić fason czapki. Upał tego dnia był okropny, ale kupiec ani myślał o zdjęciu nakrycia głowy. Gdy tylko sen go morzył, to zaraz podskakiwał i nużę sprawdzać, czy ma czapkę na swoim miejscu. Tak dojechał do Małkini. Tu zaciekawiony zwrócił się w stronę okna i to był błąd. W tym samym bowiem momencie podróżujący z nim w przedziale mężczyzna zerwał mu czapkę z głowy i zanim kupiec zdolał zareagować, wyskoczył z wagonu i znikł w krzakach otaczających zewsząd stację. Pomimo krzyków i próby schwytania złodziejasek przepadł wraz z drogocenną czapką. Ot, taka banalna historia.

Ale to, co przytrafiło się pewnemu kupcowi spod Krakowa, było już komentowane szeroko w całym Białymstoku. Przyjechał on we wrześniu 1932 roku z zamiarem kupienia sukna.



W NOWYM POWIEKSZONYM LOKALU  
CHRZEŚCIJAŃSKI MAGAZYN

Zegarmistrzowsko - Jubilersko - Złotniczy



**JERZY SOBIERAJ**

Białystok, Ryn-Kościuszki 41  
obok cukierni „Zjednoczenia”

POLECA:  
ZEGARY I ZEGARKI  
BIŻUTERIE

Reklama. 1938 r.

inokotu bądź innych tkanin. Na ten cel przeznaczył niechlubną sumkę: 1000 zł i 700 dol., a ten „chodził” wtedy po 8 zł. Czasy były ekonomicznie niepewne, więc przezorny biznesmen wiozł gotówkę ze sobą. Aby jej w głupi sposób nie stracić, wiadomo pociągi, złodzieje, oszuści itp., włożył całą sumę w nogawkę kalesonów, które miał, rzecz jasna, na sobie. Gwarantem bezpieczeństwa zdeponowanych w kalesonach funduszy był troczek, służący do zawiązania końca nogawki wokół tydki. Tak dosłownie nadziany forszą, paradował nasz jegomość po Białymstoku w poszukiwaniu najlepszego, a zarazem taniego towaru. Na ulicy Sienkiewicza zdarzyła się rzecz straszna. Rozwiązał się kalesonowy troczek. Od tej pory każdy krok przedsięwzięty wart był kilkadziesiąt złotych. Bo tak się mu z nogawki sypały na białostocki bruk pieniądze. Więcej tego dnia od Białej wiatr unosił banknoty za sunącym po trotuarze kupcem. Leciała za tym „filantropem mimo woli” cała zgraja uliczników, zbierając sypiącą się jak manna z nieba fortunę. Nieszczęsny kupiec, nim się zorientował, stracił 750 zł i wszystkie dolary. Przybytemu na miejsce policjantowi udało się jedynie wykrztusić: „gdy zobaczyłem, jak oni się gonili – to mnie było można powiedzieć – bardzo wesoło. Ja nie myślałem, że to moje pieniądze. A potem pomacałem się i...”.

Kolejna historyjka zahacza o najwyższe finansowe sfery. Nie od dziś wiadomo, że mieć w rodzinie choćby kierowcę czy lokaja od Rotszylda to tak, jakby Pana Boga za piętę złapać. Ale być samym Rotszyldem – to raj. Przy ulicy Szkolnej, prowadzącej z Suraskiej na Schulhof, na którym stała wielka synagoga, w skromnym drewnianym domku od dziesięcioleci mieszkała rodzina Rotszyldów. Nawet im do głowy nie przychodziło, że są tymi Rotszyldami. Aż tu nagle, w maju 1927 roku, do zarządu białostockiej gminy żydowskiej zwrócił się warszawski mecenas Leon Parzyński. Oświadczył on, przedstawiając wiarygodne dokumenty, że oto w Ameryce zmarła Berta Rotszyld, która w swoim testamencie zapisała, że jedynym jej spadkobiercą jest białostocki Rotszyld, Zygmunt ze Szkolnej. Zanim warszawski adwokat skończył swe wywody w siedzibie gminy przy Sosnowej, to już sensacyjna wieść lotem błyskawicy obleciała Kaczą, Wilczą, Suraską, aż dotarła na Szkolną. Po drodze mnożyły się domysły i spekulacje. Która Berta, z którym Rotszyldem,



ile milionów, co z nimi zrobi Zygmun-  
Szybko okazało się, że Berta, ówczesna żona  
Rotszyld, ale wcale nie z tych Rotszyldów.  
Spadek też nie robił żadnego wrażenia.

Mówi się też, że pieniądze leżą na zame-  
Wystarczy tylko schylić się po nie i wzo-  
kie kłopoty z głowy. Ponoć tak powstała  
niejedna światowa fortuna. Tak też mogło  
być i w Białymstoku. Pod koniec stycznia  
1934 roku po mieście rozeszła się sen-  
cyjna wieść. Na dnie Białej leży skarb. I to  
gdzie. W samym centrum miasta, tuż przy  
moście na Sienkiewicza. Od tego dnia na  
tymże moście „zauważyć można było liczne  
gromadki gapiów bezustannie wpatrują-  
cych się w nurty rzeki”. A tam, na dnie, jak  
na dłoni leżały całe masy dziesięciozłoto-  
wych monet. Czy to mroźna zima czy wstyd,  
faktem jest, że wszyscy gapili się w ten za-  
topiony skarb, a nikt nie wchodził do wody,  
aby go wydobyć. Widać marzenia o bogac-  
twie sprawiały większą przyjemność niż  
ono samo połączone z kąpielą w cuchnącej  
wodzie. Nadeszła niedziela. Ludzi na mo-  
ście było tego dnia, co rozumiałe, jeszcze  
więcej. W pewnym momencie tłum zafalo-  
wał. Dało się słyszeć przeciągłe „Oooo...”  
i wszyscy wstrzymali oddech. Oto w „nur-  
ty rzeki” wskoczył nieznany młodzieniec  
„łasy na 10-cio złotych”. Napięcie wśród  
gapiów doszło do zenitu, gdy młodzieniec  
sięgnął zamasyście po mieniące się mone-  
ty i spod wody wydobył jedynie błyszczące  
blaszki. I w jednym momencie wybujałe  
marzenia o bogactwie prysły jak mydlana  
bańka. „Zawiedziona w nadziejach gawiedź  
momentalnie rozpierzchła się”.





Budynek szpitala onkologicznego w Białymstoku, lata 60. XX w.

## Chęć zysku i sławy

**P**o południówce „Życie Białostockie” 24 października 1958 roku na pierwszej stronie podała sensacyjną informację: „Aresztowanie dr Kostkowskiej. Złą diagnozą powodowała kalectwa”. Poruszenie wśród mieszkańców było ogromne. Sprawa była niezwykła, do tego doktor Amelie Kostkowska pomimo młodego wieku ogólnie znana w mieście. Do Białegostoku przyjechała w 1953 roku. Miała zaledwie 26 lat, a już za sobą karierę, której mógłby pozazdrościć jej niejeden doświadczony lekarz.

Zaczęła pracę w 1949 roku w warszawskim Instytucie Radowym i szybko stała się tam prawą ręką dyrektora. Rok później była już sekretarzem Polskiego Towarzystwa Onkologicznego. Zamówiła eksponowane stanowisko w redakcji pisma „Nowotwory”, sekretarzędowała branżowej radzie naukowej przy Ministerstwie Zdrowia. Tak szybkie awanse spowodowały konflikt z pozostałymi pracownikami instytutu. W efekcie przeniesiona została do Krakowa. Oczywiście i tu objęła kierownicze stanowisko. Warszawski scenariusz się powtórzył, wobec czego ambulantną lekarkę wysłano do Białegostoku. Urażona uznała to za karę.

Po wojnie białostocka onkologia zaczęła się dopiero organizować. Doktor Kostkowska po przeniesieniu została kierownikiem powstającej Wojewódzkiej Przychodni Onkologicznej i ordynatorem oddziału onkologicznego w Wojewódzkim Szpitalu Ginekologiczno-Położniczym. Dodatkowo prowadziła prywatną praktykę. Zachowała swoje warszawskie znajomości



...co w epizmie białostockiego środowiska czyniło z niej osobę uprzedmiotowaną. Jej  
...w 1954 roku uznał jej specjalistę  
...Karłowiczowska podjęła pracę w  
...niezwykle karierę.

...planów budowy szpitala...  
...Kandolka na jego dyktando jest...  
...1955 roku do przepadku...  
...Karłowiczowska zaryzykowała...  
...Adolfine M. korki rakowe...  
...po rozmowie z matką zarzuciła...  
...swoją drogą, ciekawe...  
...z podważeniem...  
...Czy ktoś wcześniej im to wyjaśnił? Czy była to próba rewanzu któregoś z kolegów...  
...ani podczas rozprawy nie poruszano.

...rozpoczęto szpitalne dochodzenie. W jego trakcie zaczął...  
...dokumentację...  
...24 października...  
...W „Życiu Białostockim” pisano, że „przeciwko dr Karłowiczowej...  
...błędne leczenie. Dr Karłowiczowa...  
...wykraczających poza normy etyki lekarskiej”...  
...przed białostockim sądem wojewódzkim rozpoczął się...  
...33 zarzuty dotyczące błędów lekarskich, łapownictwa i...  
...

...proces stał się sensacją. Sprawozdawca sądowy „Gazety Białostockiej”...  
...którzy chcieli dostać się na salę rozpraw. Liczba kart wstępu...  
...mogło wejść tylko 120 osób. Musiała nawet interweniować...  
...grupy osób oblegających drzwi sali rozpraw”. Sprawy przychodziły...  
...z całego kraju oraz „świata lekarskiego, prawniczego i...  
...Polska Kronika Filmowa, co spowodowało opóźnienie...  
...wiadomości o jej obecności odmówiła...  
...

...Sąd dopiero zaczął się błędami lekarskimi. Doktor Karłowiczowska...  
...drzwi pacjentki. Co ciekawe, le...  
...jednak w końcu przyznała...  
...ze tak mi wolno robić. Pocho...  
...





**Prowadzący rozprawę sędzia  
Kazimierz Mochtak,  
wiceprezes sądu wojewódzkiego**



**Zeznaje dr Amelia Kostkowska**



**Biegli sądowi. W środku prof. Maria Byrdy**

Po zakończeniu wyjaśnień biegłych, które dotyczyły aspektów medycznych, sąd zajął się nie mniej bulwersująca sprawa korupcji. Lekarkę oskarżono, że „pracując w Poradni Onkologicznej i przeprowadzając leczenie raka skóry, żądała od swoich pacjentów honorariów”. Zeznawało 27 świadków. Jedna z pacjentek opowiadała, że „za pierwszą kurację radową przeprowadzoną w Poradni Onkologicznej zapłaciła oskarżonej 400 zł. Ponieważ podczas pierwszej rozmowy z Kostkowską nie miała takiej sumy, oskarżona powiedziała jej, że jak nie ma pieniędzy, to nie będzie leczenia”. Publiczność wysłuchiwała też wstrząsającej historii męża jednej z pacjentek. Sprzedał on cały i tak niewielki dobytek, aby sprostać wymaganiom finansowym lekarki i ratować swoją żonę, której stan w chwili rozpoczęcia leczenia i tak był beznadziejny.

Kolejnym zarzutem postawionym oskarżonej były malwersacje finansowe przy tak zwanych badaniach masowych. Kostkowska rozpisrywała sumy, które rzekomo wydatkowała na ich rehabilitację, po czym część z tych pieniędzy przywłaszczała sobie.





Onkologiczny ośrodek nie zaczął najlepiej, następne lata pokazały jednak, że były to tylko złe dobre początki. Czyn społeczny personelu medycznego przy rozbudowie szpitala onkologicznego, lata 70. XX w.

W następnych dniach procesu sąd zajął się stosunkami służbowymi w białostockich placówkach służby zdrowia. Tu kluczowe zeznania składali znani i w późniejszych latach lekarze profesorowie Stefan Soszka, Ludwik Komeczynski i Maria Byrdy. Ich zeznania obciążły Kostkowską. Po ich wysłuchaniu oskarżona poprosiła o możliwość złożenia dodatkowych wyjaśnień. Jako że dotyczyły jej osobistych spraw, sąd utajnił tę część rozprawy. Ale i tak większość zainteresowanych procesem domyślała się, że Kostkowska opowiadała o spisku zawładniętym przez całe środowisko przeciwko niej. Uważała, że miejscowa profesura czuje się przez nią zagrożona i raz po raz przeciwko niej, mści się.

Wreszcie, 25 listopada 1959 roku swoje mowy końcowe wygłosili prokuratorzy. Lech Lechowski pytał retorycznie: „kto potrafi obliczyć szkody wyrządzone przez oskarżoną?” i stwierdził, że Kostkowska „zdyskwalifikowała się jako lekarz, człowiek i obywatel”. Drugi z oskarżycieli, Aleksz Szabat, na zakończenie swojej mowy wniósł o karę 13 lat więzienia.





Czyn społeczny personelu medycznego przy rozbudowie szpitala onkologicznego w Białymstoku, lata 70. XX w.

pozbawienie praw publicznych, zakaz wykonywania zawodu przez 10 lat, zapłacenie grzywny w wysokości 100 tys. zł i przepadek samochodu, który oskarżona kupiła za przywłaszczone pieniądze. Z kolei obrońcy – Tadeusz de Virion, Janusz Kołakowski i Zdzisław Węgliński – wnosili o uniewinnienie oskarżonej. 26 listopada ostatnie słowo wygłosiła lekarka. Sprawozdawca sądowy zanotował:

nerwowo ściskając chusteczkę w rękę. Amelia Kostkowska wstaje i głosem przerywanym przez szloch mówi: – Chciałam powiedzieć, że przez cały okres swej pracy jako lekarz chciałam ludzi leczyć, nigdy nie chciałam ich kaleczyć. Działalam w myśl swej najlepszej woli, wiedzy i sumienia. To wszystko, co mam do powiedzenia.

30 listopada o godzinie 13.30 sąd ogłosił wyrok: dziewięć lat więzienia, pięć lat zakazu wykonywania zawodu i 100 tys. zł grzywny. Doktor Amelia Kostkowska wyrok przyjęła ze spokojem. To jednak nie koniec historii: 30 września 1960 roku przed sądem najwyższym odbyła się rozprawa rewizyjna. Tym razem wyrok był już ostateczny: 8 lat więzienia, 10 lat zakazu praktyki lekarskiej, 50 tys. zł grzywny i utrata praw obywatelskich.

Sprawa doktor Amelii Kostkowskiej weszła do klasyki polskiego pitawalu. Wanda Falkowska, opisując ten proces, zauważyła, że nie ujawnił on w sposób wyraźny pobudek oskarżonej. Wymienił je jednak prokurator Lech Lebenstein. W swojej mowie oskarżycielskiej jasno stwierdził, że oskarżona działała dla „chęci zysku i sławy”.





Teatr Palace, w którym występowali Stanisław Przybyszewski i Julian Tuwim, 1912 r.

## Czcigodny Przybyszewski i melancholia Tuwima

19 stycznia 1922 roku przyjechał do Białegostoku Stanisław Przybyszewski. Zapowiadał jego sensacyjny odczyt *O nagiej duszy* w teatrze Palace. Rzecz była o życiu pozagrobowym. Bilety rozeszły się jak świeże bułeczki. Każdy chciał zobaczyć i wysłuchać, co też spowity chmurą skandali i rozmaitych wyczynów pisarz i poeta o zaświatach ma do powiedzenia. Złośliwi twierdzili, że dużo, bo jak mało kto potrafił zalewać się w trupa. No ale Przybyszewski w 1922 roku to już nie ten sam Stach, co 20–30 lat wcześniej w berlińskich i krakowskich czasach. Teraz był statecznym literatem, który jako „chluba literatury polskiej” w 1922 roku obchodził jubileusz trzydziestolecia twórczości „entuzjastycznie obchodzony w całej Polsce i zagranicą”.

Wykład w Palace był na tyle interesujący, że zgromadził „liczne rzesze inteligencji, która z przyjemnością słuchała mistrza”. Sam Przybyszewski chyba też był zadowolony, skoro po kilku dniach, wczwartek 1 czerwca 1922 roku, ponownie przyjechał do Białegostoku. Zatrzymał się oczywiście w hotelu Ritz. Tym razem mówił o dziejach Sztuki. Wieczór, tak jak i uprzednio,



miał się odbyć w Palace. Zapowiadając to wydarzenie, pisano: „nie wątpimy, że publiczność naszego miasta tłumnie pospieszy, by usłyszeć zajmujące wywody wielkiego poety, a zarazem znanego. Ma nadzieję i głęboki hold, jako nie tylko świetnemu artyście, ale i wielkiemu obywatelowi”. W ostatniej chwili, dzień przed spotkaniem, jakby coś przeczuwając, zmienił się plan, w której Przybyszewski miał spotkać się ze swoimi wielbicielami. Zamiast dużej, mieszczącej kilkaset osób sali teatru Palace, imprezę przeniesiono do sali obrad białostockiego magistratu przy ulicy Warszawskiej. Mimo tego manewru przedsięwzięcia nie uratowano – i tak wyszła z niego kłapa. Na spotkanie przyszły bowiem zaledwie 54 osoby. Nazajutrz z sarkazmem pisano, że „Białystok, grod raczej skromny i niemrawy, niż umysłowości inną przodujący. Białystok przeszedł obok Przybyszewskiego, jak mija wół wyniosłe wrota”. No cóż, wyblakła gwiazda krakowskich kawiarni wyraźnie nie interesowała już miejscowych dekadentów. Raz zobaczyli i wystarczyło. Ale ci, którzy przyszli, byli usatysfakcjonowani. Zaskoczeni byli tym, że prelegent „roztrząsał nie minioną dobę, lecz dzień jutrzejszy, nie pochodzenie i rozwój, lecz cel i zadanie, do których sztuka zmierza”. Wszystko było w duchu dawnego Przybyszewskiego. Wizje, indywidualizm i zaskakujące pointy. Wrażenie zrobił takie, że zwracano się doń per „Czcigodny Wykładowco”. Podziwiano poziom „etyczno-literacki”. Słowem w magistracie powiało Młodą Polską. Zabrało tylko nieodzownego absyntu. No cóż, w końcu to urząd.

Na wizyte kolejnego dekadenta skandalisty Białystok musiał trochę poczekać. Od spotkań z Przybyszewskim minęły dwa lata, gdy 2 czerwca 1924 roku przyjechał do Białegostoku nieodłączny jego towarzysz z szalonych krakowskich czasów, Tadeusz Boy-Żeleński. Miał wygłosić odczyt *Jak zostałem literatem*. Magnelem, który przyciągnął do teatru Palace tłumy, były słynne *Słówka*, które „wywoływały na sali huragany śmiechu”. Mniejsze wrażenie robiła sława Boya jako „największego znawcy dzieł Moliere’a”. Jak jednak zauważono, „miejscowa inteligencja” była pod wielkim wrażeniem. Z pewnością na widowni Palace było doktorostwo Berta i Wacław Szaykowski. Bynajmniej nie z powodu Moliere’a, ale za sprawą samego Boya. Otóż na początku XX wieku Żeleński, praktykujący jeszcze wówczas pediatra, założył organizację pod piękną, dającą się interpretować na kilka sposobów nazwą Kropla Mleka. Tak się zaczęła w Polsce profesjonalna opieka nad samotnymi, młodymi matkami. Od Kropli Mleka do szerzenia idei świadomego macierzyństwa był już tylko krok. Żeleński, dawny bon vivant

Wielki rozgłośniej słowny wazechświatowej pieczę  
**STANISŁAW PRZYSZEWSKI**  
 WYGŁOSI ODCZYT NA TEMAT  
**O NAGIEJ DUSZY**

Zapowiedź wieczoru autorskiego  
 Juliana Tuwima, 1927 r.

Teatr „PALACE”. We wtorek, dnia 17 maja r.b. o g. 8<sup>ej</sup> w.  
**JEDYNY WIECZÓR AUTORSKI**  
**JULJANA TUWIMA.**  
 Znamomity poeta odczyta osobiście własne utwory i przekłady  
 Srebrzółki w afiszach. Bilety od 70 gr. do 4 zł do nabycia w kasie teatru

Anons prasowy przyjazdu  
 Stanisława Przybyszewskiego,  
 1922 r.



... swego dworcu, erudycji, a zyskał...  
... głównym prelegentem...  
... Szaykowski. Doktor B...  
... Żeleńskimi byli Szaykowsy. Doktor B...  
... Jakimś... domu przy ulicy Mazowieckiej 7. Tak, tak, tak...  
... Kaczorowski. Matka Szaykowskiej, Maria...  
... domu prezydenta Ry... Kaczorowski. Przyjechała pani doktor...  
... spokrewniona z Kaczorowskimi. Przyjechała pani doktor...  
... studia w Warszawie i Charkowie. Do Białymstoku...  
... praktykę. Była ordynatorem interny w Szpitalu...  
... praktykę. Była ordynatorem interny w Szpitalu...  
... Jedyńskie podjęła starania o zorganizowanie w Białymstoku...  
... nad Marka i Dzieńkiem. Nowa placówka mieściła się w charakterystycznym...  
... Kraszewskiego i Starobojarskiej. W 1924 roku Stacja została otwarta...  
... Czy Żeleński był na ulicy Kraszewskiego? Czy spotkał się z Szaykowskimi? Czy może jedynie po odczucie w tower Palace szybko relacjonowali mu, co robią, jak sobie radzą?

Konczyła się dekadenska epoka. Z warszawskich kawiarni na salony literackie wchodził skamandryci. Najśłynniejszy z nich, Julian Tuwim, do Białegostoku przyjechał dopiero w 1927 roku. Ale jego rodzice i miastem sięgają znacznie wcześniejszych lat. W 1872 roku w Białymstoku urodziła się matka poety, Adela Krukowska. Tu mieszkali jej rodzice. Co prawda małą Adelię oddali na wychowanie babci, która mieszkała w Wiźnie, ale w Białymstoku wychowywał się jej brat. Jeden z nich, Stanisław, był ojcem Kazimierza Krukowskiego, popularnego „Lopata”, doskonałego aktora kabaretów warszawskich. Krukowscy mieszkali w nieistniejącym dziś domu przy ulicy Sienkiewicza 67. Tuwim, przyjeżdżając więc do Białegostoku w 1927 roku, spotkał się jak u siebie. Jak zwykle przy tego formatu gwiazdzie najodpowiedniejszym miejscem na zorganizowanie spotkania był teatr Palace. Na jego widowni mogło bowiem zasiadać blisko 800 widzów. Za tak dużą salą przemawiało również to, że zapowiedziano tylko jeden występ poety. Odbędzie się miał we wtorek 17 maja o godzinie 20.00. Organizatorzy zapowiadali, że słowny gość odczyta „wiersze liryczne, miłosne, groteskowe i satyryczne. Parodie, fragmenty poematu *Skrzydlaty Złoczyńca*. Utwory niedrukowane. Tłumaczenia poezji rosyjskich m.in. wyinki ze *Słowa o puku Igora*, *Jeźdźca miedzianego*, Puszkina, Baukina, Brusowa, Sologuba i *Obłoku w spodniach* Majakowskiego”. Licząc na sukces kasowy, przedłożono w górną cenę biletów. Najtańsze były po 70 gr. Na inne imprezy w Palace najtańsze biletu się po 30-25 zł. Czas, którzy chcieli dobrze słyszeć i widzieć poete, musieli zapłacić aż 4 zł. Już w przeddzień poetyckiego występu zapewniano, że „wieczór autorski znakomitego poety Juliana Tuwima w Białymstoku wywołał tak olbrzymie zainteresowanie, zwłaszcza wśród młodzieży, że bilety są rozchwytywane”. I gdy wszystko zapowiadało się wspaniale, to o 25-30 osób. Mimo frakwencyjnego blamażu „słuchacze wynieśli z tego wieczora autorskiego najlepsze wrażenie”. Recenzent dodawał, że „wiersze czytane przez p. Tuwima, ich









Kwartet L. Fidera (drugi od lewej) i S. Kwarta (trzeci od lewej) w restauracji „Ritz”, około 1928 r.

## Hejm Majn Białystok

*H*ymn Majn Białystok – Białystok so mój dom. To tytuł śpiewanej pieśni napisanej w 1951 roku w Stanach Zjednoczonych przez dwóch białostoczan – skrzypka i kompozytora Natana Cygana oraz poety Abrahama Szwachta. Ich piosenka z Ameryki miała się jednak dość wczesnie.

Młodym Białystokem bawił się na ciele. Jak grzyby po deszczu pojawiały nowe zespoły muzyczne. Na Senkiewicza, Rynku Kościuszki czy Kilińskiego wieczornymi słychać było piskliwio klarnety i swingujące saksofony. To grały „Artystom orkiestra”, „Kwart kwiatów”, „Pomeranc music”, „Cytron duet” czy „Cygan trio”. Tym ostatnim aranżerem kierował Nathan Cigan. Pamiętano, że w 1921 roku skomponował marsza na cześć Mariusza Białego.



W 1925 roku o Cyganie po raz pierwszy usłyszano w Ameryce. Pewną popularność zdobyła tam jego muzyka do któregoś z niemych filmów. Była tak wpadająca w ucho, że opatrzona tytułem *Dramatic Appassionato*, chętnie była grana nie tylko w kinowych salach. Zanim w końcu około 1931 roku postanowił wrócić Unger pojechał do Ameryki. Zamieszkał w Nowym Jorku, na Brooklynie. Aby mieć stałą kasię, zmienił pisownię nazwiska na Nathan Cyganer i występował też pod imieniem Nathan. Jak więc stał się popularnym kompozytorem piosenek. Dyrygował też brooklyńskimi orkiestrami. W 1934 roku komponował jedną z popularnych melodii *In Klein Hotel bin ich geboren* (Urodziłem się w małym hoteliku). To była trawersa wspomnianego Białego Sokoła był piewany w polskiej wersji. W tym czasie (1935 roku) dla Białego Sokoła dostały się z piosenką Cyganera i Cyganerem. Sprowadził je Łazarz Weintraub, właściciel klubu instrumentów muzycznych przy ulicy Sienkiewicza 10. Do tej piosenki dołączono też teksty w oryginalnej wersji żydowskiej, ale ta wersja była niemal w całości zapomniana. To są piosenki, nie sprawdza. Wszystkie egzemplarze z tekstem żydowskim rozeszły się jak świece bułeczki, a angielskie jeszcze dłużej nie były już potrzebne. W 1938 roku w Ameryce Zjednoczonej wydana została płyta *Tango - Hula of Jolly Tango*. Na 17 utworów i są dziełami Białego Sokoła i Cyganera-Szewacha.



Łazarz Szachnikow (w okularach), założyciel wielu zespołów muzycznych, w otoczeniu orkiestry uczniów Gimnazjum Hebrajskiego w Białymstoku, około 1925 r.



Amerykańsko historia zaczęła się dużo wcześniej. Już w 1900 roku, kiedy w Warszawie mieszkał przy synagodze chóralnej przy ulicy Żelaznej, młody Berman zaczął się interesować muzyką. Jego pierwszym nauczycielem był młody muzyk - Jakub Berman. Jego pierwszym nauczycielem był młody muzyk - Jakub Berman. Jego pierwszym nauczycielem był młody muzyk - Jakub Berman. Wtedy okazało się, że młody chórmistrz nie mógł być nauczycielem. Zatrudniony więc został jako nauczyciel śpiewu w podolskiej synagodze. Tam też Berman wypełniał lekcje. Zaczynał w powszechniejszej szkole dla żydów, prowadzonej przez Karola Kaplana, mieszczącej się w kamienicy Lej-... (obecnie Sienkiewicza). Ledwo skończył śpiewać, jak został zatrudniony w żydowskim gimnazjum Gwizda przy ulicy Kap-... Po kilku latach zyskał renomę najlepszego nauczyciela śpiewu. Na-... przed wybuchem wojny, w 1913 roku, pracował aż w sześciu szkołach. W jego życiu okazała się dwuklasowa powszechna szkoła dla żydów, której dyrektorem był Lew Babicki. Mieściła się w kamienicy Wiktora i Cw-... Mikolajewskiej. Berman także tu prowadził chór.

W 1910 roku do szkoły Babickiego zapisana została Rajca Bursztejn. Pochodziła z ubogiej rodziny. Była poświęcona oddana przez ojca kuzynom na wychowanie. Berman od razu zachwy-... muzykalnością siedmioletniej dziewczynki. Nie знаła nut, a bezbłędnie powtarzała podane jej melodie. Odśpiewywała też ze słuchu zasłyszane gdzieś w mieście pro-... Bermanowi dźwięki katarynki, które słyszała na Rynku. Mała Rajca miała niezwykle silny, dzwiczny jak na małe dziecko głos. Berman, wytrawny nauczyciel, widząc w tym niezwykły talent, poświęcał więc swej uczennicy więcej czasu. W czerwcu 1906 roku miał miejsce w Białymstoku tragiczny pogrom żydowski. Kuzyni Rajcy, obawiając się... wyemigrowali wraz z dziewczynką do Włoch. Tu w 1912 roku zaczęła się... Rosy Raisy, dziewczynki, która pierwsze pieśni śpiewała w chórze... Najpierw były Neapol, Rzym, Parma, ale już w 1913 roku Rosa wystąpiła... Sukces był ogromny. Amerykanie uwielbiali historie takie jak Rosy, białosto-... trudniej podbiła ich serca. Na długie lata artystka związała się z ope-... Covent Garden Theatre... w 1938 roku. Po zakończeniu kariery zajęła się nauczaniem śpiewu. Do śmierci w 1963 roku mieszkała w Los Angeles.

Albo wrócić do Białegostoku

W 1915 roku miasto zajęli Niemcy. Wszystkie szkoły zostały zamknięte. Berman wynajmował się ze swym synagogałnym chórem i ilustrował muzycznym projektem... filmy wyświetlane w kineoteatrach Palace czy Modern. Nie zwracał uwagi na repertuar, nie bo przecież szło wyłącznie o zarobek, a nie o upodobania. Zdarzyło się, że synagogałny chór śpiewał pod „film ultra chrześcijański”. Natychmiast uczynione zostały

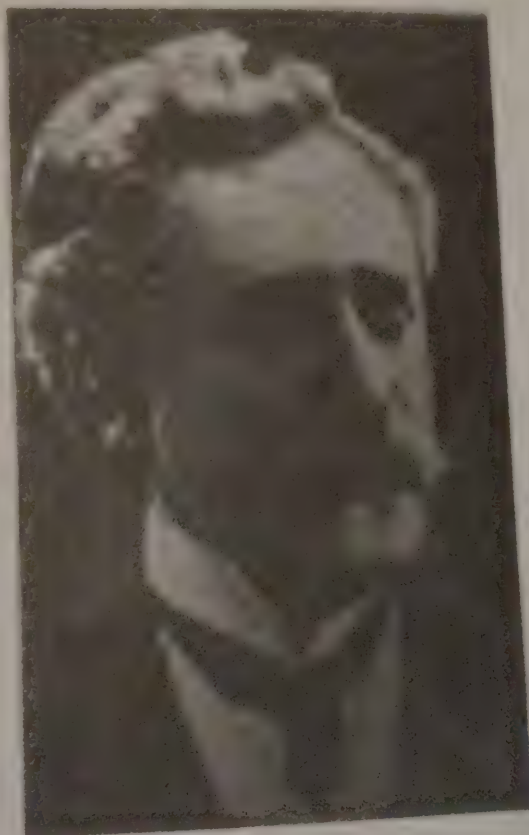


Bermanowi z tego tytułu zarzuty. On zaś niewzruszony ripostował, że „ostatecznie żaden Żyd nie wychrześci się z powodu tego filmu, a ja tymczasem wraz z moimi chorzykami zarabiam na życie na cały tydzień i dzięki temu mogę śpiewać co sobotę w synagodze”.

Po zakończeniu wojny nie wrócił już do tak intensywnej pracy nauczycielskiej. Pochłonięty natomiast inną pasją – komponowaniem. Bacznie śledził światowe nowości i natychmiast reagował na zmieniające się mody. Białostoczanie z upodobaniem nucili jego szlagiery. Cieszył się więc zasłużoną sławą. Kiedy na wiosnę 1929 roku wychodząca w Białymstoku żydowska gazeta „Dos Naje Lebn” zorganizowała plebiscyt na najpopularniejszych miejscowych Żydów, to Berman znalazł się w gronie 25 wybitnych luminarzy. Był wśród tego wyśmienitego forum warszawski doktorzy Rajgródzki i Pines, adwokat pełniący urząd wiceprezydenta miasta Maksymilian Ziemiński, rabini Rozenman i Fajans oraz potentaci finansjery i przemysłu Tyktin, Markus i Lifsyc. W tym samym roku przypadł jubileusz czterdziestolecia pracy artystycznej Jakuba Bermana. Z inicjatywy Koła Literatów i Dziennikarzy Żydowskich w Białymstoku w teatrze Palace odbył się benefis artysty. W niedzielny wieczór, 10 marca, widownia teatru wypełniona była po brzegi. Zjawił się cały kulturalny Białystok. Nie brakowało też i dawnych wychowanków, chorzystek, które Berman wprowadzał w tajniki sztuki śpiewu. Laudacje o jubileacie wygłosił inżynier Michał Zabiłdowski. To, że właśnie on podnosił zasługi maestra, było dla zebranych i dla samego



Rosa Raisa z ojcem Hirszem Bursteinem, 1922 r.



Jakub Berman, około 1930 r.



Bermana walczy. Oto przedstawiciel znamienitego, potężnego rodu finansistów, przemysłowców, filantropów, który przez blisko 150 lat odgrywał wiodącą w Białymstoku rolę, przetrwał się z sukcesem przed muzykiem, nauczycielem, chórmistrzem. Po Żabudzińskim wyszedł Piosak Kapłan. To kolejna wielka postać. Pisarz, dziennikarz, charyzmatyczny kreator życia kulturalnego i społecznego. Kapłan przedstawił zebrany życiorys jubilata. Po przemówieniu odczytywał listy i depesze gratulacyjne. Berman nie ukrywał wzruszenia. Stał na honorowym miejscu, na środku sceny, nie był w stanie powstrzymać łez szczęścia. Czy depesza do Białego Stoku depesza gratulacyjna od gwiazdy światowych scen operowych, primażony chicagowskiej opery, jego dawnej ukochanej uczennicy Różyczki Bursztyn vel Racy Bursztyn vel Rosy Rasy? Po depeszach zaczął się w końcu długo oczekiwany koncert. Wykonywane były nim wybrane kompozycje jubilata, nagradzane gorącymi oklaskami.

W latym 1935 roku największa polska wytwórnia płyt gramofonowych, „Syrena Elektryczna” nagrała ostatnią skomponowaną przez Bermana piosenkę. Był to wale angielski *Czy wiecie*. Spiewał ją nie byle kto, bo sam Adam Aston (Adolf Loewensohn), aktor, piosenkarz, hoźwa, cze publiczności. Cała Polska nuciła za nim *Każdemu wolno kochać*. Sukces *Czy wiecie* dzięki piękniemu głosowi Astona był gwarantowany. Ale nie był on już udziałem Jakuba Bermana. Zmarł w marcu 1935 roku.





Uliczka w pobliżu  
Rynku Rybnego. 1911 r.

## *Miłosne perypetie*

Wychodzący w Krakowie „Ilustrowany Kurier Codzienny”, popularne pismo „Kacem”, w październiku 1936 roku podał „mity na sen” ciekawą wiadomość z Białegostoku. Wynikło z niej, że nad Białą przybył młody człowiek, przedstawiciel organizacji, której celem było ułatwienie wyjścia za mąż dziewczynom. Jedynym warunkiem przysługującym było założenie w Białymstoku filii angielskiego stowarzyszenia. Jedynym warunkiem było ono wypłacić posag w wysokości 1000 dolarów w gotówkę. Ale aby otrzymać tę kwotę, należało spełnić trzy statutowe warunki:

1. Pieniężność w latach od 35 do 50
2. Pieniężność w Białymstoku
3. Agresywne usposobienie wobec przyszłego małżonka





Ulica Kupiecka, 1910 r.

Po Białymstoku krążyły wieści, że biuro lada moment zostanie otwarte przy ulicy Lipowej. Złotliwcy zapytywali znajome panny, które spełniały statutowe warunki, czy już mają odpowiednie posagi, czy też czekają jeszcze w kolejce. Wkrótce okazało się, że wszystko to jest jedynie żartem. Ale wcale nie były fikcją zakrawające o żart miłosne perypetie białostoczan.

W 1931 roku Amor dopadł niejakiego Szymona Zajęca. Młodzieniec ów mieszkał na drugim piętrze kamienicy przy Rynku Rybnym. Targały nim tak wielkie namiętności, że doprowadziły go do desperacji. Pewnego majowego, słonecznego dnia przebudził się o 6 rano i stwierdził, że jego wybranka jest jedynie sennym mirażem. Zrozpaczony wszedł na parapet, otworzył okno i skoczył. Łomot był straszny, ale Zając z niedowierzaniem stwierdził, że żyje i nie mu nie jest! Klnąc na czym świat stoi, wrócił do swojego mieszkania, wszedł na parapet i ponownie wyskoczył przez okno. Tym razem leciał krócej, bo zaczął się o balkon na pierwszym piętrze. Chwilę na nim wisiał, a że balkon nie był zbyt solidnie wykonany, to rozległ się trzask i chłopak poleciał dalej, tyle że... z balkonem. Obfuczonego o bruk Zajęca odwieziono do szpitala żydowskiego na Warszawską. Tam lekarze ze zdumieniem stwierdzili, że desperat ma jedynie porządne siniaki.

Innego rodzaju komplikacje uczuciowe były udziałem nadzwyczaj urodziwej córki Romana Samitowskiego. Prowadził on od 1909 roku ekskluzywny magazyn z obuwiem przy ulicy Lipowej 16. Samitowszczanka w 1935 roku „uzyskała maturę i zaraz rozpoczęła romansowanie”.



Pierwszym jej wybrańcem został pewien młody handlarz manufaktury. On też był niedawnym maturzystą, przeto młodzi mieli wiele wspólnych tematów. I gdy wydawało się, że miłość będzie kwitła, to kochliwa panna szybko przerzuciła swe uczucia na bogatego wdowca, też zajmującego się manufakturą. Miał on swój sklep przy ulicy Sienkiewicza i odtąd dzień w dzień Samitowszczanka z Lipowej kursowała na bulwary, jak czasem nazywano odcinek Sienkiewicza za Białą. Tymczasem „zdradzony maturzysta szalał z rozpacz i walczył o odzyskanie względów dziewicy”. W trakcie tej walki w dyskretnym liściku poprosił ukochaną o ostatnie spotkanie. Młodzi umówili się właśnie na bulwarach. Cóż za brak roztropności! Gdy młodzian wyjaśniał żarliwie, że żyć bez dziewczyny nie potrafi, z naprzeciwiaka, po zamknięciu sklepu, nadszedł jego starszy rywal. Widząc, co się kroi, wymierzył sążnisty policzek konkurentowi. Ten bez namysłu oddał wybrankowi swej wybranki. A dalej to już bez czekania na riposty obaj zaczęli się bezprzykładnie bić. A co robiła ona? „Panna chusteczką ocierała krew spływającą z twarzy obu amantów, którzy dotkliwie poturbowani opuścili wreszcie plac boju”. Sprawa tej romansowej bijatyki swój finał znalazła w sądzie, ale jej wynik nie interesował już Samitowszczanki. Romansowała dalej.

Niemniejsze kłopoty, tyle że z romansowym synem, miał białostocki potentat przemysłowy, Oswald Trylling. Fabrykancki synalek, bon vivant, pieszczośliwie nazywany Maksem, rozbijający się po Białymstoku samochodem, upatrzył



Oswald Trylling,  
około 1930 r.

Reklama Magazynu  
Maril i Romana Samitowskich,  
1913 r.





sobie pewna dziesiętnastoletnia robotnicę w ojcowskiej fabryce. Dziewczyna nie potrafiła opowiedzieć o sobie, załom przystojnego, bogatego i pewnego siebie młodzieńca. Przeto „tęże ku mi” i dawać mu językowe dzięki temu romansowi”. W listopadzie 1935 roku córka fabrykanckiego księżatka zasłabła w pracy. Nikt nie zorientował się, że jest ona w stanie błogosławionym. Wezwano lekarza „nie mającego nic wspólnego z akuszerką”. Ten nie zorientował się w czym rzecz. Na to wszystko nadszedł Oswald Trylling. Jego robotnicę opowiadał później w swoich domach, „gdybyście widzieli jego minę, gdy oświadczył mi, że dzięki jego synowi robotnica przyczyniła się do wzrostu ludności w naszym kraju. Nie stety, niebezpieczna dziewczyna, może co najwyżej wsparta jakąś kwotą z Tryllingowego portfela, ale w życiu musiała sobie radzić sama.

Dopłnieniem tych romansów niech będzie historia Manesa Wejdenbauma, mieszkającego przy ulicy Kupieckiej 33 (obecnie Iechaka Malmeda). Młodzieniec ów w 1928 roku poznał, tak to określono, stuprocentową pannę z Łomży. Tak mu przypadła do gustu, że w mig się oświadczył, a od jej ojca wziął zaliczkę *a conto* posagu. Było tego, bagatela, 3 tys. zł. Rozpoczęto przygotowania do ślubu. Tymczasem Manes zaczął grać na zwłokę. A to nie mógł przyjechać do Łomży, a to musiał z niej nagle wyjechać. Zaczęto go za to coraz częściej widywać w Grodnie. Miał tam zaprzyjaźnionego potentata loteryjnego Marejna. Ten na nieszczęście też miał córkę. No może nie tak piękną stuprocentowo jak łomżyńska, ale wiadomo – uroda przemija, a kapitał dobrze ulokowany rośnie. Zaczął więc nasz Casanova smalić cholewki do posażnej grodnianki. Rychło doszło do oświadczeń, które zostały przyjęte. Wejdenbaum dodatkowo wsparł je dwoma łomżyńskimi tysiącami, czym do końca zjednał sobie Marejna. Wkrótce odbyło się huczne wesele, na które poszedł i trzeci tysiąc. Szczęśliwy tatuś, loteryjny potentat, pomógł nowożeńcom uruchomić w Białymstoku przy ulicy Kupieckiej kolekturę loteryjną. Manes płał w dobrobycie. Aż tu nagle w 1931 roku zjawiała się stuprocentowa panna z Łomży z żądaniem zwrotu posagu. Zrobiła się niezła awantura. Manes udawał, że nie wie, o co chodzi. Była narzeczona, nie w ciemną bita, udała się więc do rabinatu. Manes nadal nie. Znikł. gdy sprawa dotarła do Grodna. Zasmucony ojciec nadesłał telegram: „Panie Manes, bądź dżentelmen. Zwróć posag i kwita”.





## Noworoczny dramat



Ulica Warszawska, 1942 r.

**P**ierwszy dzień 1924 roku wstrząsnął Białymstokiem. Przyczyną była tragedia, która rozegrała się w mieszkaniu generałostwa Marii i Stanisława Stelnickich. Ale zaczniemy od początku.

Stelnicki urodził się pod Wilnem. Rodzice posłali go do szkoły wojskowej w Petersburgu. Szlify generalskie zdobywał w boju. Walczył w Turcji i w Chinach. Gdy wybuchła I wojna światowa, powierzono mu dowództwo Brygady Finlandzkiej. W trakcie działań wojennych wykazywał się wielokrotnie niepospolitym męstwem. Jeszcze w 1914 roku Stelnicki poznał uroczą czterdziestolatkę, Marię Raczkowską. Była dentystką w dowodzonym przez niego korpusie.



Stelnicki, wtedy już żonaty i z trójką dzieci, zakochał się w młodszej od niego lekarce bez pamięci. Ona, męcząc się w swoim małżeństwie, odwzajemniła to uczucie. Odtąd byli nie-  
rozłączną parą. Gdy w Rosji do władzy doszli bolszewicy, Stelnicki porzucił służbę wojskową.  
Wkrótce wstąpił do kontrrewolucyjnej armii generała Aleksandra Kołczaka. Trafił do niewoli  
i klęby nękl. Ukrywał się, podając się za ogrodnika. Odnalazł Marię i oboje udało się  
przedostać z sowieckiej Rosji do Polski. Do Białegostoku już jako małżonkowie przyjechali.  
w 1922 roku. Stelnicki miał wówczas 74 lata. Zatrudnił się jako intendent w wojskowym szpi-  
talu, a gdy ten został rozwiązany, generał otrzymał intratną posadkę w Banku Kredytowym.  
Maria została dentystką w białostockiej przychodni Kasy Chorych. Zamieszkali w niewielkim,  
dwupokojowym mieszkaniu na poddaszu domu przy ulicy Warszawskiej 4. Był to parterowy,  
ale obszerny murowany dom. Jego właścicielka Eugenia Forszteter większość pomieszczeń  
wynajmowała na mieszkania czynszowe.

W 1923 roku Maria, namówiona przez znajomych, postanowiła pomóc uciekinierowi  
z bolszewickiej Rosji, Mikołajowi Akimowowi. Ten trzydziestosześcioletni agronom, porzu-  
cony przez żonę, przyjechał do Białegostoku i zatrudnił się w Spółdzielni Rolniczo-Han-  
dlowej. Wkrótce udało mu się wydzierżawić od niejakich Michałowskich niewielki ma-  
jutek Janowicze pod Białymstokiem. Aby się jakoś urządzić, potrzebował jednak gotówki.  
W jej zdobyciu pomogli mu liczni w Białymstoku uciekinierzy z Rosji. Akimow często na-  
wet nie znał swoich dobroczyńców. Tak też było i z Marią, która zastawiła swoją biżuterię,  
a uzyskane w ten sposób pieniądze przekazała na zbiórkę. Wzruszony jej gestem Akimow  
w lipcu 1923 roku postanowił osobiście podziękować generałowej za jej bezinteresowny gest.  
Od pierwszego spotkania pomiędzy Marią a Mikołajem zawiązała się nić sympatii, która  
wkrótce przemieniła się w gorącą, namiętną miłość. Akimow bywał u Stelnickich codziennie,  
co nie uszło uwagi starego generała. Marii wydawało się, że mąż niczego nie podejrzewa. Jej  
plan był prosty. Doczekać, aż sędziwy generał opuści ten ziemski padół, do tego zaś czasu  
prowadzić grę pozorów. Tymczasem wypadki potoczyły się inaczej.

Był wtorek 1 stycznia 1924 roku. Generałostwu noworoczne wizyty składali sąsiedzi i zna-  
jomi. Przyszedł też Akimow. Gdy pozostali goście pożegnali się, w mieszkaniu pozostała tylko  
trójka bohaterów. Siedzieli przy stole, popijając herbatkę z samowara. Nagle, ku zaskoczeniu

**Raryjskie Towarzystwo Dobroczynności w Białymstoku**

Jutro, w niedzielę dn. 7 marca rb. —  
w sali restauracji „RITZ”

**● BLINY ●**

Tradycyjny dancing karnawałowy.

Chór cygański — Cygańskie romanse — Charakterystyczne tance. —  
Moc strasy i niespodzianek Początek o godz. 19<sup>00</sup> wlecz

Spółeczność białostockich  
Rosjan skupiała się  
w Towarzystwie Dobroczynności.  
Anons z 1935 r.





Karawan na białostockiej ulicy,  
około 1920 r.

Marii i Michała, generał bez ogródek oświadczył im, że wie o ich romansie. Nie był przecież ślepcem, nie pozwoliłby się oszukiwać. Zaskoczeni kochankowie próbowali oponować, ale Stelnicki ich nie słuchał. Wyrwał z kieszeni surduta parabellum i dwukrotnie strzelił. Jeden z pocisków „ugodził w piersi generałową, drugi w okolice płuc Akimowa. Kule przeszły nieszczęśliwych i utkwily w murze”. Akimow padł martwy. Generałowa, cała zalana krwią, wybiegła z mieszkania, zbiegła po schodach i zadzwoniła do drzwi mieszkającego na parterze doktora Roznatowskiego. Gdy jej otworzono, zdążyła jeszcze krzyknąć „Ratujcie!” i padła nieprzytomna. Po półgodzinie nie żyła. Tymczasem w mieszkaniu Stelnickich dramat trwał. General wziął przygotowaną wcześniej kartkę i napisał na niej swoją ostatnią wolę. „Wszystkie pozostałe rzeczy i pieniądze na pogrzeb mój i żony. St. Stelnicki”. Następnie przeszedł do sypialni, położył się na łóżku i strzelił sobie w skroń.





W tym czasie mieszkał w podziemiach. Nie miała daleko, bo Komenda Wojewódzka mieściła się w tym samym budynku. Siedzący w sądzie zorientowali się w przebiegu wydarzeń. Pozostawili Marię do jej mieszkania. Ułożono ją obok generała w sypialni. W jej pokoju znajdował się Akimow. Białystok aż kipiał od plotek i domysłów. Zastanawiano się, czy Akimow do romansu z Marią. Spekulowano: „czy kochał ją? Czy kochał ją, czy nie dusił kobiety?”. Okazało się, że generał już w lipcu wiedział o romansie. Wysłał wówczas do Akimowa list, w którym żądał natychmiastowego zaprzestania stosunków z Marią. W piśmie skarżył się, że jego stosunki z generałową od chwili pojawienia się Rosjanina znacznie się ochłodziły. Gdy nie pomogły perswazje, Stelnicki pobił żonę „okrutnie i ordynarnie, a potem groził ustawicznie – zabiję”. Od sierpnia znajomym opowiadał wprost o romansie małżonki. Był tym bardzo przygnębiony. Ku przerażeniu słuchaczy mówił, że tylko kula rozwiąże ten problem. Po jakimś czasie chwalił się, że kupił parabellum. Cieszył się z tego zakupu niezmiennie i podkreślał, że „bije jak w masło”. Znajomi przypomnieli sobie, że zaprosił Akimowa na noworoczną herbatkę, a później wyjedzie z Białegostoku. Sam nie będzie składał noworocznych wizyt. Już po tragedii znaleziono w banku na biurku generała pojęgalny list. Z tych faktów wylaniał się przerażający obraz zaplanowanej zbrodni, do tego starego człowieka walczącego o swoją godność, wspomnienia, honor oficera. Opinia publiczna była po stronie Stelnickiego, Marię oceniono surowiej, suchej nitki nie pozostawiono na Akimowie. Pojawiły się nawet głosy, że zbrodnia ta odzwierciedla stan moralności emigrantów rosyjskich. Pamiętano przecież, że gdzieś tam, nawet nie wiadomo gdzie, żyje żona i trójka pewnie już dorosłych dzieci generała, mąż i syn Marii oraz żona wraz z córką Akimowa.

W piątek 4 stycznia 1924 roku odbyły się pogrzeby ofiar tej noworocznej herbatki. O godzinie 12:00 na cmentarzu prawosławnym na Wygodzie pochowano Mikołaja Akimowa. Pogrzebem zajęła się kolonia rosyjska. Dwie godziny później spod domu przy ulicy Warszawskiej 4 na cmentarz farny ruszyły dwa karawany. Trumny Stelnickich pokryte były mnóstwem kwiatów i wienieców. Za generałem szli urzędnicy banku i jego dyrektor Piątkowski, za generałową – pracownicy Kasy Chorych i jej komisarz doktor Szaykowski. Na cmentarzu farnym kondukt się rozdzielił. Marię Raczkowską secundo voto Stelnicka pochowano na „starym placu cmentarza”. Stanisław Stelnicki jako samobójca i podwójny morderca spoczął „poza ogrodzeniem cmentarza w polu szczerem”.



pierwszorzedny

pierwszorzedny zakład fryzjerski

przy Hotelu „Ritz” ul. Kilińskiego

**W. KARP**

Telefon Centrala „Ritz”

Nowa wafłowania elektryczna i parowa.  
Wszystkie usługi w zakres fryzjerstwa  
wchodzące

Nowe modele fryzur

Ceny umiarkowane.

Reklama zakładu Wolfa Karpią,  
1935 r.

zakład fryzjerski

Szanownej Klienteli

zasyla najlepsze życzenia noworoczne

**W. KARP,**

Zakład fryzjerski, Kilińskiego 2.

Życzenia noworoczne,  
1937 r.

## Ondulacja i szczur

W styczniu 1936 roku w ukazującym się zaledwie przez dwa miesiące „Gońcu Białostockim”, w stałej rubryce *Bajki i Satyry*, wydrukowano wierszyk o fryzjerach. Autorem tego wątpliwego arcydzieła był redaktor naczelny gazety, Marian Józefowicz, ukrywający się pod pseudonimem Józef Mayer.

Kto chce niech wierzy  
Lecz fryzjerzy  
To szczególnie miła nacja.  
Ondulacja,  
Farbowanie,  
Odmladzanie.  
To strzyżenie,  
To golenie  
Mycie głowy i fryzurki

Raz nożyczki to znów rurki.  
Oj te wszystkie Władysławy,  
Stanisławy  
Lub Henryki –  
To chłopczyki  
Wielce psotne,  
A wesołe, a obrotne  
Bracia fryzjerska niech nam żyje,  
Niech nam goli lby po szyję!









Aron Jewrejski przed swoim zakładem fryzjerskim przy ul. Warszawskiej 27, 1934 r.

się mu oplaci. Ale głównie starał się nadążyć za modą. Wyprzedzał w tym całą białostocką konkurencję. Przed końcem 1936 roku ogłaszał, że tylko on robi „trwałą ondulację elektryczną i parową” oraz wykonuje „wszelkie zabiegi w zakres fryzjerstwa wchodzące”. Tylko u niego można było zrobić sobie „nowe modele fryzur”, co najważniejsze, po cenach umiarkowanych. Szlagierem sylwestra 1936 roku była wprowadzona przez niego do Białegostoku fryzura Duchesse. Sam mistrz tak ją opisywał: „nowe uczesanie jest piękne i ma tę właściwość, że odmładza i każdej pani będzie w nim do twarzy. Ogromna masa pierścieniowatych loków, ułożona misternie na całej głowie, skroniach i karku. Włosy z czoła, lekko ściągnięte ukośną falą loków, układają się ku tyłowi”. Pomimo całego skomplikowania fryzjerskiej materii Karp twierdził, że „ten nowy styl uczesania jest łatwy do skopiowania i dla przeciętnie nawet zdolnego fryzjera”. Ale tylko on potrafi zrobić to należycie. Jeśli bowiem „włosy nie będą starannie ułożone w pierścienie – front głowy będzie zawsze wyglądał nieefektownie”.



Wszystko się dzieło też w tym dynamicznym z elegancji zakładzie sytuacja nie mająca nic wspólnego z... W sobotę, 11 lipca, upalny wieczór 1933 roku było już za kilka dni... się zabiegom", inne czekały, aż mistrz zajmie się ich głowami. Uważano... wyczerpującego chłodu wpadło. Nagle... Na krótko wszystkie panie z nieopisanym wzruszeniem... Panom strzygącym się w sąsiedniej sali na to... wściekłość... Panie rzucały się w objęcia panów, ci zaś skwapliwie... Naderlepiej przerażony tym wszystkim był jednak szczur, który widząc... na ulicę.

To był tylko początek. W innych białostockich zakładach fryzjerskich działo się znacznie gorzej. Nie poprawiały sytuacji częste kontrole sanitarne. Opór samych fryzjerów budziły rozporządzenia, które miały przyczynić się do zmiany warunków panujących w zakładach. W 1933 roku ogłoszono, że „fryzjernie” mają mieć ściany pomalowane na jasne kolory z olejnymi, a nie emalowymi, łazienkami oraz szczelne podłogi. To wszyscy akceptowali. Lekki sprzeciw budził już jednak zakaz łączenia mieszkania i zakładu. Ale to, czego dalej wymagano, było już ostrym zamachem na fryzjerskie kanony. Oto i próbka. „Każdy zakład fryzjerski musi posiadać umywalkę z wodą bieżącą, dostateczny zapas czystej bielizny, wycieraczki do obuwia, kosze na śmieci i napis – nie pluć na podłogę”. Szczególnie zakaz plucia budził kontrowersje. Dociekano, co ma zrobić klient, który przy strzyżeniu polknie włos. Jeszcze większy sprzeciw wywoływał zapis, że „nie wolno dmuchać na klienta”, aby oczyścić go ze ścinków jego włosów. Co ciekawe, dalej zastrzegano, że „pracownik fryzjerski musi mieć zdrową jamę ustną, a twarzą podczas pracy oddychając jest zwrócony twarzą do klienta”. Temu zaś fryzjer mógł zmniejszyć twarz tylko czystą serwetką. Zakazano również noszenia brzytwy w kieszeni. Starosta, któremu podlegała kontrola zakładów fryzjerskich, miał nawet sprawdzać, czy golibroda ma „czyste i obcięte paznokcie”.

Wszyscy narzekali, ale cóż. Starostwo przystąpiło do rygorystycznych kontroli, wydając specjalne zaświadczenia ważne zaledwie przez pół roku. Niestosującym się do zaleceń po prostu zamykano zakłady. Można było łatwo przewidzieć, że w Białymstoku pojawi się wnet podziemie fryzjerskie. Zaczęto na wielką skalę strzyć „przy drzwiach zamkniętych”. W maju 1937 roku prezydentem tym zajęła się białostocka Izba Rzemieślnicza. Postanowiono zwrócić się „do odrębnych władz z prośbą o wydanie surowych zarządzeń, zmuszających do zupełnego zlikwidowania nielegalnej pracy”. Ale nie na wiele się to zdało. Podziemie fryzjerskie kwitło w Białymstoku. Oj, ciężki był los fryzjera za sanacji.





Przed kinem Apollo, 1916 r.



Benjamin Wajnsztadt, 1937 r.

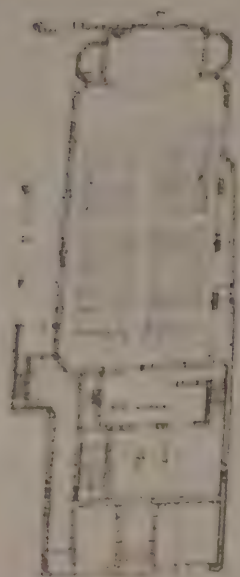
## *Pechowe Apollo*

Jednym z najpopularniejszych białostockich kin było Apollo. Mieściło się w reprezentacyjnej kamienicy Metzów przy ulicy Sienkiewicza 22. Kinobywalcy, jak wówczas określano widzów, mogli w nim oglądać wszystkie światowe arcydzieła już od 1913 roku. Apollo działało przez cały okres międzywojenny, a jego właściciel, Benjamin Wajnsztadt, cieszył się zasłużonym szacunkiem w mieście, ale też w ogólnopolskiej kinowej branży. Zdarzyły się jednak w kinie historie, o których Wajnsztadt wolałby nie pamiętać.

W lutym 1924 roku całe miasto lotem błyskawicy obiegła wieść, że

Czarna Dama z czarną półmaską na twarzy ukazała się na ulicy Sienkiewicza. Ukryta dyskretnie w cieniu wnęków bram nieoświetlonych, skinieniem ręki przywoływała ku sobie przychodzących do kina Apollo młodzieńców i na ustroniu czyniła im różne dyskretnie propozycje.





Projekt kamienicy, w której mieściło się kino Apollo, 1914 r.



Miejsce na wieczorne lwy Dama wybrała wyśmienite. Oto bowiem na ekranie Apolla wyświetlano wówczas cieszący się niezwykłym wzięciem wśród młodzieńców „wielki dramat modernistyczny w 6-ciu aktach – *Czego pragniesz kobieto?*” i w podtytule dopytywano, czy „władzy, bogactwa, sławy czy miłości???”. Film obfitował w sceny „tańców miłości i śmierci wśród fal i piorunów”. Wymiennie z tym modernistycznym dramatem wyświetlano „największe arcydzieło wszechświatowej sławy – *Szał, namiętności*”. Ten „potężny dramat” oferował białostockim młodzieńcom „przepyszne sceny w haremach”.

Czarna Dama wyławiała więc co wieczór z ciemności ulicy podekscytowanych kinomanów. Mimo że krążyła już po mieście opinia, że jest ona jedynie „szafarką płatnych rozkoszy”, prosiła ich jedynie o rycerską przysługę: „Jestem sama... muszę się stawić na dworzec poleski... boję się przygód zagrażających nocą młodej i pięknej kobiecie z towarzystwa... łaknę więc opieki silnego ramienia dżentelmena”. I dżentelmeni szli jeden za drugim na ten niby-dworzec. No bo jakże to nie zostać „rycerzem tajemniczej piękności, może jakiej hrabiny albo i księżniczki”. Męska część Białegostoku była pod wielkim wrażeniem. Damska trochę mniej. Panie rozpuszczały nawet przerażające plotki o nieznajomej. Opowiadano więc, jak to Czarna Dama zabija mężczyzn lekkim dotknięciem ręki, a kobietom wypala swoją dłoń na twarzy. Podobno nawet, gdy z jednym amatorem spaceru udała się w stronę dworca, to w pewnym momencie „ściągnęła z rąk rękawiczki i z niepospolitą siłą schwyciła zapoznanego młodzieńca za gardło. Palce jej głęboko wtopiły się w ciało i niefortunny Don Juan upadł na ziemię zupełnie nieprzytomny, dając jeszcze oznaki życia słabym rżeniem”. Tego już było za wiele. Znalazł się w końcu stróż moralności, który wybrał się wieczorem do kina. Na ulicy Sienkiewicza

**Apollo**

Gala wieczorne promienniejszego, najpiękniejszego, najromantyczniejszego filmu światła





W komisariacie było już prozaicznie i bez dobrych manier. Kazano domniemanej hrabinie zdjąć maskę. Okazało się, że skrywała się pod nią niezwyklej urody mieszkanka Wysokiego Mazowieckiego, Aleksandra Janina S., lat 38. Jak twierdziła, już od dziecka „rzuciła urok wyrazem swego głębokiego spojrzenia”. Kiedy miała 14 lat, „wszystkich miejscowych chłopaków przyciągała o bezsenność”. Później porzuciła dom rodzinny, aby szukać szczęścia w „szerokim świecie”. Była więc w Warszawie, Wilnie i ostatnio właśnie w Białymstoku. Z nostalgią wspominała czasy, gdy była jeszcze młoda. Wówczas to jej uroda i wdzięki nie pozwalały oprzeć się żadnemu napotkanemu mężczyźnie. Ostatnimi laty musiała jednak używać fortelu z maską, dworcami i dzentelmenami, ale żeby wbijać szpony w gardła swych amatorów? Co to, to nie!

**Początek 5<sup>30</sup>, 7<sup>45</sup>, 10 W.**  
 przedstawia  
 Uprzejmie o przybycie na początek koncertu  
 Pasażerki i ich rodziny  
**Ceny miejsc od 1.50 zł.**  
 Dla młodzieży do lat 16 ceny od 1 zł.  
**Dziś premiera! Dziś**

1911  
1912  
1913  
1914  
1915  
1916  
1917  
1918  
1919  
1920  
1921  
1922  
1923  
1924  
1925  
1926  
1927  
1928  
1929  
1930  
1931  
1932  
1933  
1934  
1935  
1936  
1937  
1938  
1939  
1940  
1941  
1942  
1943  
1944  
1945  
1946  
1947  
1948  
1949  
1950  
1951  
1952  
1953  
1954  
1955  
1956  
1957  
1958  
1959  
1960  
1961  
1962  
1963  
1964  
1965  
1966  
1967  
1968  
1969  
1970  
1971  
1972  
1973  
1974  
1975  
1976  
1977  
1978  
1979  
1980  
1981  
1982  
1983  
1984  
1985  
1986  
1987  
1988  
1989  
1990  
1991  
1992  
1993  
1994  
1995  
1996  
1997  
1998  
1999  
2000  
2001  
2002  
2003  
2004  
2005  
2006  
2007  
2008  
2009  
2010  
2011  
2012  
2013  
2014  
2015  
2016  
2017  
2018  
2019  
2020  
2021  
2022  
2023  
2024  
2025  
2026  
2027  
2028  
2029  
2030  
2031  
2032  
2033  
2034  
2035  
2036  
2037  
2038  
2039  
2040  
2041  
2042  
2043  
2044  
2045  
2046  
2047  
2048  
2049  
2050  
2051  
2052  
2053  
2054  
2055  
2056  
2057  
2058  
2059  
2060  
2061  
2062  
2063  
2064  
2065  
2066  
2067  
2068  
2069  
2070  
2071  
2072  
2073  
2074  
2075  
2076  
2077  
2078  
2079  
2080  
2081  
2082  
2083  
2084  
2085  
2086  
2087  
2088  
2089  
2090  
2091  
2092  
2093  
2094  
2095  
2096  
2097  
2098  
2099  
2100  
2101  
2102  
2103  
2104  
2105  
2106  
2107  
2108  
2109  
2110  
2111  
2112  
2113  
2114  
2115  
2116  
2117  
2118  
2119  
2120  
2121  
2122  
2123  
2124  
2125  
2126  
2127  
2128  
2129  
2130  
2131  
2132  
2133  
2134  
2135  
2136  
2137  
2138  
2139  
2140  
2141  
2142  
2143  
2144  
2145  
2146  
2147  
2148  
2149  
2150  
2151  
2152  
2153  
2154  
2155  
2156  
2157  
2158  
2159  
2160  
2161  
2162  
2163  
2164  
2165  
2166  
2167  
2168  
2169  
2170  
2171  
2172  
2173  
2174  
2175  
2176  
2177  
2178  
2179  
2180  
2181  
2182  
2183  
2184  
2185  
2186  
2187  
2188  
2189  
2190  
2191  
2192  
2193  
2194  
2195  
2196  
2197  
2198  
2199  
2200  
2201  
2202  
2203  
2204  
2205  
2206  
2207  
2208  
2209  
2210  
2211  
2212  
2213  
2214  
2215  
2216  
2217  
2218  
2219  
2220  
2221  
2222  
2223  
2224  
2225  
2226  
2227  
2228  
2229  
2230  
2231  
2232  
2233  
2234  
2235  
2236  
2237  
2238  
2239  
2240  
2241  
2242  
2243  
2244  
2245  
2246  
2247  
2248  
2249  
2250  
2251  
2252  
2253  
2254  
2255  
2256  
2257  
2258  
2259  
2260  
2261  
2262  
2263  
2264  
2265  
2266  
2267  
2268  
2269  
2270  
2271  
2272  
2273  
2274  
2275  
2276  
2277  
2278  
2279  
2280  
2281  
2282  
2283  
2284  
2285  
2286  
2287  
2288  
2289  
2290  
2291  
2292  
2293  
2294  
2295  
2296  
2297  
2298  
2299  
2300  
2301  
2302  
2303  
2304  
2305  
2306  
2307  
2308  
2309  
2310  
2311  
2312  
2313  
2314  
2315  
2316  
2317  
2318  
2319  
2320  
2321  
2322  
2323  
2324  
2325  
2326  
2327  
2328  
2329  
2330  
2331  
2332  
2333  
2334  
2335  
2336  
2337  
2338  
2339  
2340  
2341  
2342  
2343  
2344  
2345  
2346  
2347  
2348  
2349  
2350  
2351  
2352  
2353  
2354  
2355  
2356  
2357  
2358  
2359  
2360  
2361  
2362  
2363  
2364  
2365  
2366  
2367  
2368  
2369  
2370  
2371  
2372  
2373  
2374  
2375  
2376  
2377  
2378  
2379  
2380  
2381  
2382  
2383  
2384  
2385  
2386  
2387  
2388  
2389  
2390  
2391  
2392  
2393  
2394  
2395  
2396  
2397  
2398  
2399  
2400  
2401  
2402  
2403  
2404  
2405  
2406  
2407  
2408  
2409  
2410  
2411  
2412  
2413  
2414  
2415  
2416  
2417  
2418  
2419  
2420  
2421  
2422  
2423  
2424  
2425  
2426  
2427  
2428  
2429  
2430  
2431  
2432  
2433  
2434  
2435  
2436  
2437  
2438  
2439  
2440  
2441  
2442  
2443  
2444  
2445  
2446  
2447  
2448  
2449  
2450  
2451  
2452  
2453  
2454  
2455  
2456  
2457  
2458  
2459  
2460  
2461  
2462  
2463  
2464  
2465  
2466  
2467  
2468  
2469  
2470  
2471  
2472  
2473  
2474  
2475  
2476  
2477  
2478  
2479  
2480  
2481  
2482  
2483  
2484  
2485  
2486  
2487  
2488  
2489  
2490  
2491  
2492  
2493  
2494  
2495  
2496  
2497  
2498  
2499  
2500  
2501  
2502  
2503  
2504  
2505  
2506  
2507  
2508  
2509  
2510  
2511  
2512  
2513  
2514  
2515  
2516  
2517  
2518  
2519  
2520  
2521  
2522  
2523  
2524  
2525  
2526  
2527  
2528  
2529  
2530  
2531  
2532  
2533  
2534  
2535  
2536  
2537  
2538  
2539  
2540  
2541  
2542  
2543  
2544  
2545  
2546  
2547  
2548  
2549  
2550  
2551  
2552  
2553  
2554  
2555  
2556  
2557  
2558  
2559  
2560  
2561  
2562  
2563  
2564  
2565  
2566  
2567  
2568  
2569  
2570  
2571  
2572  
2573  
2574  
2575  
2576  
2577  
2578  
2579  
2580  
2581  
2582  
2583  
2584  
2585  
2586  
2587  
2588  
2589  
2590  
2591  
2592  
25

...i 10 w.  
...nie p...e...  
...nie w...  
...od 1.50 zł.  
...16 c...  
...1 zł.  
...m...ora! Dziś

**"Apollo"**  
**ZATAJONE OJCOSTWO**  
(Odadajcie mi dziecko)  
Pierwszy grzech... Na postać łosia.  
Wszystkie domy i domy grzechu...  
Okręt w p...  
Pierwszy grzech...  
Wszystkie domy i domy grzechu...  
Okręt w p...  
Pierwszy grzech...  
Wszystkie domy i domy grzechu...  
Okręt w p...

**Ben-Hur**  
Jutro  
poniedziałek 21.27  
Zapowiedź filmu Ben-Hur. 1927 r.

Afisz filmu Ben-Hur, 1927 r.



własności, który został oszczędnie podany i pozostawiony na ulicy w kałuży krwi. Na drugi dzień został stas na łóżku spalony film. Dla silumienia roznichow, które się po tym dniu stały wesołe, władze miasta uciele się do pomocy policji i wojska. Podawano też, że w filmie była wawazka i tym wydarzeniem wprowadzono stan wyjątkowy. To jednak przetrwało w historii Białostockiego kina. Że o istnieniu Apollo dowiedziała się Europa, i to nie była żałostwa faktu prasowego.

Pech nie opuszczał Wajnsztadta. Kolejny skandal wybuchł kilka miesięcy później, gdy w sierpniu 1927 roku sprowadził on film *Jak powstaje człowiek. Od zapłodnienia do porodu*. Wywołano go wyłącznie na seansach nocnych, które zaczynały się o północy. Aby uniknąć ewentualnych skandali obyczajowych podczas projekcji, widownia została podzielona na dwa odrębne sektory dla kobiet i dla mężczyzn. Na seans mogły wejść panie, które miały ukończony 18 lat, a co najmniej dwudziestoletni panowie. Wszystkich dokładnie legitymowano. Zakazowane zostały wszelkie bilety ulgowe i abonamenty, a mimo to tłum chętnych do oglądania był nieprzebrany. Wajnsztadt upraszał więc, aby „celem uniknięcia natłoku” przychodzący wczesniej. Publiczność uprzedzono też, że film demonstrowany będzie bez ilustracji muzycznej. No bo i coż miał wygrywać nieszczęsny pianista, gdy oniemiał kinobywalec wytrzeszczał zdumione oczy na scenę zapłodnienia? Po kilku dniach władze miejskie powiadomione, że film ocieka erotyzmem, zakazały tych seansów.

Całkiem inna obyczajowa przygoda spotkała samego Wajnsztadta zimą 1929 roku. W plotkarskich kronikach prasowych określono go jako pana W., „właściciela reklamowanego przedsiębiorstwa artystycznego” z ulicy Sienkiewicza. Wszyscy w Białymstoku natychmiast wiedzieli, o kogo chodziło. Otóż zdarzyło się, że W. upodobał sobie, z wzajemnością, słynącą z urody i powabu panią N. Pech chciał, że na przeszkodzie wzajemnemu zainteresowaniu stał małżonek pani N. Pewnego dnia pan N. miał pojechać do Warszawy, o czym dowiedział się W. N. spotkał jednak na dworcu przyjaciela ze szkolnej ławy. Razem postanowili zamienić podróż do stolicy w rajd po białostockich knajpach. O tym już nie wiedzieli ani pan W., ani pani N. Interesowali się więc swymi wdziękami w poczuciu całkowitej bezkarności, gdy tymczasem o 2.00 w nocy pojawił się pod drzwiami swego mieszkania N. Cóż robić! Pan W. schował się pod łóżko. Na łóżku troskliwa żona ułożyła zmęczonego N. Gdy małżonkowie zgodnie zaczęli śniapać, W. wygramolił się z ukrycia. Nie mógł znaleźć własnej garderoby schowanej przez przeczorna N., w mocno więc niekompletnym stroju zszedł do stróża kamienicy i za jedyne, co miał na sobie – złoty sygnet – otrzymał od ciciu kalosze, czapkę barankową i stary kozuch. Tak wystrojony wyszedł nad rankiem na ulicę Sienkiewicza. I tu kolejne nieszczęście. Okazało się, że z Resursy Obywatelskiej wychodziło z ostatkowego balu całe białostockie towarzystwo. Oczywiście wszyscy znali Wajnsztadta. Widząc go w takim stroju, rozbawieni pytali: A coż to za maskarada? Wajnsztadt na te zaczepki machnął tylko ręką, burknął coś na odczepnego i pognął w ciciowych kaloszach do domu.





Ulica Mickiewicza (wcześniej ul. Brzeska). W głębi po lewej i prawej stronie stawy. 1910 r.

## *Potrzeba matką wynalazków*

*S*tare porzekadło mówi, że potrzeba matką wynalazków. Cały problem zasadza się jednak w kwestii, kto ma jakie potrzeby. Stąd i wynalazki są mniej lub bardziej poważne. Białostoczanie wypełniali tę dziedzinę doskonale.

Była niedziela 17 czerwca 1928 roku. Na ulicy Mickiewicza już od rana panował duży ruch. Kto żyw zmierzał w kierunku fabryki Nowika. Tam, na stawie, miał się odbyć, zapowiadany już od kilku dni, pokaz wynalazków skonstruowanych przez niejakiego Świderskiego. Wynalazca ów zbudował „aparat umożliwiający chodzenie po wodzie – przyrząd, za pomocą którego na zwykłym rowerze można przejechać przez rzekę, oraz łódź



Apteka braci Kurzyckich przy ul. Sienkiewicza, 1916 r.





Rabin z Szawli Białegostoku  
Gedali Rozenman  
ok. 1930 r.



Józef Blicharski ok. 1935 r.

„Jeszcze wtedy zalecał się do niego...  
...wtedy...”. Wtedy...  
...Dobrze...  
...Włodarski...  
...wzdroż brzegu...  
...jego dzieło. Gdy zadowolony z...  
...ca prul wody sławu...  
...sportsmen Feliks Wazarewicz...  
...bować rower jeżdżący po wodzie...  
...publiczności i samego Świdarskiego...  
...werem na środek stawu. I wtedy się...  
...hec nieumiejętnego obchodzenia się z...  
...Wazarewicz wpadł do stawu i zaczął...  
...cono mu „pas ratowniczy”, ale...  
...miał sił go złapać. I niechybnie utopiłby się...  
...nie posterunkowy Kuźmicki, który wskoczył...  
...wody i doholował go do brzegu. Gdy zamiesz...  
...nie wokół niedoszedłego topielca ustało, Świdarski...  
...kontynuował swój pokaz, „miedzy innymi cho...  
...dzenie po wodzie [...] i rower, na którym tak nie...  
...fortunnie debiutował Wazarewicz”. Niestety nie...  
...mógł zaprezentować publiczności wszystkich wa...  
...lorów swojego cudownego roweru, bo został on...  
...w trakcie akcji ratunkowej uszkodzony.

Mógł pozostać po tej prezentacji jedynie ból  
głowy spowodowany niepotrzebnymi nerwami,  
ale w takim przypadku pomocny był inny białe-  
stocki wynalazek – Citronerwina. W 1911 roku  
przy ulicy Sienkiewicza 34 otwarta została apteka  
braci Kuryckich. Jeden z nich, Judel, w aptecz-  
nym laboratorium opracował cudowny specyfik.  
Nazwał go Citronerwina Kuryckiego. Zażycie  
jednej tylko pigułki koło nerwy i likwidowało  
ból głowy. Lek działał „szybko, radykalnie i nie-  
szkodliwie”.

Skoro o medykamentach mowa, to trzeba za-  
uważyć, że często wiedzę wynalazcy zastępowali



agony i męczarnie. W 1933 roku pewną słynną zaskakującą obcy Dąbki na Dąbki, nie jako Mieczysław Dąbki, który w swoim domu stworzył wieloletni gabinet leczenia, lecz jako lekarz. Na ścianach wisiały czarno-białe plakaty oraz „cudowne pomysły lekarzy”. Na kredensie podobał się stół przykryty czarnym sukniem. Na jego środku leżała lufka i szklanka. W szafkach miała wstawione czwarte, szlifowane szkła, przez co lufka wyglądała na wielką tarczę przedstawiającą refleksy. Nad stołem, o ścianie wisiała wypolana rama. Na jednej ze ścian „pan doktor” zawiesił tablicę z dokładnie wyrysowanym ludzkim szkieletem. W pomieszczeniu tym znajdowała się też niewielka biblioteczka, w której oprócz książek wydrukowana była wypchana jaszczurka i wąż. Pacjentami Dąbki byli przeważnie młodzieńcy, których młodość po wysłuchaniu objawów choroby racyli stwierdzeniem: „głupsteweczko, tylko wstrzymać się na jakiś czas od picia wódki”, po czym sprzedawał niecodzienne dla porządku zdrowia nakstury własnego pomysłu. Naiwni desperaci kupowali wywar z pietruszki. W bardziej skomplikowanych przypadkach szarlatan z Bojar stosował balsam capave, znany też jako balsam jezuitów. Maść tę powszechnie stosowano na hemoroidy oraz w leczeniu kły i rzeżączki. Działalność cudotwórcy, która rozniosła się echem wśród mieszkańców Bojar i Wygody, szybko jednak przerwała policja.

Podobnie przebiegła kariera innego pechowego wynalazcy - Abrama Kowalskiego, którego w kronice sądowej określono mianem „zdeklasowanego tkacza”. Broniąc się przed dalszą deklasacją, w 1934 roku postanowił Kowalski wynaleźć cudowny krem przywracający niewieścią urodę. Do jego wyobraźni przemówił slogan reklamowy kosmetyków firmy Coty, zamieszczany w białostockiej prasie, głoszący, że „każda piękność chce być piękną”. Zaczął więc Abram produkować kremy kosmetyczne opracowane według własnej receptury. Nie w głowie mu były patenty i kariera Coty. Chciał zarobić trochę grosza, ot i tyle. Jego kremy cieszyły się początkowo nawet niezłym wzięciem wśród niezamożnych białostockich piękności. Jednak po pewnym czasie do miejscowych dermatologów zaczęły zgłaszać się opuchnięte, czerwone jak buraki maskary, które w niczym nie przypominały wcześniejszych bogiń. Ten stan szybko powiązano z działalnością Kowalskiego i sława jego cudownej masei na urodę przysła jak banka mydlana. W śledztwie stwierdzono, że kremy zrobione są z niebezpiecznych dla zdrowia składników. Sąd nie był łaskawy dla początków kariery Coty znad Białki i skazał go na pół roku aresztu.

Ale wróćmy do poważnych wynalazców. Jednym z nich był Antoni Skorupka, który w 1935 roku opatentował „ulepszoną tarkę do prania bielezny p.n. Vesta”. Zastąpił Skorupka falistą blachę „białą gumą o powierzchni falującej”. Dzięki tej innowacji mydło używane do prania koszul i gacek piekło się zdecydowanie lepiej i dłużej utrzymywało na powierzchni tarki. Do prania bielezny dzięki temu wynalazkowi zużywało się o połowę mniej mydła niż na tradycyjnej blaszanej tarce. Sprawdzono to empirycznie i rzeczywiście okazało się, że „dla całkowitego wyprania 100 kawałków bielezny tarka Vesta potrzebuje zaledwie jednego kawałka mydła.

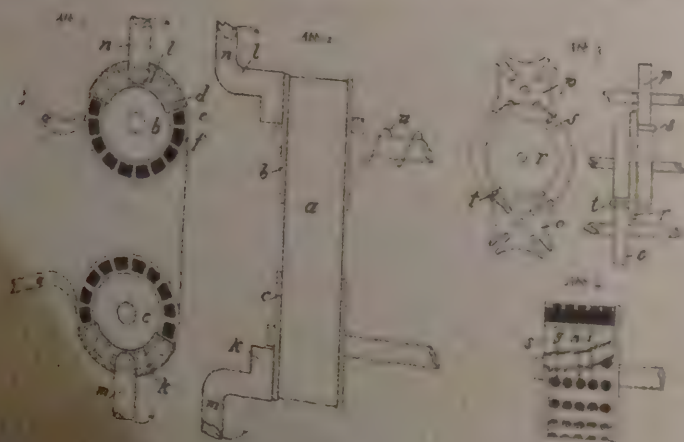


waga 10 deka", Sukces był murowany, tym bardziej że „Vesta jest przedmiotem na żądanie w każdym gospodarstwie domowym”.

Ciekawym innym, już naprawdę poważnym wynalazkiem był dziełem legendarnego białostockiego artysty, nauczyciela rysunków miejscowego seminarium nauczycielskiego – Józefa Blicharskiego. Oraz temu młodopolskiemu, urodzonemu we Lwowie, a kształconemu w Krakowie malarzowi nie obca była technika. I to na jakim poziomie! W 1925 roku skonstruował i opatentował „aparat kinematograficzny do zdjęć i reprodukcji obrazów w naturalnych barwach” oraz „aparat do prowadzenia kinematograficznych wstęg filmowych bez perforacji i usuwania ścianki oporową do filmu w okienku przed obiektywem”. Jak na uduchowionego artystę to wyczyn nie lada. Swoje konstrukcje Blicharski ponownie opatentował w 1928 roku. Jedną z nich być może jest jedyny zachowany, „aparat kinematograficzny” Blicharskiego przechowywany jest w zbiorach warszawskiego Muzeum Techniki. Jest to bodaj jedyny udokumentowany fakt białostockiego wkładu w rozwój techniki kinematograficznej.

Światową zaś karierę zrobiło urządzenie zwane od nazwiska jego konstruktora „klatką Wajnburga”. Przedwojenny Białystok był jednym z ważniejszych, europejskich ośrodków teorii rytualnego uboju. Stało się to za sprawą białostockiego rabina rządowego Gedali Rozenmana, który był autorytetem naukowym w sprawach szechity, czyli uboju rytualnego. W 1936 roku w białostockiej drukarni Technograf przy ulicy Sienkiewicza 20 wydał książkę *Zagadnienia uboju rytualnego*. W jednym z rozdziałów wspomniał Rozenman o dwóch białostoczaniech, którzy odegrali doniosłą rolę w kwestii uboju. Jednym z nich był rabin S. Malin, który w książce *Szechita a Bedika* (Ubój rytualny i oględziny), wydanej również w Technografie, opisał dokładnie urządzenie do dokonywania uboju rytualnego. Pisał Malin, że „maszyna ta przedstawia dużą klatkę żelazną, do której wprowadza się bydło i umacnia przy pomocy odpowiednich drążków, by stało spokojnie. Przez następny obrót kołowy obraca się maszyna, a z nią i bydło, zajmujące w tej chwili pozycję leżącą nadającą się bardzo wygodnie do momentalnego cięcia nożem w szyję. Dzięki temu systemowi pokładanie zwierząt odbywa się spokojnie, bez szarpania go lub wyrządzania mu jakiegoś bólu”. Konstruktorem tej żelaznej klatki był białostoczanin Izaak Wajnberg.

Dziś te wynalazki mogą być jedynie przyczynkiem do anegdoty bądź muzealnym eksponatem, ale 80-90 lat temu rozpały wyobraźnię i wielkie emocje.



Fragment rysunku technicznego aparatu kinematograficznego Józefa Blicharskiego





Ritz od strony ul. Instytutowej  
(obecnie ul. Pałacowa), 1916 r.

## Ritz — rysy na reputacji

Hotel Ritz, legenda Białegostoku, swoich gości wabił komfortem, wannami, windą, telefonami i dekadentckim urokiem. Bywać w nim znaczyło należeć do elity. W hotelowej restauracji jadało się jak nigdzie w Białymstoku, o co dbali mistrzowie kulinarii, jak określano wówczas szefów kuchni. Czasem jednak na tej wyśmienitej reputacji pojawiały się rysy.

Oto w czerwcu 1926 roku Białystok obiegła wiadomość o „niestrawności pana posła Łaskiewicza”. Jeszcze bardziej sensacyjne było to, że nabawił się jej w Ritzu. Ale po kolei. Kazimierz Łaskiewicz był postacią nietuzinkową. Urodził się na grodzieńszczyźnie. Po ukończeniu szkoły realnej w Grodnie wstąpił do seminarium duchownego w Petersburgu. Ukończył

Telefon Nr 146

Telefon Nr 148

**Nowootwarta pierwszorzędną restauracją**  
Towarzystwa Akcyjnego

„R I C”

ulica Niemiecka dom własny

ŚNIADANIA, OBIADY I KOLACJE

Pierwszorzędny bufet, doskonały napój, wina krajowe oraz zagraniczne, jablek i inne desery. Kuchnia zarządza  
Furhamier, specjalista.

ODDZIELNE WSPANIAŁE URZĄDZONE GABINETY.

Podczas obiadów koncert grywa orkiestra smyczkowa pod batutą p. BORASZEWA

Reklama Ritzu,  
1913 r.



...ale święcić nie przysięgł. Studiował jeszcze nauki polityczne w Paryżu i tu został po-  
bił w wojnie. Jako rosyjski poddany został wcielony do armii. Później była Polska Organizacja  
Wojkowa i podleganie Niemców na Wilenszczyźnie. Po odzyskaniu niepodległości wrócił  
do Grodna i objął posadę nauczyciela. W 1922 roku został posłem na Sejm z listy p.p.l. Pias  
Po zakończeniu kadencji był między innymi od 1930 roku wiceprezydentem Grodna. Całe  
miedzywojenie pracował w administracji państwowej, dlatego też często bywał w wojewódz-  
kim Białymstoku. W połowie czerwca 1926 roku pan poseł, bawiąc właśnie w Białymstoku  
po załatwieniu urzędowych spraw udał się na obiad do Ritza. „Zjadł w restauracji świeżo  
przygotowanego szczupaka, po którym w niespełną godzinę czasu miał silne bóle, gorączkę  
i wymioty”. Przyczyną tej poselskiej niemocy był w opinii Łaskiewicza nieświeży ritzowski  
szczupak. Dyrekcja restauracji nie mogła tego zbagatelizować. To było wprost niewyobra-  
żalne, aby w Ritzu podano nieświeżą rybę. Zawsze bowiem kupowano jeszcze żywe okazy  
i apuszczano je do „dużego akwarium umieszczonego tuż przy bufecie na sali”. Klient sam  
wybierał, którą sztukę chciał zjeść. Jakże więc żywy szczupak, po kwadransie, rozpływając się  
w poselskiej gębusi, mógł się zepsuć? Tamte lata miały swój wyszukany *savoir-vivre*. Nikt nie  
mówił wprost, ogłędnie więc sugerowano, że taki stan posła „musiały wywołać jakieś inne  
przyczyny”. Niewyobrażalne było powiedzenie wprost, że rybka, nawet i nieświeża, lubi pły-  
wać i być może pan poseł raczył był rzucić ją na zbyt głęboką „wodę”.

Wielką atrakcją restauracji Ritza były wieczorne artystyczne występy. Po letniej przerwie  
czekano na otwarcie sezonu jesiennego. Angażowano głównie warszawskich artystów, którzy  
bawili gości śpiewem i dowcipem. Gdy zaczynał się karnawał, zapowiadano sezon zimowy. Do  
Ritza zjeżdżała nowa ekipa artystyczna. Tak też było z sezonem wiosennym. Miejscowa prasa  
z wyprzedzeniem informowała o nowościach. „Uwaga bacność. Całkowita zmiana progra-  
mu nowe, pierwszorzędne siły artystyczne”. Tak zapowiadał się artystyczny sezon jesienny  
kabaretu w Ritzu w październiku 1924 roku. „Poziom artystyczny kabaretu popisującego się  
na estradzie ritzowskiej pod kierownictwem p. Maxymiliana Boczkowskiego nie pozostawia  
nie do życzenia”. Ci, którym program nie odpowiadał, to zdaniem recenzentów „hipochon-  
drycy, paralitycy, zdradzeni mężowie, nieszczęśliwe żony, teściowe itp.” No bo jakże mógł się  
nie podobać ten nowy program, skoro składał się z „perełek dowcipu, lekkiej piosenki, piru-  
etu taneczki i przyprawiał o humor szampański okraszający szare życie codzienne”? Zaraz  
na początku niejaka Rajewska śpiewała cygańskie romanse. Słuchacze nagradzali rzesistymi  
oklaskami *Koniu mój* i *Fijolki*, i *Chryzantemy zwiędłe*. Pieśniarka wieńczyła swój występ bra-  
wurowym *Czardaszem*. Następnie rozochociona widowia z aplauzem przyjmowała „milutką,  
zgrabniutką i pulchniutką” Hankę Żukiewicz. Ona z kolei śpiewała *Oj, oj, oj* i *Bęben*. Po pulch-  
niutkiej pieśniarce „schwimował z powodzeniem chociaż zbyt sentymentalnie” Zwidlicz. Ale  
i tak wszyscy czekali na występ Maksia Boczkowskiego. To on był największą gwiazdą kaba-  
retu. „Zawsze dowcipny, ostry i cięty. W istocie zawsze dawał sobie radę z czasami niesformą



...albo znowu urzędową i nadętą publicz-  
nością". Maksio szalał na estradzie „nogami i rę-  
kami” i grał swoje schizmany. Program świecił trymfy.  
Ale nie rozeszła się po Białymstoku wieść, że Mak-  
sio nosi się z zamiarem zrezygnowania z kierowania  
ritzowskim kabaretem. Główną tego przyczyną miały  
być nieporozumienia pomiędzy nim a aż 11 właścicie-  
lami hotelu. No właśnie. Pod płaszczykiem elegancji  
i wyrafinowanej dekadencji toczyła Ritza nieuleczal-  
na choroba biurokracji, swarów i skandali.

O! choćby w marcu 1926 roku. W hotelowej re-  
stauracji odbywał się wielki charytatywny bal żydow-  
skiego Towarzystwa Ochrony Zdrowia „Oze”. Na  
tymże balu „przeważaną część publiczności stanowiła  
inteligencja dyplomowana”. Kulminacją wieczoru  
była licytacja, której główną atrakcją był „amery-  
kański tort”. Wylicytował go komisarz Tarłowski  
z Okręgowej Komendy Policji. Zapłaciwszy zań,  
ogłosił rozbawionej sali, że za chwilę pokroi tort i bę-  
dzie rozdawał go do stolików za opłatą 1 zł za kawa-  
łek. W ten sposób tort sprzedano dwukrotnie. Ale był  
komisarz chlubnym wyjątkiem towarzystwa, bowiem  
reszta „dyplomowanej inteligencji” prowadziła „po-  
litykę oszczędnościową” i wcale nie kwapiła się do  
udziału w dalszej licytacji. Skandal jednak wybuchł  
dopiero wtedy, gdy rozpoczęła się część koncerto-  
wa. Wystąpić w niej mieli artyści operetki żydowskiej  
z Warszawy. Muzycy zorientowali się, że stolik dla  
nich przygotowano w bocznej, osobnej, niewielkiej  
salce, a nie wśród miejscowej elity. Uznali więc, że  
potraktowano ich jak najemnych, podrzędnych graj-  
ków. Od słowa do słowa i awantura gotowa. W jej  
efekcie obrażeni artyści, nie zagrawszy ani jednej  
nuty, opuścili bal.

Bywalcy ritzowskich rautów narzekali też na nie-  
uprzejmą obsługę. W grudniu 1926 roku wystosowali  
w tej sprawie list otwarty do zarządu hotelu. Pisali,

## COMFORTOWO URZĄDZONY **Hotel „Ritz”**

SP. AKO  
w Białymstoku

Winda, łazienki, gorące i zimna woda,  
oraz telefon w każdym pokoju.  
Pierwszorzędna restauracja, fryzjer,  
jak również garaż na miejscu.

— Telefon 11-36. —

Reklama Ritza,  
1932 r.

## „RITZ”

Reprezentacyjny dancel  
Kresów Wschodnich  
Dyrekcja  
TADEUSZ PRZYBYLSKI  
Telefon 11-60.

## PROGRAM „INFORMATOR”

BIAŁYSTOK  
1935 r.

Program bezpłatny  
prosimy zabrać ze sobą

Redaktor odp. i wyd. Zdzisław Kocheński Hotel „Ritz”

Reklama Ritza,  
1935 r.



...nie było o nich kłopotu. Kłopot należy sprawdzić skrupulatnie, co było i co jest...  
...po prostu widać do zyczenia. I dalej: „my stali bywalcy tej restauracji z po-  
...właściwym konstatacjom brak uprzejmości i przyczyniła się do...  
W październiku 1927 roku dymsis złożył dyrektor hotelu. Mojżesz Karmin...  
...stał Zygmunt Różycki. Był znanym i niezwykle szanowanym w Białymstoku...  
...kierownictwa kulturalnego. Aby ukrocie kelnerskie impertynencje, rozpoczął...  
...obronę personelu. W odwecie zwolnieni pracownicy zabrali księgi kasowe i...  
...niewiednie. Z zarządy hotelu popełnili wielkie nadużycia, narażając na straty...  
Kilko dni później wybuchł tuż przed świętami Bożego Narodzenia w 1927 roku. W...  
Ritz odbywał się wieczór towarzyski, na który przybyła śmietanka towarzyska i, jak to...  
...siano, podsmykanie. Jeden z „inteligentów naszych z pod znaku magnatarni przemysłow-  
upił się sakramencko. Na nieszczęście wpadła mu w oko żona jednego z miejscowych...  
gnitarzy. „Inteligent” postanowił zaśpiewać damie arię, w której myślał wyrazić kłębące...  
w nim uczucia. Stał obok wybranki, nadął się, aby ryknąć jakieś *O sole mio* i w tym momen-  
cie żóładek odmówił mu posłuszeństwa. „Pijanego chamulę prędko sprzątnięto, zaś bliską ze-  
mdlenia elegancką panią odwieziono do domu”. Po takim początku Zygmunt Różycki długo  
nie zagrzał dyrektorskiego stolika. 1 marca 1929 roku ustąpił ze stanowiska. Jego następcą zo-  
stał Waldemar Birnbaum, pracujący w hotelu od 1922 roku. Jego doświadczenie i znajomość  
wewnętrznych układów nie przyniosły oczekiwanego skutku. Oto w którąś z majowych nocy  
1929 roku w jednym z pokoi rozległ się „wielki krzyk i brzęk tłuczonego szkła”. Okazało się,  
ze odgłosy te to efekt poszukiwań zaginionej kochanki. Poszukiwaczem był urzędnik Woj-  
wódzkiego Wydziału Technicznego, Czesław Rz. Zastał on swoją Wenus w pokoju z obcym  
(sobie) mężczyzną. Technik wojewódzki nie wytrzymał tego i tłukł, co popadło. Zdenerwo-  
wana wspólna kochanka wypila dla uspokojenia szklankę wody, nie bacząc, że jest w niej  
„wielka ilość potłuczonego szkła”. Kochankowie, solidarnie, wezwali pogotowie ratunkowe.  
I jakby tego wszystkiego było za mało, Wydział Zdrowia nałożył na Birenbauma karę 600 zł  
i 90 dni aresztu za nieprzestrzeganie w hotelu przepisów sanitarnych. Ostatecznie jednak,  
dzięki obronie mecenasa Gdańskiego, biedny administrator musiał zapłacić 100 zł grzywny.  
ewentualnie mógł ją zamienić na tydzień w więzieniu.

Dzisiaj po hotelu Ritz nie ma już śladu. W 1944 roku opuszczający miasto Niemcy podpali-  
li go, a kilka lat później dzieła zniszczenia dokończyły nowe władze, gdy kazały wysadzić jego  
fundamenty. Pozostało po nim i jego świetności jedynie wspomnienie...





Szkoła szoferów T. Diekowskiego przy ul. Botanicznej 4, około 1930 r.

## *Rolls-royce'em po Sienkiewicza*

Białostoczan w połowie lat 20. ogarnął szal motoryzacji. W mieście jak grzyby po deszczu powstawały kursy samochodowe organizowane zgodnie z rozporządzeniem Ministra Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego z jesieni 1925 roku o programie kursów Kierowców Samochodowych. Nauka trwała, bagatela, sześć miesięcy. W pierwszej części uczono słuchaczy o silniku i podwoziu. Były zajęcia warsztatowe i oczywiście nauka kierowania. W drugiej części kursu wykładano nawet „technologię materiałów samochodowych”. W obydwóch etapach kursu prowadzono naukę języka polskiego. Obejmowała ona „kurs dokształcania kierowców samochodowych dla biegłego używania języka polskiego w słowie i piśmie”.

Od samego początku białostockiej edukacji motoryzacyjnej konkurencja była ostra, co często wywoływało konflikty. Tak też było w 1925 roku, gdy do Kuratorium Szkolnego zgłosili się Mikołaj Sochor i Bolesław Rogala-Lewicki. Po załatwieniu formalności otrzymali zezwolenie na prowadzenie kursu. Odbywał się on w warsztatach Sochora przy ulicy Sienkiewicza 43, a zajęcia teoretyczne prowadzono w sali Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół” przy ulicy Świętojańskiej. Wspólnicy złożyli się i dokonali zakupu dwóch samochodów, z których „jeden był na biegu, drugi w stanie rozebranym”, i rozpoczęli prowadzenie nauki. Ale już wkrótce zdumiony Sochor dowiedział się, że jego wspólnik bez uzgodnienia z nim przeniósł zajęcia praktyczne do warsztatów Kramera przy ulicy Świętojańskiej 7, a teorię zamierzał wykladać we własnym mieszkaniu przy ulicy Elektrycznej 4. Na domiar złego Lewicki „objął na swoje





Szkoła szoferów T. Diakowskiego przy ul. Wróblej, około 1930 r.

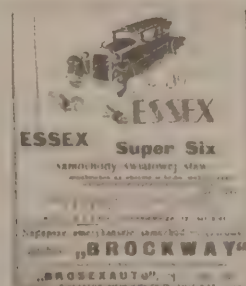
wyłacznie posiadanie jeden z samochodów" oraz zabrał kuratorskie pozwolenie na prowadzenie kursów. W tej sprawie zainterweniował białostocki Związek Zawodowy Automobilistów, stojąc po stronie Sochora. Związkowcy zarzucili Lewickiemu, że jest on „tylko teoretykiem” i „nadaje klasę 2 lub 3-a według swojego widzimisie”. Do tego mieli sześciu świadków, którzy kursu nie odbyli, lecz kupili u Lewickiego świadectwa ukończenia nauki. Ten zaś argumentował, że o wszystkich swoich krokach informował Sochora. Nie widząc możliwości porozumienia się z byłym współnikiem, mając jeszcze na karku Związek Automobilistów, postanowił całą sprawę oddać do rozpatrzenia sądowi. Białostoczanie nie chcieli jednak czekać na sądowe wyroki, chcieli jeździć samochodami! Z ulgą więc przywitali otwarcie kursów firmowanych przez Antoniego Lubkiewicza, redaktora „Dziennika Białostockiego”.

Natarcie branży samochodowej na Białystok było skomasowane. Statystyki oszołamiały. W lipcu 1926 roku Urząd Wojewódzki ogłosił, że na terenie całego województwa białostockiego zarejestrowanych jest już 250 samochodów i 20 motocykli. Rozwój motoryzacji zachęcał do inwestowania. W tym samym roku przy ulicy Lipowej 14 inżynier Herz Neumark otworzył salon Forda. W lipcu wielkim zainteresowaniem cieszyło się „wprowadzenie do lokalu najnowszego typu wozu”. Panowała zgodna opinia, że „samochody Forda z 1926 roku wyróżniają się piękną linią oraz ładnym wykończeniem wyglądają bardzo efektownie”. Gratulowano przy tym Neumarkowi, że nie szczędząc kosztów, prowadzi salon na wzór europejski. W następnych latach, pomimo kryzysu, wielki świat wręcz wlewał się do Białegoostku. Na początku lutego 1929 roku przy ulicy Sienkiewicza 12 z wielką pompą otwarto „salon wystawowy” zastępcstwa regionalnego fabryk samochodowych Essex, Brockway firmy Brosexauto.



Uroczyste przecięto wstęgę, po czym zebrani goście z wielkim znanstwem oglądali „6-cylindrowy samochód 4-drzwiowej limuzyny Essex”, a następnie udali się na śniadanie. W następnym tygodniu Białystok przeżywał kolejną motoryzacyjną sensację. Oto przez ulicę Lipową, Rynek Kościuszki i ulicę Sienkiewicza „przeciągnął korowód autobusów i samochodów ciężarowych”. Widok ten zelektryzował białostoczian, którzy tłumnie wylegli na ulice, chcąc obejrzeć tę niecodzienną „defiladę”. A defilowały chevrolety „z dorobioną karoserią przez nową tutejszą fabrykę karoserii Autokaros” z ulicy Łąkowej. To była białostocka awangarda nowoczesności.

Ale i miłośnicy historii motoryzacji (tak, tak, już wtedy była i historia) mieli swoją gratkę. Związana była z rolls-royce'em cara Mikołaja II. Ten ekskluzywny model w trakcie I wojny znajdował się w głównej kwaterze imperatora w Baranowiczach. Tam też jako mienie zdobywcze przejął to auto generał Józef Dowbor-Muśnicki. Przywiózł rollsa do Warszawy, chcąc go sprezentować Piłsudskiemu. Jednak Marszałek, znany z niechęci do luksusu, samochodu nie przyjął. Oddano je więc do użytku Ministerstwa Robót Publicznych. Rzadko go jednak używano, ponieważ wierzono, że nad rollsem wisi fatum. Wszyscy przecież wiedzieli, jak skończył żywot jego ostatni właściciel. Nikt więc nie kwapił się nim jeździć. Nie miał takich uprzedzeń prezes Wileńskiej Dyrekcji Robót Publicznych. Wziął samochód z Warszawy i ruszył do Wilna przez Białystok. I tak oto w jeden z ostatnich dni sierpnia 1927 roku ku zdumieniu przechodniów cesarska limuzyna, będąca sama arystokratką motoryzacji, w godzinach przedpołudniowych stanęła przed kawiarnią Karola Metza przy ulicy Sienkiewicza. Wspaniały samochód działał jak magnes. Zebrał wokół siebie tłum ulicznych gapiów. Niejeden przypominał sobie wizytę cara Mikołaja II w Białymstoku w 1897 roku. Zaledwie 30 lat minęło i proszę: cara *niet*, Rosji *niet*, a imperatorskim rollsem jeżdżą sobie po Białymstoku polscy urzędnicy. Ot, jakie czasy!



Reklama prasowa,  
1929 r.

Kamienica  
przy ul. Sienkiewicza 4.  
Wejście do kawiarni  
K. Metza  
w lewym dolnym rogu,  
1897 r.



# MONTE CARLO 1975



45. I. 1975: B-STOK

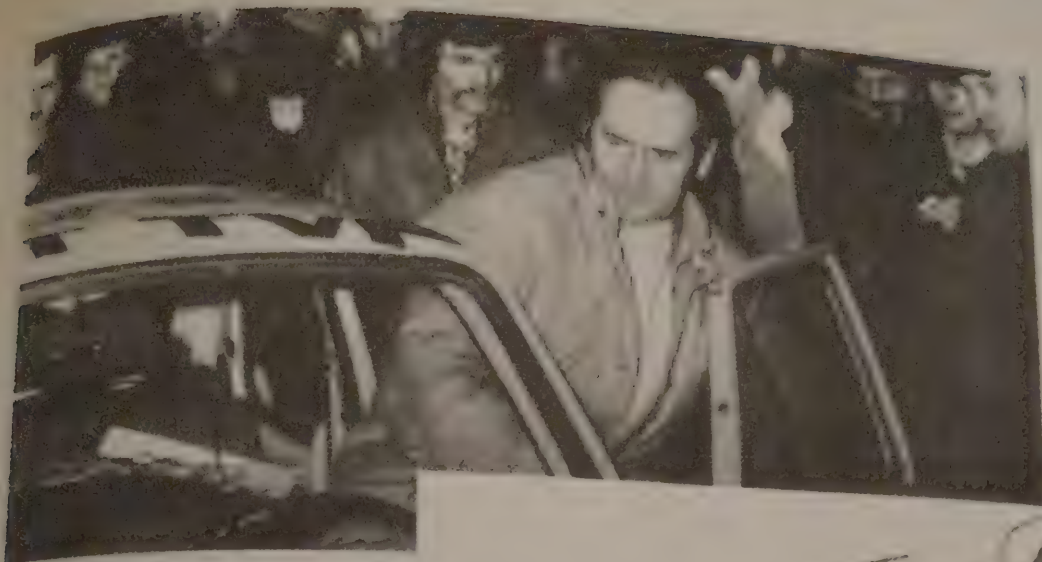
## Z Lenina do Monte Carlo

Zima 1967 roku była sroga. Na początku stycznia białostoczczyna została dosłownie odcięta od świata. Obfite opady śniegu i silny wiatr spowodowały, że – jak donosiła „Gazeta Białostocka” – „w zasadzie wszystkie drogi naszego województwa były nieprzejezdne do ruchu kołowego”. Informowano też, że „pociąg jadący do Gołdapi nie mógł się przebić przez zasy”. Dla otuchy podróżnych dodawano, że „aby nie dopuścić do takich sytuacji, pług odzutowe kursują na trasach kolejowych”. Odrzutowość dotyczyła oczywiście sposobu usuwania śniegu z torów, a nie napędu pługów. Taka sytuacja meteorologiczna w latach 60. XX wieku nie była żadną sensacją. Białostoczanie przyzwyczajeni byli do mroźnych i śnieżnych zim. Ale ten styczeń, a właściwie jeden jego dzień, miał być niezwykle. Do Białegostoku mieli przyjechać uczestnicy słynnego Rajdu Monte Carlo.

Rajdowcy zjawić się mieli w mieście mało kojarzonym ze stolicą Monako za sprawą ówczesnej organizacji zawodów. Polegała ona na gwieździstym, jak to określano, zjeździe rajdowców z różnych stron Europy właśnie do Monte Carlo, aby tam rozegrać główną, decydującą część zawodów. Jeden z wyścigów rozpoczynał się w Warszawie i aby było ciekawiej, prowadził w przeciwnym kierunku niż meta, czyli do Białegostoku, a dalej do Olsztyna. Żeby rajdowcy mogli dojechać do Białegostoku, trzeba było dokonać nie lada wyczynu, niemającego nic wspólnego z mistrzostwem kierowcy, tylko łopaty i miotły. Odsnieżano więc na potęgę.

Z Warszawy zapowiadano, że do startu szykuje się 12 załóg, a wśród nich sam Sobiesław Zasada na lanchi Fulvii. No i zaczęło się. Rajd z Warszawy ruszył w nocy z piątku na sobotę. 15 stycznia około godziny 5.00 rano pierwsi kierowcy zjawili się w Białymstoku. Meta z punktem pomiaru czasu znajdowała się na ulicy Dąbrowskiego przy ówczesnej siedzibie automo-





Sobiesław Zasada.  
Białystok – Monte Carlo,  
1975 r.

Autograf Sobiesława Zasady  
w kronice Automobilkлубu  
Podlaskiego  
w Białymstoku, 1975 r.

*Z podziękowaniami  
za serdeczność i miłość  
przyjacieli  
Sobiesław Zasada  
20. stycznia 1975 r.*

biłklubu, nieopodal kościoła św. Rocha. Pierwsze przyjechały załogi austriacka i angielska. Ale blisko 2 tys. białostoczian czekało na Sobiesława Zasadę.

Wreszcie jest. Ogromne owacje. Samochód ledwo toruje sobie drogę do parkingu. Mnóstwo młodocianych kibiców (nawet o tej porze) wyciąga ręce z notesami po autografy. Zyczenia pomyślnej jazdy słyszy nasz mistrz Europy na każdym kroku od chwili wyjścia z samochodu do wejścia do kawiarni Stylowej, gdzie było śniadanie

- relacjonowała prasa. Po posiłku i krótkim odpoczynku rajdowcy wystartowali do kolejnego etapu.

Rok później scenariusz pogodowy był podobny. Notowano rekordowo niskie temperatury. Gazety donosiły złowieszczo: „Zima pokazuje pazury” lub „Zima sroży się Europie”. Ale pomimo tych warunków Rajd Monte Carlo wystartował. Nad ranem 20 stycznia w dwudziestostopniowym mrozie rajdowcy zjawili się w Białymstoku. Był oczywiście wśród nich Sobiesław



Zasada, tym razem w poršche. Witał go transparent przygotowany przez młodych miloników, motocyklistów. „Przeć z kwasami, niech żyje Zasada”. Już dwa miesiące później, w marcu, autorzy takiego sloganu mieliby spore kłopoty, ale w styczniu brzmiał on bez żadnych aluzji. Tak jak i w poprzednim roku na przybyłe do Białegostoku 14 załóg czekało śniadanie w „Słonecznej” i po kilkadziesiąt minut start w dalszą drogę do Monte Carlo przez Olsztyn.

W następnych latach rajd omijał Białystok, powrócił ponownie w 1972 roku. I tu nastąpiła adreśnowa. Jeszcze w 1968 roku białostocki automobilklub przeniósł się do nowej siedziby, nowoczesnego budynku przy ulicy Lenina (obecnie Branickiego). Monte Carlo na Leninie to była ideologiczna sensacja. Załogi z Wielkiej Brytanii, Austrii, Francji, Niemiec. Wszyscy w zachodnich samochodach oklejonych kolorowymi reklamami. Taki widok przyciągał rozognioną wzrok białostoczian. To był powiew innego świata, który z Leninem nie miał nic wspólnego.

21 stycznia sprawozdawca prasowy odnotował: „niezliczone tłumy białostoczian witały zawodników i... przeszkadzały organizatorom. Serdeczność mile w tym wypadku widziana, ale przede wszystkim trzeba na imprezie sportowej wykazać się kulturalnym zachowaniem. A tego niestety zabrakło”. Tak skomentował dziennikarz wielkie zainteresowanie białostoczian, którzy widzieli w tej imprezie ślad wielkiego, a jakże dalekiego im świata. Tym razem nie nie wspomniano o transparentach. Wszyscy wiwatowali na cześć Zasady, który jechał w tej edycji rajdu na polskim fiacie 125, a jego pilotem była żona Ewa, co jeszcze bardziej wzmagало zainteresowanie widzów. W automobilklubowej restauracyjce „Czar Czterech Kótek” stolik, przy którym państwo Zasadowie jedli kolację, był oblegany.

Ostatni raz rajd zawitał do Białegostoku w 1975 roku i już nie na Lenina. Być może ktoś doszedł do wniosku, że wódz rewolucji nie powinien być patronem startu do Monte Carlo. 15 stycznia 18 załóg, które wystartowały z Warszawy, zajechało na dziedziniec pałacu Branickich. To zdecydowanie lepiej się kojarzyło. Książę Monaco to przy Janie Klemensie płotka. Był u Branickich po raz kolejny Sobiesław Zasada. Ale tym razem bardziej pasował do Lenina bo przyjechał fiacikiem 126 p.



Na punkcie kontroli  
czasu Rajdu  
Monte Carlo  
w Białymstoku,  
1975 r.





Zespół Gilarino. Pierwszy od prawej siedzi Wiktor Bubryk, pierwszy od lewej Jakub Tapisier. 1926 r.

## *Śmiech i śpiew to znaczy Gilarino*

**L**ata międzywojenne to początek i niechy-  
wały rozkwit kabaretu literackiego. Le-  
gendami tamtej epoki są Qui Pro Quo  
Perskie Oko czy Cyrulik Warszawski. Na scenach  
kabaretowych rodziły się największe gwiazdy. Bia-  
łyсток miał też swój wkład w tę historię.

Lato 1926 roku zbliżało się nieubłaganie ku  
końcowi. To znak, że niedługo rozpocząć się  
miał teatralny sezon. Jego zwiastunem były wy-  
stępy przybyłego z Warszawy żydowskiego teatru  
Azazel (z hebr. Upadły Anioł). Artyści odnieśli  
w Białymstoku niechywały sukces. W wielu do-  
mach komentowano ich występy. I oto w paź-  
dzierniku „w pewnym kółku miejscowej młodzieży

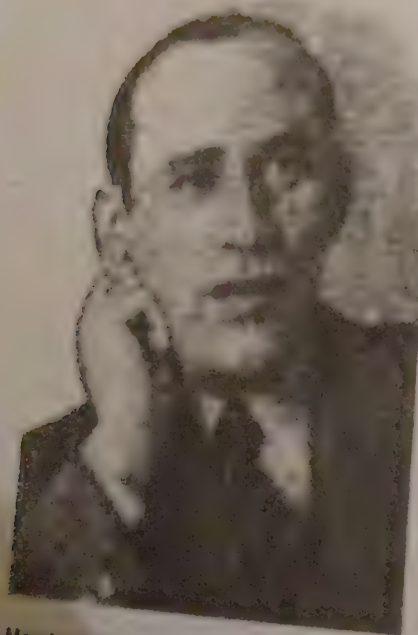


Siedziła Linas Hacedek  
przy ul. Różańskiej 3.  
około 1930 r.





Oskar Rozanecki.  
około 1930 r.



Mendel Goldman,  
autor większości  
tekstów Gilarino,  
około 1930 r.

żydowskiej powstała myśl o utworzeniu w naszym grodzie stałego teatru intymnego typu „Ziel”. Największymi orędownikami pomysłu stali się z miejsca reżyser i aktor Wiktor Bubryk i malarz Oskar Rozanecki. Ich zapal udzielił się wielu mieszkającym w Białymstoku literatom, muzykom, artystom estradowym. Pierwsze organizacyjne spotkania miały się odbyć w tak zwanej sali notariuszów w kamienicy przy ulicy Sienkiewicza 5. Ale ponieważ okazało się, że przedsięwzięcie może być finansowane przez Towarzystwo Linas Hacedek, siedzibą przyszłego teatru została kamienica Towarzystwa przy ulicy Różańskiej. Tam też rozpoczęły się pierwsze spotkania i gorące dyskusje.

Postanowiono, że białostocki teatr-kabaret powinien wpisać się w modny nurt reprezentowany przez warszawskie kabarety. Następnie przystąpiono do stworzenia organizacyjnych ram całego przedsięwzięcia. Opiekę literacką powierzono redaktorowi białostockiej gazety „Dos Naje Lebn” Pejsachowi Kapłanowi, dziennikarzowi tej gazety Lejzorowi Mendelbrotowi i znanemu białostockiemu poecie Mieczysławowi Goldmanowi. Kierownictwo muzyczne objął świetny, doświadczony kompozytor Jakub Berman. Scenografia i kostiumy przypadły Rozaneckiemu. Za efekty świetlne odpowiadał Izaak Boskies. Reżyserię programów wzięli w swoje ręce Wiktor Bubryk i Jakub Tapicer. Do grania, śpiewania i recytowania zaangażowano 20 miejscowych artystów i zabrano się do intensywnej pracy. Trzeba było stworzyć cały teatr od podstaw. Rozanecki zaprojektował kostiumy, które szyte były przez białostockich krawców. Oni też wykonali dwie kurtyny: aksamitną i finałową. Premiera zapowiedziana została na przełom listopada i grudnia. Teatr nie miał jednak ciągle nazwy. Pejsach Kapłan ogłosił więc na łamach „Dos Naje Lebn” konkurs

Wygrał go niejaki G...  
miejach i śpiew. W n...  
Im bliżej premi...  
prace przy malow...  
Bubryk z Tapicer...  
się pracownicy lo...  
w sklepie z bielizn...

Nadeszła wres...  
na kurtyna w teat...  
wstęp przed wy...  
gramu dziwił czy...  
szczędziła braw...  
nym, okazała się...  
wa). Inne ich pi...  
(Chimskiego rapu...  
na inscenizacja...  
i panów Knyszy...  
ny z 10 osób po...  
publiczności st...  
Następne wie...  
było tak wielk...

Płynąc na...  
gram. Jego p...  
tym, że poja...  
pannę Kapel...  
czach „bard...  
czył stanow...  
cie bawiła...  
z łatwością...  
Radzie Mie...  
larino Shin...  
stockich, k...  
tom śpiew...  
t obzowsk...  
wieczora...  
tego wielk...  
winno, ta...



wygrał go niejaki Ginzburg, który zaproponował nazwę „Gilarino”, co po hebrajsku znaczyło śmiech i śpiew. W nagrodę pomysłodawca otrzymał „srebrny żeton”.

Im bliżej premiery, tym atmosfera stawała się coraz bardziej napięta. Dobiegały końca prace przy malowaniu dekoracji. Wszystkie utrzymane były w „stylu ekspresjonistycznym”. Bubrek z Tapicerem dopinali ostatnie szczegóły programu. Rozprowadzaniem biletów zajęli się pracownicy Towarzystwa Linas Hacedek. Można było je kupić przy ulicy Sienkiewicza 20 w sklepie z bielizną Judelewskiego i w siedzibie Towarzystwa. Wszystkie rozeszły się jak woda. Nadeszła wreszcie oczekiwana premiera. W czwartek 2 grudnia o godzinie 21.10 aksamitna kurtyna w teatrze Gilarino uniosła się. „Intymny teatr żydowski” rozpoczął swój pierwszy występ przed wypełnioną do ostatniego miejsca widownią. „Każdy poszczególny numer programu dziwił czystością swego wykonania, oryginalnym stylem, artyzmem”. Publiczność nie szczędziła braw. Zachwyciła się scenografią. Szlagierem programu, wielokrotnie powtarzanym, okazała się *Waluta Charleston* białostockiego duetu Berman (muzyka) i Goldman (słowa). Inne ich piosenki też przypadły słuchaczom do gustu. Z upodobaniem słuchano *Złatego Chinńskiego raj* i żydowskiej pieśni ludowej *Abecadło*, której towarzyszyła pomysłowa i zabawna inscenizacja. „Z wielkim sukcesem przeszła *Katarzynka* w wykonaniu panny Zylbersztein i panów Knyszyńskiego i Szapiro. Bardzo podobala się *Wesoła Halastra* – „chór humorystyczny z 10 osób pod batutą p. W. Bubryka”. Konferansjerką zajął się Jakub Tapicer. Był zdaniem publiczności słabszym punktem programu. Raziła jego nienaturalność i to, że „był sztywny”. Następne wieczory w piątek, sobotę i niedzielę ugruntowały sukces premiery. Powodzenie było tak wielkie, że artyści wystąpili z tym programem aż 17 razy.

Płynąc na fali sukcesu, Teatr Miniatur Gilarino zaczął przygotowywać kolejny, drugi program. Jego premiera odbyła się w piątek 21 stycznia 1927 roku. Różnił się od poprzedniego tym, że pojawiły się w nim utwory poważniejsze, refleksyjne. *O północy*, wykonywany przez pannę Kapelmanównę i partnerujących jej Giełczyńskiego i Zucanowicza, wywarł na słuchaczach „bardzo silne wrażenie”. Jeden z recenzentów stwierdził nawet, że utwór ten przekroczył stanowczo zakres teatru miniatur”. Ale reszta programu, tak jak i uprzedni, znakomicie bawiła. Salwy śmiechu towarzyszyły skeczowi *Polityka w synagodze za piecem*. Słuchacze z łatwością odczytywali zawarte w nim aluzje do spraw toczących się w sejmie, białostockiej Radzie Miejskiej i tutejszej gminie żydowskiej. Szlagierem drugiego programu stało się *Gilarino Shimy*, skomponowane oczywiście przez Bermana do słów jednego z literatów białostockich, który ukrył się pod pseudonimem Poncz. Huragany śmiechu towarzyszyły kupletom śpiewanym przez parę marionetek Ele i Szelme, które animowane były przez pannę Łobzowską i jej partnera Katinko. Ten ostatni okrzyknięty został niekwestionowaną gwiazdą wieczora. Kuplety te ostrzem satyry cięły po znanych białostockich osobistościach. Oprócz tego wielkim powodzeniem cieszyły się piosenki *Ghuptas* i *Perska mądrość*. Na finał zostawiono, tak jak i poprzednio, występ *Wesołej Halastry* z nowymi piosenkami, które wywołały



...nie był już taki sławny. Z zadowoleniem zauważono też, że konferansjer Lapiet

Białostok dosłownie oszalał na punkcie Gilarino. Publiczność domagała się kolejnych występów. Wobec tego w lutym 1927 roku dyrekcja teatru z najlepszych numerów obrydła programów postanowiła zrobić jeden. I on cieszył się niesłabnącym powodzeniem. W międzyczasie, pod koniec stycznia, do Białegostoku zjechał ponownie teatr Azazel. Okazało się, że białostockie Gilarino jest o wiele lepsze! Zaczęła o nim pisać warszawska prasa. Posypały się też propozycje gościnnych występów z innych polskich miast. Tymczasem trzeba było przygotowywać kolejny już, trzeci, program. Na dzień premiery wybrano 7 kwietnia. I znów przez cały miesiąc komplety widzów cieszyły się śmiechem i śpiewem.

Pomimo że Gilarino było kabaretem żydowskim, to na jego przedstawienia chętnie przychodziła też polska publiczność. Widywano na spektaklach wojewodę Mariana Rembowskiego oraz cały szereg innych dygnitarzy białostockich i przedstawicieli tut. polskiego społeczeństwa i towarzystwa. Opiniotwórczy tygodnik „Prozektor” informował, że „widzowie-Polacy, nieposiadający języka żydowskiego, wychodzili jednak z Gilarino pod wrażeniem przyjemnie i mile spędzonego wieczoru”.

Ale tak jak sukces teatrzyku przyszedł niespodziewanie, tak też i jego kres nastąpił nagle. Jak zwykle poszło o pieniądze. Pierwszy zerwał współpracę Oskar Rozanecki – zażądał zbyt wysokich honorariów, a dyrektor się na nie nie zgodził. Po nim z kabaretu zaczęli odchodzić najlepsi artyści. Ciosem było, gdy odszedł twórca i główny kreator sceny, Wiktor Bubryk. „Gilarino zaczęło się dusić i kuleć”. W grudniu 1927 roku już wszyscy wiedzieli, że to ostatnie chwile kabaretu. Nowe programy już nie śmieszyły. Publiczność przestała przychodzić na wieczorne spektakle. Dodatkowym kłopotem okazała się zmiana władz Towarzystwa Linas Hacedek. Nowy zarząd nie miał niestety poczucia humoru i nie w smak mu były dowcipy i żartobliwe piosenki sypiące się ze sceny. Gilarino musiało opuścić dotychczasową siedzibę. W nowej, przypadkowej sali nic już nie było tak jak dawniej. W 1928 roku po kabarecie pozostały już tylko wspomnienia.





Wielojęzyczne szyldy na sklepach przy białostockim rynku, 1916 r.

## *Trudności lingwistyczne*

W międzywojennym Białymstoku poszukiwano „korespondentów w języku francuskim i niemieckim”. Dlaczego? Białostocka elektrownia należała do Niemców i Belgów. Ci ostatni dodatkowo zjawiali się na pertraktacje związane z ewentualnym uruchomieniem linii tramwajowych. Białostockie banki funkcjonowały w europejskim obiegu kredytu, przemysł szukał zagranicznych rynków zbytu. Trzeba zatem było prowadzić korespondencję w językach obcych. Ich znajomość była więc mile widziana. Szkoda tylko, że w Białymstoku często pojawiał się także problem z językiem... polskim.

Białostoczanie powracający z letniej kanikuly w 1925 roku opowiadali jak to na jednym z podbiałostockich lotnisk pojawił się takowy pisarski popis: „Surowo wzbroniono Spacery gry wpilke nożną tłuczenie zboża łak a także pasenie Koz i Krów i Kompiele. Winni będą Karani Sądem”. Naśmiewano się z innych, ale w samym mieście wcale nie było lepiej. Otóż w sierpniu 1919 roku w kamienicy przy ulicy Warszawskiej 6 uroczyście otwierano nowy lokal biura związku zawodowego. Przybyli goście z lekką konsternacją czytali szyld, który zawisł nad bramą: „Związek zawodowy włuknistego przemysłu”.

Dyskusję ortograficzną wzbudziły alisze rozlepione w centrum Białegostoku w październiku 1930 roku. Otóż Związek Żydowskich Artystów postanowił zaprezentować w teatrze



Palace inscenizację *Dziadła* *Towje Mleczarza* według Szolęma Alejchema. Szkopuł tkwił w tym, że z niego wynikało, że będzie to *Towje Mleciarz*. Tak niesłychane niedbalstwo znosiło brzoła szerokiego obranców polszczyzny. Podniesiono więc larum: „ponieważ druki publikacji, jak w tym wypadku afisz, często uczą, należy na przyszłość unikać tego rodzaju błędów, które świadczą albo o niedbalstwie czy ignorancji, albo też o braku szacunku do języka państwowego”. Podobne oburzenie wzbudził Judel Mikociński, właściciel sklepu z galanterią przy ulicy Sułaskiej 16. Pewnego październikowego dnia 1930 roku jego klienci zastali sklep zamknięty, a w drzwiach umieszczona była kartka. Skupieni czytali: „Spowodu skleb zamknięty śmiecąc babcia umarła”.

Ale problem nie tkwił tylko w ekstrawagancji ortograficznej. Ogłoszono oto, że „w poniedziałek 17 grudnia 1923 roku odbędzie się w Białymstoku egzamin z języka polskiego tych oficerów Armii czynnej, którzy odbywali studia w szkołach obcych i nie składali matury po polsku”. I nie chodziło tu bynajmniej o czysty formalizm, ale o rzeczywisty stan znajomości rodzimego języka wśród części kadry oficerskiej. W uzasadnieniu konieczności zorganizowania tej „matury” pisano: „Pięcioletnie istnienie naszej niepodległej Siły Zbrojnej w zupełności usprawiedliwia to dążenie Naczelnego Dowództwa, by osoby noszące mundur oficerów polskiego władaly w dostatecznej mierze językiem państwowym, znały dzieje kraju i jego pismienictwo”. Widząc to pomieszczenie języków, białostockie Towarzystwo Esperantystów w październiku 1928 roku postanowiło wprowadzić do szkół naukę języka esperanto. W tym celu zorganizowany został w siedzibie Towarzystwa przy ulicy Kupieckiej 49 (obecnie Malmęda) kurs dla nauczycieli białostockich podstawówek. Zajęcia inauguracyjne zaszczylił swoją obecnością sam Inspektor Szkolny, ale z pomysłu nic nie wyszło.

W 1926 roku amatorów angielskich słówek zelektryzowało ogłoszenie. „Przyjechała Angielka i udziela lekcji języka angielskiego”. Panna ta zatrzymała się u swego kuzyna Łazarza Frankela przy ulicy Częstochowskiej 9. Uczniów miała bez liku. Na brak chętnych nie narzekala też anglistka (po wyższych studiach angielskich) prowadząca kursy z literatury, historii i innych przedmiotów przy ulicy Artyleryjskiej 10. Można było zapisać się na lekcje grupowe bądź indywidualne. Prywatne lekcje dawali też co zdolniejsi uczniowie. „Uczennica klasy VII udziela korepetycji z języka polskiego i francuskiego w zakresie 4 klas”. Tak było w 1926 roku przy ulicy Elektrycznej 13. Ta fascynacja językiem Szekspira miała prozaiczną przyczynę: emigracja.

Białostuczanie teoretycznie mogli się rozczytywać w literaturze obcej. W bibliotece Szolęma Alejchema, która mieściła się przy Sienkiewicza nicopodal Białej, księgozbiór był wielojęzyczny. Oczywiście dominowały książki drukowane po hebrajsku, jidysz i po polsku. Było ich około 80%. Ale pozostałe dzieła wydrukowane były po niemiecku, francusku, angielsku, rosyjsku i esperanto. W 1927 roku wypożyczających w tej bibliotece „abonentów” było 1456 (827 mężczyzn i 629 kobiet). Ale dalej statystyki milczą.





Dom, w którym urodził się Ludwik Zamenhof, 1928 r.

Z tych pobieżnych informacji wcale nie należy wyciągać więc wniosków, że obcokrajowiec przybywający do Białegostoku mógł swobodnie się porozumieć i bez kłopotu trafić do hotelu czy restauracji.

Aż nadszedł czas najwyższej lingwistycznej próby. 30 kwietnia 1928 roku z kurtuazyjną wizytą przyjechał do Polski król Afganistanu Amanullah z małżonką. Wizyta miała iść królewską oprawę. Monarszą parę, jadącą z Berlina, witano na granicy. Później, już w Warszawie, defiladom, rautom, przedstawieniom w operze nie było końca. Marszałek Piłsudski ofiarował królowi sztucer przerobiony z wojskowego karabinu. Na jego drewnianej kolbie Władysław Skoczylas wyrzeźbił dwa psy i dwie kozice górskie. Ponadto król otrzymał 100 wojskowych karabinów i samolot szkoleniowy.

Posiadając perfect obce języki:  
**angielski, francuski, niemiecki,  
 włoski, hiszpański i rosyjski,**  
 ofiaruję swe usługi — w charakterze korespondenta handlowego — solidnemu przedsiębiorstwu przemysłowo-handlowemu, mającemu stosunki z zagranicą.  
 Honorarium — umiarkowane.  
 Dyskrecja zapewniona.  
 Informacje: ul. Słazycza 4 m. 2

Anons prasowy, 1935 r.

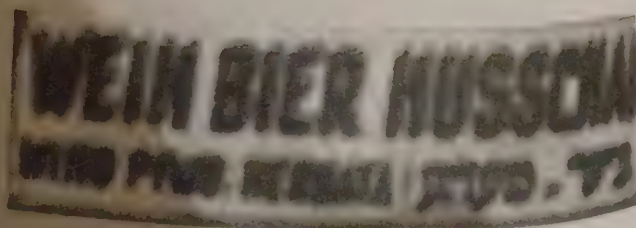
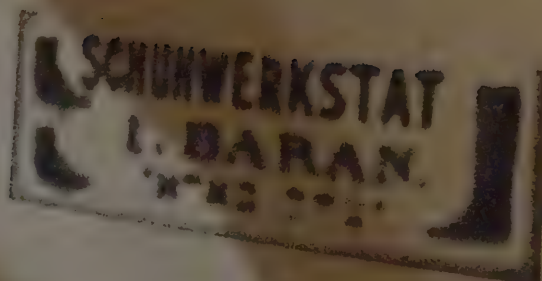
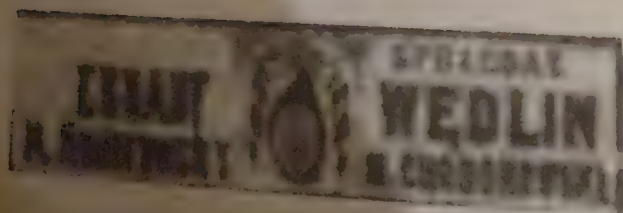
Koncesjonowane przez Kuratorjum  
 OKRĘGU SZKOŁNEGO.  
**Kursa Języków obcych**  
 według systemu **BERLITZA**  
 prowadzone przez **N. MATWIEJEWĄ**  
 i p. **A. GINCA.**  
 Informacje i zapis w gmachu Szkoły  
 Handlowej im. Kopernika przy ul.  
 Fabrycznej 37  
 we wtorki, czwartki i soboty 5—7 pp.

Anons prasowy, 1932 r.



W środę 2 maja, królewska para wyruszyła do Moskwy przez Białystok. „O godzinie 11 na mi 52 pociąg złożony z 12 wagonów, w liczbie których było kilka salonów” wyjechał na białostocką stację. Orkiestra 42. Pułku Piechoty z miejsca zaczęła grać hymn afgański. Gdy pociąg się zatrzymał, przy królewskiej salonce białostoccy piechurzy wystawili wartę honorową. Na peronie w hierarchicznym szranku stali wicewojewoda, prezydent miasta, przewodniczący Rady Miejskiej itd., a nawet przedstawiciel poddyrekcji PKP. Słowem wszyscy. Wokół nich tłoczyli się białostoczanie z zaciekawieniem wizytą egzotycznego gościa. Napięcie doszło do zenitu, gdy w oknie wagonu pojawił się król Amanullah w cywilnym ubraniu. Rozejrzzał się po peronie i wygłosił krótkie przemówienie w języku afgańskim. Białostockie towarzystwo stało jak na „drewnianym kazaniu”. Następnie świta króla, wschodnimi szerokimi gestami i ukłonami dała do zrozumienia naszym notablom, że król zaprasza ich do wagonu. Cóż robić, trzeba było iść. Wewnątrz okazało się, że monarcha akurat jadł śniadanie. Wobec tego, znów za pomocą wymownej gestykulacji, zaproszono białostoczan na kawę po turecku. Sprawozdawca z tego dyplomatycznego spotkania zanotował, że śniadanie „umożliwiło zarówno przyjezdnym, jak i witającym bliżej obejrzeć się wzajemnie”. Najbardziej warta oglądania w tym towarzystwie była bezdyskusyjnie królowa Soraja. Gdy delegacje przyglądały się sobie, białostoccy kolejarze zdążyli wymienić lokomotywę. Świta królewska, gnąc i mnąc się w ukłonach, dała wojewodzie i otoczeniu do zrozumienia, że śniadanie właśnie się skończyło. Białostoccy wólarze spieszenie wyskoczyli z wagonu. Orkiestra zagrała marsza, pociąg gwizdnął i w obłokach pary i dymu król odjechał.

No i kto by podejrzewał, że do Białegostoku przyjedzie ktoś, kto będzie przemawiał tylko po afgańsku! Tego nie przewidział nawet Ludwik Zamenhof.







## Ursus i Człowiek Mucha

W międzywojennym Białymstoku rozrywką rozpalająca największe emocje były pokazy rozmaitej masy akrobatów i atletów. Ich występy zapowiadane jako sensacyjne gromadziły tłumy. Tak też było w sobotnie popołudnie 28 czerwca 1919 roku. Na ten dzień zapowiedziano niezwykle widowisko w opuszczonych przez wojsko koszarach artyleryjskich przy ulicy Lipowej 52, gdzie „znany akrobata Józef Oszczędo wykona skok śmiertelny na rowerze”. Z tą śmiertelnością skoku to jedynie obowiązująca wówczas stylistyka polszczyzny, bo trudno przypuszczać, że miała to być dosłowność. Niemniej Oszczędo ryzyko podejmował wielkie. Zapewniał, że wykona skok na rowerze „z wieży czteropiętrowej”. Niestety nie wiemy, czy skok poprzedzał dojazd dla nabrania odpowiedniej prędkości czy też akrobata, ot tak normalnie, poddając się grawitacji, spadł z czwartego piętra razem z rowerem; ani nie wiemy, jakie przygotowano mu lądowisko, no i jak się to wszystko skończyło.

**BOJSKO SPORTOWE Ż. K. S. (ul. Branickiego 17)**  
**Dziś w sobotę 29 i jutro, w niedzielę 30 maja 1926 r.**  
**WYSTĘPY wszechświatowej sławy KRÓLA ŻELAZA**  
**Gustawa Brejtbartha**

w nowych, dotychczas niewidzianych tatrach atrakcyjnych. Między innymi:

- 1) przez pierś Brejtbartha przejedzie samochód o wadze 3000 kg. obsadzony pasażerami;
- 2) Brejtbarth ciągnie w rękach dźwignię z pasażerami;
- 3) na głowie Brejtbartha zostanie agita szyna żelazna przez 20 ludzi z pośród publiczności.

**Wstęp do orkiestry B.O.S.K. 150, stojące — zł 1. Usługowe — gr 75.**  
**Początek o godz. 4 po poł.**

Tymczasem Królami Żelaza byli na niejednym białostockim podwórzu. 1938 r.

Przed Ursusem (Stefanem Piątkowskim) Białystok odwiedził słynny Król Żelaza — Gustaw Brejtbarth, 1926 r.



[illegible]

Teatrówka została wybudowana w 1923 roku. 14 kwietnia do Białego Stoku przyjechał pierwszy Cyk. Hinc Samowoszcz, który zaczął swój namiot na placu przy ulicy Nadzrzecznej. 19 kwietnia nastąpiła kolejna informacja, że na kilka występów przyjeżdża do cyrku światowej sławy wioślarz i kajakarz Zygmont (Zach) Jankowski. Słynnego atletę witano na dworcu jak prawdziwego króla. Zygmont na Zach Jankowski. Słynnego atletę witano na dworcu jak prawdziwego króla. Zygmont na Zach Jankowski. Słynnego atletę witano na dworcu jak prawdziwego króla.







Występ w Cyrku Braci Staniewskich, Białystok 1925 r.

książkę z fotografiami i opisaniem przygód nadzwyczajnych z życia Zygmunta Breitbarta". Prasa donosiła o przypadkach zaślubienia widzów w trakcie jego występów i komentowała je komentarzem: „Oj ten p. Breitbart!”. 28 kwietnia atleta dał ostatni występ przy ulicy Nadrzecznej. Wkrótce cała Polskę obiegła informacja, że król uległ wypadkowi w trakcie występów. Zmarł w Berlinie 12 października 1925 roku. Wspomnienia o Zishe odżyły w maju 1926 roku, gdy do Białegostoku przyjechał jego brat – Gustaw Breitbart. Przejął on tytułaturę po zmarłym bracie. Zapowiadano, że to on jest teraz „wszechświatowej sławy królem żelaza”, ale widzowie wiedzieli, że król był tylko jeden.

Całkiem inna historia wydarzyła się w niedzielę 19 września 1926 roku, kiedy do Białegostoku przyjechał wraz z żoną inny słynny atleta Stefan Piątkowski, znany pod pseudonimem Ursus. Pansiu Piątkowscy zatrzymali się w hotelu Bristol przy ulicy Lipowej 17. Miasto już od kilku dni przygotowywało się na wielkie widowisko. Na głównych ulicach wisiały afisze zapowiadające niezwykle emocje. Ursus miał, zgodnie ze swym sienkiewiczowskim pierwowzorem, zmierzyć się z rozjuszoną bykiem. Po tej walce atleta zapowiadał wyczyn niezwykle: zostanie zakopany w głębokim na trzy metry dole i pozostanie w nim bez dostępu powietrza przez godzinę. Inni





Człowiek kłucha pokonał elewację tego Gimnazjum Żeńskiego. Zdjęcie z 1910 r.

węzgi i ten numer potrafili wytrzymać w takich warunkach zaledwie kilkanaście minut. W następnym numerze przez Ursusa miał przejechać samochód „obciążony 10 ludźmi”. Na koniec występu Piątkowski obiecywał, że „nie pozwoli rozerwać sobie rąk przez dwa silne ko-

no”. Ten sensacyjny spektakl miał się odbyć na boisku sportowym przy ulicy Nadrzecznej 1. W niedzielne popołudnie, o godzinie 17.00, cały plac sportowy był wypełniony. „Na krzesłach pod otwartym niebem siedziała inteligencja, za krzesłami tłumili się motłoch”. Ludzie wstydli wszytkie okoliczne płoty, drzewa, a nawet dachy pobliskich domów. Zewszad było słychać komentarze związane z niespokojnie zachowującym się bykiem. Ten zamknięty był w żelaznej zagrodzie ustawionej na środku placu. Tuż po 17.00 orkiestra Białostockiej Ochotniczej Straży Ogniowej zagrała marsza i z pobliskiej szopy „wyszła sława polskiego sportu, człowiek, który nas przetrwa - Ursus”. W rzeczy samej, jak to stwierdzili sprawozdawcy, był to niezwykle dzielny i wytrzymały, w miarę krzepki jegomość. Ubrany był w „nocną koszulę i czarne spodnie”. Na piersi przypiętą miał wstęgę z medalami. Publiczność wiwatowała, gdy on odzyskał marsza, a Ursus tryumfalnie obchodził plac i pozdrawiał tłumy. Na placu rozległ się gromki odgłos medale i wręczył je przypadkowemu chłopcu, a sam przeszedł na drugi koniec placu i z impetem natarł na zdezorientowanego byka. „Tłukł go głową, szarpał go kłosem, nie śmiały starać się skrócić mu kark”. Byk wytrzymał tylko 10 minut takich tortur i zawałił się na ziemię. Ursus kroczył na niego i w tym momencie pękły mu na siedzeniu czarne spodnie. Skromiznowany udał się do szopy, aby poprawić garderobę.



Oszolomiony byk rozejrzał się i nie widząc przeciwnika, powoli wstał. Na to tylko czekała „galeria” z plotu. Dało się stamtąd słyszeć okrzyki „Berczyk, Berczyk”. Po chwili z tłumu wyskoczył jakiś niepozorny czelczyzna, zwinnym skokiem przesadził ogrodzenie i „chwycił byka za rogi i w jednej chwili powalił go na ziemię”. Publika wyla z zachwyty, a gdy z szopy wyszedł Ursus, przywitała go salwa śmiechu. Piątkowski, widząc, co się stało, uspokoił tłum i nonszalancko stwierdził, że tak jak Berczyk to każdy może położyć byka, ale tak jak Ursus uczynił, nikt nie potrafi. Przemowa atlety wywołała jeszcze większą wesołość na widowni. Głowy do ognia dołało pojawienie się białostockiej sławy zapasów – Kaganowskiego. Mistrz ubrany był zgoła niesportowo w ciemny garnitur i melonik na głowie, w ręku trzymał niewielką walizkę. Podszedł do Ursusa i zaproponował mu stoczenie walki. Piątkowski zaczął się dyplomatycznie wykręcać. Stwierdził, że tu na tym placu nie może walczyć, bo przecież nie będzie się tarzał w piachu. Zgodził się, że owszem, zmierzy się z Kaganowskim, ale w najbliższą środę w teatrze Palace, w którym miał wystąpić jako „król żelaza”. Publiczność była jednak nieustępliwa. Na to Ursus podszedł do stojącego obok policjanta, chwilę porozmawiali, po czym atleta oświadczył, że „Władza nie zezwala”. Rozległy się gwizdy i jęk zawodu.

Po tym incydencie Piątkowski przystąpił do próby z dwoma końmi. Te nie były zbyt ochocze i raczej przebiegały nogami w miejscu, niż rozrywały ręce Ursusa, ale efekt był. Zadowolony



Człowiek Mucha zmierzył się też z hotelem Ritz. Zdjęcie z 1938 r.



...nie mógł się podnieść z ziemi. Położył się na ziemi. Przez chwilę  
...wciąż wydawało się, że wyjdzie z tej próby. W końcu  
...tylne koła auta, coś zacharowało. Na moment zaległa kompletna cisza.  
...przeżycia. Czuli się i zepchnięci. Złoty  
...na prowizorycznych noszach i natychmiast zwrócić  
...Za nimi biegła, zanosząc się szlochami. Do  
...na ulicę Łipską 43. W szpitalu szanowna  
...pani Piątkowska. W szpitalu szanowna  
...„zgnacenie lewego boku”. Ursus powoli doszedł do siebie. Czuli  
...że nie był to jego najlepszy występ (dobrze, że tego dnia nie zakopano go w  
...niepyszny do hotelu Bismarck.

Zanim wykład sukcesem mógł pochwalić się Stanisław Nazarkiewicz, zmarł  
...Człowiek Macha. Do Białegostoku przyjechał w maju 1931 roku. Jego popis  
...w gmachu Gimnazjum Żeńskiego im. Księżny Anny Jabłonowskiej przy ul.  
...Mickiewicza o godzinie 15.00 25 maja 1931 roku. Organizatorzy zadbali o wszystko, nawet  
...miejsca siedzące, które kosztowały złotówkę. Nie wzięli tylko pod uwagę, że termin akro-  
...ficznych popisów koliduje z uroczystością poświęcenia kamienia węgielnego pod gmach  
...Pułku Piechoty w Zwierzyńcu. W ostatniej chwili trzeba było odwołać występ  
...i wyznaczyć nowy termin. Wybrano 27 maja.

W tym samym czasie zaplanowano na godzinę 20.00, co okazało się wysmienitym posunię-  
...ciem, spawły wieczornym mrokiem gmach podświetlały specjalne reflektory. Człowiek Ma-  
...ch pojawił się przed publicznością punktualnie. Skłonił się szarmancko i bez żadnej asse-  
...sy zaczął wspinać się po elewacji gmachu. Publiczność, zadzierając coraz mocniej głowy,  
...w głąb ulicy śledziła każdy jego ruch. Gdy akrobata stanął na wieńczącym elewację  
...główną rozległy się gromkie brawa. Ale Nazarkiewicz ani myślał kończyć występ. Zachę-  
... publiczności zademonstrował, balansując na krawędzi dachu, „różne akrobaticzne  
...wzruszenia”. Wrażenia były wspaniałe. Zaczęto więc namawiać go na kolejny występ. Cze-  
... Macha przyjął zaproszenie. Kolejny pokaz jego umiejętności odbył się w niedzielę  
...1931 roku. Tym razem akrobata postanowił zmierzyć się z hotelem Ritz i po-  
... publiczności Nazarkiewicz wspinał się po elewacji hotelu. Zgrabnie  
...parapetach, dostał się na szczyt budynku, gdzie wykonał zestaw

Taki wyjątkowy dzień na pewno zasłużyłby na wzruszenie ramion. Kogo mogłoby ekster-  
... pod elewacji trzypiętrowego budynku czy skoki na rowerze? Świat jakos  
... Nam pozostaje tylko lokalna duma, że blisko 100 lat temu  
...prezentowane były też w Białymstoku





Po lewej stronie kamienica Karola Ginzburga na rogu ul. Lipowej i Krakowskiej. Funkcjonował w niej największy w Białymstoku dom publiczny, około 1925 r.

## *Venus trotualis*

Co tu owijać w bawełnę – Białostoczanie nie byli purytanami. W centrum miasta roilo się od panienek o wyraźnie lekkich obyczajach. Nazywano je różnie – najczęście używano określeń potocznych, by nie powiedzieć prostackich, ale nie w eleganckim świecie. Tam mówiło się o kapłankach wolnej miłości, heterach, a ci, którzy podkreślić chcieli swoją erudycję, wspominali o *Venus trotualis*.

Dziś może się to wydać szokujące, ale w okresie międzywojennym prostytutka była legalna. Panienci lekkich obyczajów musiały rejestrować się w odpowiednim urzędzie, gdzie otrzymywały książeczke zdrowia, do której wpisywane były wyniki badań kontrolnych. Według przepisów powinny były zgłaszać się na nie dwa razy w tygodniu, no ale – jak wiadomo – różnie z tym było. Jesienią 1925 roku białostocki Urząd Sanitarno-Obyczajowy podał, że w mieście zarejestrowane są 84 zawodowe prostytutki, „dorobkujących zaś nierządem” było 139. Zauważono w tym raporcie, że liczba pań trudniących się tym procederem spada, gdy wzrasta bezrobocie. Gdy ono maleje, to i pracę odzyskują nocne émy. Ot, życiowe prawa ekonomii. Wśród białostockich „heter” były 24 robotnice, 32 służące, 3 krawcowe, kelnerka, a reszta





Przed hotelem Ritz, 1913 r.



Dr Wacław Szaykowski.  
propagator idei świadomego  
macierzyństwa, lata 50. XX w.



Dr Jan Walewski, około 1960 r.

nie miała żadnego zawodu. Co ciekawe, zarejestrowane córki Koryntu podawały też wyznanie: przodowały katolicki (53 panie) i Żydówki (24), a tylko parę prawosławnych i dwie ewangeliczki parowały się m. in. z dem. Ich wiek, co w przypadku kobiet nawet lekkiego prowadzenia zawsze brzmi nieelegancko, przedstawiał się następująco: „5 heter są w wieku do lat 20, 25 w wieku do lat 25, 30 heter w wieku do lat 30, 19 do lat 40 i dwie w wieku lat 50”

Takie dane statystyczne żywo interesowały nie tylko opinię publiczną. Od 1922 roku działało w Białymstoku Towarzystwo Walki ze Zwyródnieniem Rasy. Zaorganizował je doktor Jan Walewski, znany miłoścowy specjalista od leczenia chorób wenerycznych. Towarzystwo postawiło sobie za główny cel zwalczanie prostytucji, w której upatrywano źródło deprawacji społeczeństwa i wszelkich chorób zakaźnych. W 1923 roku zmieniło nazwę na Polskie Towarzystwo Eugeniczne. Praca w nim odbywała się w sekcjach

**Dr. J. Walewski**

ChOROBY WENERYCZNE SKÓRNE I POCHŁAPACZKOWE

**Radiowiel. lampą kwarcową**

Przyjmuje raz do 1 od 4 do 8 p. Robiety 6-8 po poł. W niedziele od 11 do 1 od 4 do 6 pp.

ul. Sienkiewicza 14, m. 3 (II piętro).

Telefon 9-48.

Anons prasowy dr. Jana Walewskiego, 1924 r

Doktor Józef I  
dla dzieci, ins  
sekcję walki z  
zował zwalcz  
ta Szaykowski  
i dzieckiem,  
radnią zawod  
walny zjazd  
kolejną kad  
Olszyńskiego  
i dziennikar

17 kwietn  
do Białegos  
szowski, bra  
upadłą kob  
w szwach. I  
i prostytut  
lęgowanie  
królewskie  
że zakała  
morfimist  
mów pub  
neralski b  
ciażby  
Publiczne  
i nie uj  
...braca





Doktor Józef Lewitt prowadził sekcję kolonii letnich dla dzieci, inspektor szkolny Jurecki odpowiadał za sekcję walki z alkoholem, doktor Walewski organizował zwalczanie chorób zakaźnych, doktorowa Bertta Szaykowska prowadziła sekcję opieki nad matką i dzieckiem, a doktor Kłamarzyński kierował poradnią zawodową dla kobiet. W 1928 roku odbył się ważny zjazd białostockich eugeników. Prezesem na kolejną kadencję wybrano mecenasa Władysława Olszyńskiego, prawicowego działacza politycznego i dziennikarza.

17 kwietnia 1928 roku na zaproszenie Towarzystwa do Białegostoku przyjechał Tadeusz Wieniawa Długoszowski, brat słynnego generała, z odczytem *Sąd nad upadłą kobietą*. Wieczorem, sala teatru Palace pękała w szwach. Długoszowski zaczął od tego, że upadła jest prostytutka i królowa, której jedynym celem jest „pielegnowanie swego wypieszczonego ciała dla użytku jego królewskiej mości”. A dalej to już prelegent grzmiał, że zakałą społeczeństwa są „alkoholiczki, kokainistki, morfalistki, handlarki żywym towarem, maciory domów publicznych i prowokatorki”. Swoje wywody generałski brat popierał literackimi przykładami, jak chociażby „syfilisem, który wprost zżerał Wyspiańskiego”. Publiczność czuła niedosyt, bo wykład był chaotyczny i nie ujmował „czynników psychicznych”, a jedynie „obracał, przewracał i wywracał” upadek kobiety.

**Teatr „Palace”**  
**Dnia 17 kwietnia br. o g. 8<sup>30</sup> w**  
**odbedzie się odczyt zbiorowy r. t.**  
**Sąd nad upadłą**  
**kobietą**  
 Jako prelegenci wystąpią:  
 Oskarżyciel... red. Tadeusz Wieniawa - Długoszowski.  
 Obrońca... Szanowni Publiczności,  
 Bilety w cenie od 50 gr. 568

Anons prasowy, 1928 r.



Na białostockiej ulicy, około 1928 r.







...młodych ludzi i tysiące nieszczęśliwych rozwodów". Film polecano narzeczonym, małżonkom, no i rodzicom. Przed nimi zdemaskowane miały być „zбочzenia płciowe według sensacyjnych rewelacji prof. Forrela". Na seans mogli wejść wyłącznie widzowie, którzy mieli ukończone 21 lat. Dyrekcja kina uprzedzała, że jeśli dorosły kupi bilet nieletniemu, „to takowy bilet należy do honorowany". W kinie panował podwyższony rygor moralności. „Dla pań zarezerwowano łóżce, a dla mężczyzn parter". I rzecz najważniejsza – film postanowiono wyświetlać wyłącznie na seansach nocnych, które rozpoczynały się o 23.45.

Publiczność nie zawiodła i zjawiała się tłumnie. W milczeniu oglądano dramat oparty na pamiętnikach starego lekarza, który „z bliska w swoim gabinecie przyjrzał się tragediom mężczyzn i kobiet, zrujnowanym ogniskom małżeńskim, zwyrodniałym dzieciom itp." Stary doktor opisywał skutki rozwiązłości i idące w ślad za nią choroby weneryczne. „Wobec tego cała młodzież, a przeważnie nieświadomione kobiety powinny tłumnie odwiedzić te arcypożyteczne seanse". Zainteresowanie filmem było tak duże, że w dwa ostatnie dni jego wyświetlania, w sobotę i niedzielę 23 i 24 czerwca, postanowiono „dla sfer pracujących" zorganizować dwa dodatkowe poranne seanse.

No cóż, świat zmienia się w zawrotnym tempie. Dziś w bezpruderyjnym panującym wszechobecnie obyczaju nazwanie pani o lżejszym prowadzeniu *Venus trotualis* mogło by być potraktowane jako wyszukany komplement.



Rynek Kościuszki. 1928 r.





Drużyna piłkarska białostockiego Żydowskiego Klubu Sportowego, 1923 r.

## Wielki futbol w Białymstoku

W 1879 roku na obszarze okolonym dzisiejszymi ulicami Wojskową, M. Skłodowskiej-Curie i Wołodyjowskiego wybudowane zostały koszary dla 61. Włodzimierskiego Pułku Piechoty. Na początku XX wieku stacjonował w nich 63. Uglicki Pułk. Ale nie w tym sedno. Najważniejsze, że wśród rzędów regularnie ustawionych budynków, od strony ulicy Włodzimirskiej (obecnie Wołodyjowskiego), znajdował się rozległy plac. Na co dzień używano go do ćwiczenia musztry, ale w sierpniu 1913 roku rozegrano na nim pierwszy odnotowany w białostockiej prasie mecz piłki nożnej. Sprawozdanie z tego wydarzenia ukazało się w „Gazecie Białostockiej”.

W niedzielę d. 21 b.m. na placu 63 Uglickiego pułku piechoty odbył się „match” piłki nożnej pomiędzy inicjującymi u nas od roku grupami: „Pierwszą rosyjską grupą w Białymstoku” i „Drugą niemiecką grupą”. Wynik 2:2. Pomimo takiego wyniku stwierdzić należy, że grupa niemiecka, chociaż stosunkowo jest słabsza od rosyjskiej, okazała jednak większą sprawność. Nie obeszło się i bez wypadku: w połowie gry z rosyjskiej grupy wycofał się jeden z uczestników, gdyż od silnego uderzenia spuchła mu noga.



Na następne międzynarodowe wydarzenie piłkarskie trzeba było czekać 11 lat. 27 lipca 1924 roku, o 7.00 rano na białostocki dworzec wjechał pociąg z Wilna, z którego przywótcie wówatów wysiedli piłkarze Hakoah (z hebr. Siła) Wiedeń. Na tamte czasy to były sławy. Nie więc dziwnego, że witały ich tłumy i oficjele z przemowami. Pierwszy wystąpił przedstawiciel Wojskowego Klubu Sportowego (WKS), a tuż po nim jego odpowiednik z Żydowskiego Klubu Sportowego (ŻKS), a następnie skautów żydowskich i gimnazjum hebrajskiego. Wszystko przetykane było występami dętej orkiestry z gimnazjum Tarbut. Nie obyło się też bez hymnu narodowego na zakończenie uroczystości. Piłkarzy ulokowano w dorożkach i autobusie i pojechano do hotelu Ritz na śniadanie.

W tym samym czasie na peronie rozpoczęła się bijatyka. Wywołało ją dwóch pijanych mężczyzn. Musiała interweniować policja. Jednego z funkcjonariuszy przewrócono na ziemię i zaczęto dusić. Spieszącego mu z pomocą kolegę ktoś zderzył pięścią w głowę. Więcej ofiar nie było i tłum ruszył w kierunku boiska ŻKS-u na ulicy Branickiego 7. Tam miały odbyć się kolejne powitania wiedeńczyków. Gapiów było tylu, że policja piesza i konna z trudem utrzymywała porządek. Obytych w świecie piłkarzy Hakoah zdumiewał entuzjazm białostoczian. Na boisku ustawiono mównicę. Pierwszy wkroczył na nią Rafał Lifszyc, przedstawiciel gminy żydowskiej. Po nim przemówił E. Litmanowicz reprezentujący miejscowych syjonistów. W imieniu żydowskich kupców witał futbolistów znany restaurator Hirsz Wiedner. Goście z kurtuazją podziękowali i odbyli defiladę wokół boiska, tak aby wszyscy mogli ich obejrzeć z bliska. Po czym piłkarze przeszli do Ritza na obiad i odpoczynek, a publiczność ruszyła w kierunku Wygody. Tam, przy ulicy Traugutta, na boisku 42. Pułku Piechoty, o 17.00 miał się rozpocząć „match”.

Publiczność na meczu z Hakoah Wiedeń, 1924 r.





...odowne widowisko poprzedził „formatch”. Zmierzyły się w nim miejscowe, tzw. drużyny z  
sami drużyny WKS-u i ŻKS-u. Pojedynek zakończył się wynikiem 1:1. Ale prawdziwa rozgrywka  
zaczęła się, gdy na boisko wybiegły dwie główne drużyny. Reprezentacja Białegostocka  
dała się z najlepszych graczy WKS i ŻKS. Wzięli oni swym rywalom kwiaty i...  
począł. Gra nabrała od początku szybkiego tempa i od początku reprezentacja Białegostocka  
zobowiązała absolutny brak zgrania się i wykazywała treść w największym stopniu. Pierwsza  
bramka padła już w pierwszej minucie. Po pięciu było już 2:0. Na domiar złego w tym samym  
momencie jeden z najlepszych białostockich graczy, porucznik Nowicki, „pada przeszkodą”  
i łamie prawą rękę”. Gole syją się. Do przerwy jest 9:0! Część publiczności domagała się  
usunięcia z drużyny „nieudolnego bramkarza” ŻKS-u Pławskiego. Tak też się stało. W drugiej  
połowie białostockiej bramki bronił bramkarz WKS-u Gryka i puścił zaledwie cztery bramki.  
W sumie 13:0! Sprawozdawca sportowy „Dziennika Białostockiego” zanotował, że mecz był  
„ogólnie wrażenie przykre. Footballiści nasi wykazali całe ubóstwo swojej nieumiejętności,  
braku treningu i techniki”. Po końcowym gwizdku sędziego Kacwinera z Wilna część publicz-  
ności wbiegła na boisko i przez pół godziny fetowała zwycięzców.

Mineło kilka dni i nieoczekiwanie wybuchł skandal. Otóż w żydowskim dzienniku „Dos Naje  
Lebn” ukazał się artykuł Pejsacha Kapłana. Autor stwierdził, że cały ten „match” to jedna szo-  
winistyczna manipulacja. Sugerował, że sam pomysł połączenia WKS-u z ŻKS-em miał na celu  
skompromitowanie tego ostatniego. Dalej oskarżał Nowickiego, że ten wcale nie złamał ręki,  
a jedynie symulował, aby osłabić drużynę. Pisał więc, że „co prawda upadając zwichnął sobie tę  
pechową rękę, ale nie mógł to być poważny uraz, skoro porucznik już we wtorek grał sobie na  
mandolinie”. W obronie Nowickiego stanęli lekarze opatrujący piłkarza i stwierdzili, „że nie wol-  
no wypisywać bzdur o grze por. Nowickiego na mandolinie, skoro zagipsowano jego rękę na dwa  
tygodnie”, a sam poszkodowany „znajdował się w ciągu 24 godzin w stanie nawpółprzytomnym”.  
Kapłan zajął się też polską publicznością – twierdził, że ta z pobudek szowinistycznych domagała  
się zmiany bramkarza. Nie dopuszczał do siebie myśli, że golkeeper, który puszcza gola co pięć  
minut, niezależnie od tego, czy chodzi do synagogi czy do kościoła, czarodziejem bramki nie jest.

A tego lata piłkarski horror w Białymstoku trwał.

10 sierpnia nad Białą przyjechała drużyna Makabi Berno. To też była piłkarska potęga.  
Z wiedeńskimi berneńczykami wygrali 4:2. Warszawskiej Legii wlepili 8:0. Białostoczanie,  
pomni lipcowego lania, postanowili tym razem wystawić naprawdę najlepszych zawodników.  
O bramkarzu Pławskim nikt już nie wspominał. Bronić miał Gryka. Z ŻKS-u było trzech  
piłkarzy, resztę stanowili zawodnicy WKS-u i BOSO (Białostockiej Ochotniczej Straży Ogmo-  
dawano je w cukierni Izraela Lewina przy ulicy Sienkiewicza 13, w hotelu Ritz, w biurze ŻKS  
przy ulicy Warszawskiej 2, w teatrze Palace przy ulicy Kilińskiego i nawet w małym pokoiku na  
wieży Ratusza, gdzie znajdował się punkt obserwacyjny BOSO.





Zarząd klubu sportowego Makabi Białystok, 1928 r.

Pilkarze z Berna przyjechali do Białegostoku w piątek 8 sierpnia po południu. Zakwaterowali się oczywiście w Ritzu. W sobotę o 11.00 na Rynku Kościuszki „dyrekcja kina Modern zorganizowała zdjęcia kinematograficzne”, jako że zaplanowano „skinematografowanie” całego pobytu Makabi w Białymstoku. Z Rynku futboliści poszli na spacer po parku im. księcia Józefa Poniatowskiego, a następnie udali się na obiad do restauracji „Aquarium” na Rynku. Wieczorem dyrektor kina Modern zaprosił całą drużynę na seans filmowy.

W niedzielę o 11.00 goście pojawili się na boisku ŻKS-u i z zainteresowaniem oglądali popisy gimnastyczne. Następnie dorożkami pojechali na boisko BOSO przy ulicy Lipowej. Tu rozegrano kurtuazyjny, dwudziestominutowy mecz, po którym cała drużyna Makabi została honorowymi członkami drużyny BOSO. Tego samego dnia o godzinie 17.00 na boisku przy ulicy Traugutta rozpoczął się oczekiwany przez wszystkich mecz. Publiczność nie zawiodła. Widzów było 3 tys. Nikt nie spodziewał się zwycięstwa. Kwestią były tylko rozmiary porażki, bo „Makabi jest dla naszej reprezentacji przeciwnikiem o przewadze miazdzącej”. Gra przez cały mecz toczyła się pod białostocką bramką. Do przerwy pachniało sensacją. Tylko 3:0! Ale w drugiej części było już gorzej i mecz skończył się wynikiem 12:0! Tym razem pech nie ominął gracza Makabi, „który zderzył się nieszczęśliwie z graczem WKS i wycofał się z gry”, lecz nie przeszkodziło to gościom „rozgromić” białostoczian.

W środę, 13 sierpnia, białostoczanie mogli jeszcze raz przeżyć emocje związane z wizytą piłkarskich wirtuozów z Berna. W kinie Modern miał premierę – „gwóźdź sezonu letniego – Amerykanka – współczesny dramat życiowy” z Glorią Swanson. Jako nadprogram wyświetlano film z pobytu Makabi, pokazujący też nieszczęsne 12 bramek strzelonych na Wygodzie.

Białostoczanie zawsze słynęli z gościnności, ale z tej futbolowej lekcji wyciągnęli wnioski na całe dziesięciolecie. Tak więc zaproszenie Realu Madryt na mecz z białostocką Jagiellonią nie tylko z finansowych powodów nie wchodzi w rachubę.





Gmach białostockiego magistratu, 1927 r.

## Wyczyny radnego Flomenbauma

Rada Miejska zawsze była teatrem. Raz wystawiali dramat, innym razem grali komedie. Wiadomo, że oprócz repertuaru ważna jest też obsada. O, tu białostocka samorządność ma się czym pochwalić. Na scenie miejskiej występowali „artyści”, co to z powodzeniem śmieszyli i przerażali.

W 1926 roku odbyły się w Białymstoku wybory uzupełniające. Jednym z nowych radnych został młody nauczyciel, Beniamin Flomenbaum. Był on działaczem żydowskiej partii socjalistycznej Bund oraz przewodniczącym Związku Nauczycieli Żydowskich Szkół Powszechnych, ale wcześniej nie angażował się zbyt w żadne sprawy miejskie. W elity władzy wrzucił więc Flomenbaum nie wcześniejsze zasługi, lecz nabrzmiewające konfrontacyjne nastroje nacjonalistyczne.

Zaczął nowy radny swoją karierę z animuszem. Od pierwszego posiedzenia rady stał się jej najaktywniejszym członkiem. Tygodnik „Prozektor”, surowo recenzujący poczynania miejskich rajców, donosił, że „w kwestii formalnej, w kwestii zapytania zabiera głos radny Flo-



Flomenbaum przy każdej sposobności i niesposobności, atając się istnym utrapieniem dla pana prezesa Filipowicza, nie mówiąc już o wnioskach i interpelacjach, które sypie jak z rogu obfitości". Na jednej sesji interpelował, aby w związku ze wzrastającą drożyzną władze miasta dostarczały ubogiej ludności dotowane z miejskiej kasy produkty spożywcze. Na kolejnej proponował wypłacenie robotnikom trzynastej pensji i skrócenie ich czasu pracy (pracowali 16 godzin dziennie). Nikt już nie mógł się połapać w zgłaszanych przez niego wnioskach, które dotyczyły usprawnienia pracy rady i magistratu. Nie opuszczał Flomenbaum żadnego posiedzenia. Na każde przygotowywał długie płomienne przemówienia, po których gdy ktoś ripostował, wszczynał natychmiast awantury.

Wyczyny Flomenbauma odbijały się szerokim echem po mieście, przynosząc mu znaczną popularność. Gdy więc 11 grudnia 1927 roku odbyły się w Białymstoku wybory samorządowe, to Flomenbaum bez najmniejszych przeszkód wszedł do składu nowej rady i został ławnikiem, czyli członkiem zarządu miasta. Objął w nim kierownictwo wydziału finansowego. Mógł nareszcie rzucić się w wir pracy. W spokojnym dotąd wydziale z dnia na dzień zrobiło się gwarno i rojno. Przed oblicze miejskiego skarbnika chcieli dostać się wszyscy. Flomenbaum „komu nie mógł uczynić dobra namacalnego – pocieszał go dobrym słowem”. Gdy magistraccy urzędnicy wysyłali do opornych płatników sekwestorów, to zdarzało się, że Flomenbaum unieważniał ich decyzje. Krążyła opinia, że do jego gabinetu można wejść wprost z ulicy i przedstawić swoją sprawę „w języku żydowskim, nawet nie zdejmując czapki”.

Ci, którzy mieli odrobinę wyobraźni i wiedzy na temat miejskich finansów, z trwogą przyglądali się poczynaniom ławnika-towarzysza, jak go złośliwie przezywano. Zastanawiano się, dlaczego niemający wcześniej nic wspólnego z finansami radny otrzymał tak odpowiedzialne stanowisko. Żartowano, że jest to spełnienie marzeń Flomenbauma, który w swej dobroci chciałby znieść różnice społeczne i ekonomiczne pomiędzy ludźmi. A ten jako jedyny skuteczny środek do urzeczywistnienia tego utopijnego planu wymyślił zniszczenie



Benjamin Flomenbaum, 1927 r.



Władysław Olszyński, 1927 r.



Roman Młyński, 1927 r.



przebiegł... (text is very faint and partially obscured by the next page's text)

Trwała kolejna sesja Rady Miejskiej. Na jej przewodniczącym Władysław Olszyński. Był on zasłużonym działaczem niepodległościowym, a w latach powojennych poglądów i z ciętego, adwokackiego języka. Młody Olszyński, który był też wiceprezesa białostockich robotników. Natychmiast zareagował na jego słowa, że w tym czasie nie było komunistów i stwierdził, że nie ma go. Olszyński, który był też wiceprezesa białostockich robotników. Natychmiast zareagował na jego słowa, że w tym czasie nie było komunistów i stwierdził, że nie ma go. Olszyński, który był też wiceprezesa białostockich robotników. Natychmiast zareagował na jego słowa, że w tym czasie nie było komunistów i stwierdził, że nie ma go.

Przewodniczący rady, profesor Roman Młyński przerwał sesję. Awantura przebiegała w sposób... (text is very faint)

Przewodniczący oświadczył, że zajście miało charakter... (text is very faint)

Na następnej posiedzeniu rady, 25 marca, Siemaszko odczytał protokół z posiedzenia sądu. Olszyński... (text is very faint)

Władysław Olszyński... (text is very faint)





Zarząd chrześcijańskiego stowarzyszenia Praca, 1921 r.

## *Zdobycz Robotnicza*

*Z*dobycz Robotnicza to wcale nie peerelowski relik. Tak nazywała się spółdzielnia mieszkaniowa powstała w Warszawie w 1926 roku. Założyli ją członkowie Polskiej Partii Socjalistycznej. Głównym impulsem, który popchnął ich do działania w tym kierunku, był doskwierający wszystkim kryzys mieszkaniowy. Pomysł na wyjście z tej niezwykle ciężkiej sytuacji był bardzo prosty. Robotnicy, członkowie spółdzielni, mieli pracować codziennie o dwie godziny dłużej. Uzyskane w ten sposób dodatkowe zarobki miały być przeznaczone na spłatę kredytu zaciągniętego na budowę mieszkań. Zakładano, że po spłaceniu zadłużenia mieszkania te staną się własnością lokatorów.



Prezydent Białegostoku  
Bolesław Szymański,  
1927 r.





W restauracji „Sielanka”  
przy ul. Kiłńskiego 12  
B. Zagłoba-Łozowiecki opowiadał  
o malwersacjach w Zdobyczy,  
1936 r.

W ślad za Warszawą, pierwszy z całej Polski ruszył Białystok. W czerwcu 1927 roku zaczęto organizować spółdzielnię opartą na tych samych zasadach. Inicjatorem tego zamysłu był prezydent Białegostoku Bolesław Szymański. Jego głównym współpracownikiem i podopiecznym był inżynier Mieczysław Szpikowski, naczelny magistrackiego wydziału technicznego. Ich zapleczem organizacyjnym było chrześcijańskie stowarzyszenie robotnicze Praca. W lipcu spółdzielnia liczyła już 400 członków, których nadal przybywało. 9 września 1927 roku władze Zdobyczy ukonstytuowały się. Bolesław Szymański został jej dyrektorem. 29 września na wydzierżawionym od województwa placu na Wygodzie, przy szosie do Zielonej uroczyście „położono cegłę” w pierwszym robotniczym domu. Zgodnie z tradycją nie zapomniano i o kamieniu węgielnym. Został on poświęcony 2 października. Tego doniosłego aktu dokonał sam arcybiskup wileński Romuald Jałbrzykowski. Uroczystość zaczęła się o 16.45. Na Wygodę zjechało wyborowe towarzystwo. Był minister komunikacji inżynier Paweł Romocki, wojewoda białostocki Marian Rembowski i inżynier Janusz Dzierżawski, projektant domów warszawskiej Zdobyczy Robotniczej. Przybyły też tłumy białostoczan. Pierwszy przemówił prezydent Szymański. Po krótkich słowach powitania rozpoczęły się modły pod przewodnictwem arcybiskupa. W ich kulminacyjnym momencie w poświęconych wcześniej fundamentach zamurowano akt erekcyjny. Następnie Jałbrzykowski zwrócił się z płomienną mową do zebranych. Nawoływał w niej do „uczciwej pracy nad podniesieniem dobrobytu materialnego i moralnego zarazem

robotników,  
ne umiesieni  
warszawski

Teraz m  
mański. Sp  
zaświadcza  
zostały dwa  
w których  
kierzty bud  
nię. Znajd  
a nawet za

I wszys  
było wiad  
okazała s  
zaczął roz  
na panuj  
Wobec ty  
nię publi  
cześnie  
czypospe  
na pocz  
ciwnie.

czasu w  
zadania  
szczętn  
roku w  
się sen

Już  
wily w  
ki oske  
bardzo  
Sąd w  
rynko  
za 24  
wszys  
Chao  
godzi



robotników, przez budowanie czystych, schludnych, własnych mieszkań". Po nim również pełne imiesienia mowy wygłosili minister i w imieniu „białostockiej młodzieży”, czyli spółdzielni warszawskiej, inżynier Dzierżawski.

I teraz można było już rozpocząć budowę. O fundusze na nią wystarczył się przezydent Szymański. Spółdzielnia uzyskiwała pokaźne kredyty w Polskim Banku Komunalnym. Na początek zaplanowano budowę sześciu domów. Do grudnia 1927 roku w stanie surowym wybudowane zostały dwa. Zaczęto snuć dalsze, niezwykle ambitne plany. Mówiło się o 50 budynkach (!), w których znajdowałoby się 500 dwupokojowych mieszkań. Zarząd spółdzielni, aby obniżyć koszty budowy, a jednocześnie dać zatrudnienie swoim członkom, uruchomił własną stolarnię. Znajdowała się ona przy ulicy Artyleryjskiej. Rozpoczęto też starania o wydzierżawienie, a nawet zakup cegielni w Turczynie.

I wszystko szłoby znakomicie, gdyby nie zbliżające się wybory samorządowe. Od początku było wiadomo, że prezydent Szymański stoi w nich na przegranej pozycji. Pomimo to walka okazała się bezpardonowa. Jeden z pracowników Zdobyczy, Bolesław Zagłoba-Łozowiecki, zaczął rozpowiadać, jakie to malwersacje były dziełem władz spółdzielni. „Oburzał się bardzo na panujące w Zdobyczy porządki”. Jego opowieści układały się w sensacyjny ciąg wydarzeń. Wobec tych pomówień Szymański i Szpikowski w specjalnym oświadczeniu powiadomili opinię publiczną, że podają sprawę „swego podwładnego do Urzędu Prokuratorskiego”. Jednocześnie zwrócili się do Związku Rewizyjnego Spółdzielni Budowlano-Mieszkaniowych Rzeczypospolitej Polskiej, aby ta skontrolowała białostocką Zdobycz. Kontrola rozpoczęła się na początku stycznia 1928 roku. Nie wykazała jakichkolwiek nieprawidłowości. Wręcz przeciwnie. Kontrolerzy stwierdzili, że „spółdzielnia od września ub. r., a więc w ciągu krótkiego czasu wykonała bardzo dużą pracę, co świadczy, że władze spółdzielni stoją na wysokości zadania”. Nie uspokoiło to Zagłoby-Łozowieckiego, który nie ustawał w wysiłkach, aby doszczętnie skompromitować swych dotychczasowych pracodawców. Wreszcie 25 kwietnia 1928 roku w białostockim sądzie okręgowym rozpoczął się długo oczekiwany proces. Z miejsca stał się sensacją. Było nie było, sądziły się elity Białegostoku.

Już od pierwszego dnia stało się jasne, że sprawa nie będzie prosta. Tytuły prasowe mówiły wszystko. *Zdobycz Robotnicza* oskarża p. Zagłobę-Łozowieckiego, *P. Zagłoba-Łozowiecki* oskarża *Zdobycz Robotniczą*. Zeznania Łozowieckiego były zaiste „sensacyjne i rzucające bardzo ujemne światło na działalność spółdzielni i jej dyrektora p. Bolesława Szymańskiego”. Sąd wysłuchiwał, jak to za cegły płacono po 70, 75 zł, a nawet i po 81 zł, gdy tymczasem ich cena rynkowa nie przekraczała 60 zł. Podobnie było z cementem. Zdobycz kupowała „beczkę” za 24 zł, podczas gdy można było nabyć ją za około 20 zł. Według Zagłoby przeplacano na wszystkim. Na papie, drewnie, gwoździach. Twierdził, że na budowie „kradziono na okrągło. Chaos był nie do opisania”. Na domiar wszystkiego nie prowadzono książeczek z wykazami godzin pracy robotników, członków spółdzielni. To powodowało, że ci czuli się oszukiwani.



Wszystko to wszystko, Łozowiecki pewnego dnia oświadczył Szymańskiemu, że chce odejść z miasta. W skutek tej rozmowy został po pięciu dniach zwolniony dyscyplinarnie za „przebiegłość i niechęć do pogawędki z robotnikami i ich buntowanie”. Oburzony Łozowiecki tłumaczył, że „nie jestem i na ostatek nie będę” pilsudczykiem i już dlatego buntownik. Wnet o tym zjściu wiedział cały Białystok, bowiem podekseytowany Zagłoba udał się do popularnej restauracji Sielanka przy ulicy Kilińskiego. Tu w obecności licznych znajomych, ale też i przypadkowych słuchaczy, uniesionym głosem perorował o znanych mu chodźciach i malwersacjach.

Przed sądem po stronie byłego prezydenta w charakterze świadków stawili się między innymi inżynier Szpikowski i kilku byłych radnych. Wszyscy powoływali się na wyniki korzystnej dla nich kontroli. Opowiadali o wielkim zaangażowaniu Szymańskiego i niebywałym wacholstwie Zagłoby. Nie zmieniło to jednak faktu, że opinia publiczna wzięła w tym sporze stronę Łozowieckiego. „Szymańszczyzna” była w wyraźnym odwrocie. Jak na zawołanie wytyczano wszelkie grzeszki rządzącego Białymstokiem od 1919 roku duetu Szymański-Filipowicz. Oskarżano ich o nieuzasadnione zadłużanie miasta, o rozgrzebane inwestycje, a nawet o arogancję. Nie oszczędzono i następcy Szymańskiego, pułkownika Michała Ostrowskiego. Wytknięto mu, że on także próbuje załatwiać w Zdobyczy jakieś pokrętne miejskie interesy. Wystarczyło, że magistrat zlecił spółdzielczej stolarni wykonanie 200 szkolnych ławek. Natychmiast podniosły się głosy zdziwienia, dlaczego zamiast budować kolejne domy, Zdobycz zajmuje się produkcją mebli. Drwiono, że może więc przyjąć i „inne obstalunki, na przykład reperację starych butów”.

Proces trwał długo. Finał sprawy rozegrał się dopiero w 1933 roku przed warszawskim sądem okręgowym. Udzielający kredytów białostockiej Zdobyczy Bank Gospodarstwa Krajowego zażądał zwrotu kosztów niezrealizowanej inwestycji. Sąd nakazał zarządowi spółdzielni, w tym i Szymańskiemu, oddanie ogromnej sumy blisko 93 tys. zł.

Niedobre wieści dochodziły też i od warszawskiej „siostrzycy”. Ta zdołała na Bielanych wybudować 27 domów, po czym zaczęło jej grozić bankructwo, a w 1931 roku stało się faktem.

W Białymstoku pozostał po tej sprawie niesmak, wielkie nadzieje i wzniesione zaledwie dwa budynki na Wygodzie.





Wystawa tkaniny ludowej w Spodkach, lata 80. XX w.

## Białostockie tempo

W 1973 roku w Białymstoku zaplanowano Dożynki Centralne. Było to wydarzenie nie byle jakie, bo przyjeżdżał na nie sam I sekretarz Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej (PZPR), Edward Gierek, znany ze swoich „gospodarskich wizyt”. Tam, gdzie wizytował, wszystko musiało lśnić. Na jego przybycie postanowiono więc odpowiednio przygotować miasto.

A wszystko zaczęło się od ambitnego I sekretarza Komitetu Wojewódzkiego PZPR, Zdzisława Kurowskiego, protegowanego Gierka. Gdy przyjechał do Białegostoku w 1971 roku zastał miasto zapyziałe i aby przypodobać się protektorowi, postanowił to zmienić. Z jego inicjatywy rozpoczął się niespotykany boom inwestycyjny, nazwany białostockim przyspieszeniem, którego ukoronowaniem miały być właśnie Dożynki Centralne. A na ich przygotowanie miasto nie miało wiele czasu. Dokazano jednak cudów. Im bliżej uroczystości, tym częściej w prasie pojawiały się krótkie komunikaty w rodzaju: „Białystok intensywnie przygotowuje się do zbliżających się Centralnych Dożynek. Porządkowane są place i ulice, wiele budynków otrzymało efektowne elewacje”. I rzeczywiście. Fasady śródmiejskich kamienic pokryły efektowne sgraffita, budowano stadion, asfaltowano ulice, którymi sekretarz ze świtą mógłby





Wystawa tkaniny artystycznej w Spodkach, lata 80. XX w.

jechać. Starano się dbać o najmniejsze szczegóły. Ale wiadomo, że to w nich tkwi diabeł. Tak było z wystawami sklepowymi. Otóż okazało się, że wydział handlu Miejskiej Rady Narodowej „nie skoordynował prac dekoracyjnych wystaw sklepowych”. O zgrozo „instytucjom i zakładowi zostawiono wolną rękę”. Szybka interwencja zakończyła tę samowolę.

Uwagę białostoczan przyciągały charakterystyczne pawilony. Z racji ich kształtu nazwali je latającymi talerzami, co miało nawiązywać do UFO. „Gazeta Białostocka” opatrywała je obco brzmiącymi w Białymstoku określeniami. „Bar-bistro przy ul. Dąbrowskiego, aperitif-bar przy al. 1 Maja, bar kawowy przy ul. Akademickiej (w pobliżu Rozgłośni Polskiego Radia), cocktail-bar przy ul. Akademickiej (róg ul. Krasińskiego)”. To był wyraźny zgrzyt. Dożynki i aperitif czy bistro. Gazeta ogłosiła więc konkurs na nazwę pawilonów. Na zwycięzców czekały w jej mniemaniu niezwykle cenne nagrody: cztery samowary, dwa torty i trzy karty wstępu dla dwóch osób „na imprezę rozrywkową w kawiarni Kolorowa”. Już w pierwszych dniach do redakcji wpłynęło kilkaset propozycji i jak komentowano, żadna z nich się nie powtarzała. Największe zainteresowanie budziły jednak pawilony przy ulicy Dąbrowskiego. Ten wysmienity projekt inżyniera architekta Henryka Toczydłowskiego zachwycił wszystkich. W swojej futurystycznej formie nawiązywały do rotundy pobliskiego kościoła św. Rocha.



... jednocześnie zostały świetnie wkomponowane w jego najbliższe otoczenie. Nie więc dziwnego, że prasa skupiała się na doniesieniach właśnie z tego placu budowy. Nawiązywano do lat 50. XX wieku. Opisywano „białostockie tempo latających talerzy”. Redaktor swoją relację okraszył wspomnieniem, że „w latach mojej młodości wraz z innymi zachwycałem się warszawskim tempem. Ba, śpiewałem o nim piosenki. Obecne dożynkowe, białostockie tempo bije jednak na głowę tamto z lat pięćdziesiątych. I nawet nikt o nim nie zanuci. Cóż, czasy się zmieniają”. Reporterzy opisywali, że pracowało tam „całe mrowie ludzi”. Niezwykły w ich opinii był styl pracy, „prawdziwy podziw budziła celowość i wzorowa organizacja niemal każdego ruchu” wśród robotników. A budowali Spodki oprócz pracowników Przedsiębiorstwa Robót Budowlanych Gospodarki Komunalnej także żołnierze i więźniowie z białostockiego zakładu karnego.



CENTRALNE DOŻYNKI  
BIAŁYSTOK 1971

Pamiątkowe karty pocztowe  
z Dożynek Centralnych  
w Białymstoku







Spodki, lata 70. XX w.

Oprócz nich zatrudniono wielu podwykonawców, z których najważniejszym były zakłady konstrukcji stalowych w Starosielcach. To białostockie tempo podkreślano w cyfrach. Przewidywany cykl budowy z planowanych 18 skrócono do 4 miesięcy.

Jeszcze na zewnątrz trwały prace budowlane, a już w jednym ze Spodków ceniony i szanowany przez wszystkich artysta Aleksander Wels przygotowywał wystawę miejscowego środowiska plastycznego. Postanowiono już bowiem, że Spodki zostaną siedzibą Biura Wystaw Artystycznych. Na rozpoczynające się 1 września dożynki biuro przygotowywało aż pięć wystaw. Pokazywano więc rzeźbę z popularnych Międzynarodowych Plenerów w Hajnówce, były unikatowe meble, tkanina artystyczna, malarstwo z pleneru w Nowogrodzie, no i wspomniana wystawa białostocka. Wszystkie ekspozycje udostępniono zwiedzającym w dniu otwarcia dożynek, ale dopiero 5 września nastąpiło oficjalne otwarcie nowej siedziby biura. Pozostała jeszcze nierozstrzygnięta kwestia bistro, zajmującego jeden ze Spodków. Jego wnętrze zwracało uwagę niezwyklejnym wystrojem. Zachwycala fontanna umiejscowiona w centrum sali. Oryginalne szklane, podświetlane stoliki mogły niejednemu kojarzyć się też z kosmicznymi formami.

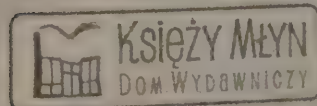


Wówczas rozstrzygnięto konkurs na nazwy wszystkich białostockich latających talerzy. Wzięły udział: Przeciółceczka i Kaszcielanka. Największe zainteresowanie, czyli Imkiew z Złotymi, dostały jednak Spodki. Uczestnicy konkursu proponowali, aby bar nazwać którymś ze znaków zodiaku, gwiazd lub planet. Uwagę jury zwróciły kosmiczne propozycje: Sputniki, Kosmodrom, Molnie, Skylaby. Proponowano też nazwy związane z umiejscowieniem Spodków: Pod Skarpą, Pod Władukiem, a nawet Bar Kolejarz. Przez dawne sentymenty jeden z czytelników zaproponował Ritz, a inny pewnie warszawski bywalec, chciał mieć w Białymstoku Adrie. Całkiem abstrakcyjny był pomysł, aby na małą czarną wpaść do Bangladeszu. Jego wybrało Elide. Gazeta przyklaskiwała tej propozycji. „Elida bowiem, to historyczna kraina w starożytnej Grecji, w której odbywały się Igrzyska Olimpijskie”. Z przestrogą jednak dodawano, „oby nowy lokal był oazą spokoju i wypoczynku, bo rywalizacja na polu sztuki też będzie w sąsiednich salonach wystawowych”.

Dożynki wypadły doskonale. Ojcem sukcesu słusznie okrzyknięto Zdzisława Kurowskiego. Białystok dzięki jego inicjatywie i możliwościom zmienił się diametralnie. Sami białostocczanie przecierali oczy ze zdumienia. Spodki były niemalże symbolem tej metamorfozy. Przez następne lata Elida uchodziła za modne miejsce spotkań. Dodatkowo w piwnicach pawilonów ulokowało się Akademickie Centrum Kultury Sepularium. Stanowiło doskonałe uzupełnienie statecznej kultury prezentowanej w wystawowych salach. Ale nadechodziły już chude lata. Najpierw z Białegostoku wyjechał Kurowski. Kultura i gastronomia w latach 80. miały się też nie najlepiej. Ale białostocczanie dobrze pamiętali o dożynkowym przyspieszeniu. Gdy w 2000 roku ogłoszono plebiscyt na 100 najwybitniejszych białostoczan, ku zaskoczeniu organizatorów, ale też i samego zainteresowanego znalazł się on na 21. miejscu, wyprzedzając o sześć miejsc ojca przyspieszenia z lat 30., wojewodę białostockiego Mariana Zyndrama-Kościalkowskiego.

Za lekturę tej książki  
Dziękujemy

Polecamy się na przyszłość




Książki dla ludzi ciekawych





# POZNAJ SEKRETY POLSKICH MIAST



 **Książy MŁYN**  
DOM WYDAWNICZY

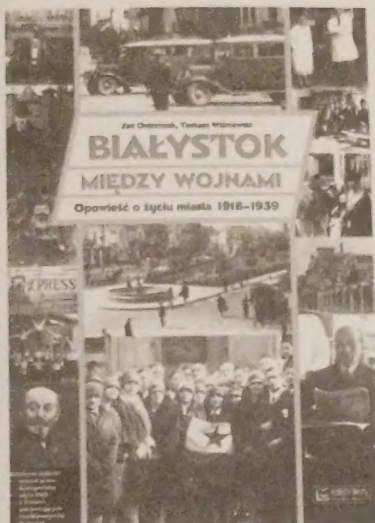
*Książki dla ludzi ciekawych*

## BESTSELLEROWA SERIA KSIĄŻEGO MŁYNA



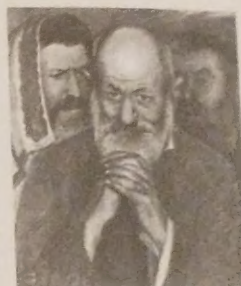


poleca:



**Nawracanie Żydów  
na ziemiach polskich**

Misja Barbikańska w Białymstoku









**B**iałostockie ulice i domy skrywają wiele tajemnic. Krew w żyłach mroziły takie historie, jak choćby noworoczna herbatka u generała Stelnickiego zakończona trzema trupami. Życie dawnych białostoczan nie było przecież łatwe. Zgodnie z przepisami musieli poruszać się tylko prawą stroną chodników. Ba! Uważać nawet na fryzjerów dmuchających im... w szyję. Z pomocą spieszyli na szczęście wynalazcy. Bo to właśnie tu wymyślono aparat umożliwiający chodzenie po wodzie czy cudowną tabletkę kojącą nerwy...

Opowieści Andrzeja Lechowskiego odkrywają wielkie miłości, zdrady, kradzieże i pospolite przestępstwa. Zdradzają sekrety przybytków zwanych „pluskwianiami” i eleganckiego hotelu – legendy Białegostoku – Ritz’a. A wszystko to ilustrują liczne fotografie z epoki.



Książkę polecają:



*kurier*  
**Poranny**

**Polskie**  
**Radio**  
**Białystok**



ISBN 978-83-7729-325-8



9 788377 293256



**Ksieży MŁYN**  
DOM WYDAWNICZY

Książki dla ludzi ciekawych



[www.km.com.pl](http://www.km.com.pl)

[www.facebook.com/ksiezymlyn](https://www.facebook.com/ksiezymlyn)

Infolinia 604 600 800

gg 4147954